

„Fistamjanma? Czyli w pogoni za birmańskim mnichem.

Jak co roku czas wakacji zbliżył się wielkimi krokami. Najpierw kupiliśmy bilety Warszawa – Bangkok i Kuala Lumpur – Warszawa, a potem zaczęliśmy myśleć, gdzie jechać dokładnie. Był pomysł aby pojechać na Borneo i Sulawesi, ale ostatecznie skupiliśmy się na Birmie, bo to prawdopodobnie ostatni moment na zobaczenie tego kraju przed najazdem zmasowanego turysty.

Trochę historii..

Najstarsze ślady obecności człowieka na terenie Mjanmy datowane są od ok. 400 000 p.n.e. – kultura anyathijska. Na stanowiskach tej kultury odkryto sześć odmian pięściaków, przedstawiciele tej kultury żyli ze zbieractwa i polowania. Pierwsze bardziej zaawansowane kultury, datowane od 11 000 p.n.e., pozostawiły po sobie malowidła naskalne w jaskiniach w centralnej części Mjanmy – np. odkryte w 1969 w grocie Padolin w Taunggyi. Rozwój osadnictwa w epokach brązu i żelaza przebiegał podobnie jak w innych rejonach Azji południowo-wschodniej.

Pierwszymi zidentyfikowanymi mieszkańcami terenów dzisiejszej Mjanmy był – w Górnej Birmie – lud Pju, którego głównym miastem było Sri Kszetra z której zachowały się ruiny świątyń poświęconych Wisznu oraz stup buddyjskich. Pierwsze świadectwa dotyczące ludu Pju pochodzą z II wieku. Lud Pju zaczął stosować system nawadniania z wykorzystaniem grobli spiętrzających wodę oraz uporządkowanym, wzorowany na indyjskim system urbanistyczny (np. budowa 12 bram). Złoty okres cywilizacji Pju rozpoczął się w IV wieku, upadek natomiast nastąpił w IX wieku.

W dolnej Mjanmie natomiast zamieszkiwali Monowie. Ludy te tworzyły miasta-państwa oraz niewielkie księstwa, które sąsiadowały z koloniami przybyszów z Indii, od których przejmowano kulturę hinduską. W pierwszej połowie I tysiąclecia n.e. w środkowej Mjanmie na lokalną potęgę wyrosło mońskie królestwo ze stolicą w Thaton. Jego ludność przyjęła buddyzm jako swoją religię.

Wódz Mranma, Anawratha, zjednoczył część ziem obecnej Mjanmy i założył królestwo Pagan, którym rządził od 1044 do 1077 Mongołowie pod przywództwem Kubilaj-chana podbili je w XIII wieku. Kolejne lata to okres rozbitcia dzielnicowego i walki o lokalne przywództwo pomiędzy najsilniejszymi księstwami: Pegu, Arakanu, Taungu i Awa.

W XVIII kraj został ponownie zjednoczony. Pierwszym królem zjednoczonego państwa był Alaungpaja (1752-1760), założyciel dynastii Kongbaung. Państwo stało się monarchią absolutystyczną nastawioną na ekspansję terytorialną. W 1766 po zwycięskiej wojnie z Syjmem do Mjanmy przyłączono nadmorską prowincję Tenasserim, w 1784 Arakan, a w 1816 Manipur. Kupcy europejscy (Brytyjczycy, Holendrzy, Francuzi) pojawili się w Mjanmie już w XVII wieku.

W 1886 po trzech wojnach Wielka Brytania podporządkowała sobie Mjanmę, choć ostatnie ogniska oporu zlikwidowano dopiero w 1890 Mjanma stała się częścią Indii Brytyjskich.

Na początku XX w. założono Związek Buddyjskiej Młodzieży Męskiej (ang. Young Men's Buddhist Associations YMBA), wzorowany na YMCA, który stał się ruchem narodowym. W 1920 studenci na uniwersytecie w Rangunie rozpoczęli strajk przeciwko ustawie o uniwersytetach (University Act). Twierdzili, że będzie ona służyła tylko kolonialnej elicie. W 1930 lokalny protest przeciwko podatkom przekształcił się w pierwsze ogólnonarodowe powstanie przeciwko rządowi brytyjskim. Brytyjczykom stłumienie jego zajęło dwa lata. W 1936 wybuchł kolejny strajk studencki na uniwersytecie w Rangunie, po tym jak wyrzucono Aung Sana i U Nu, przyszłego premiera.

W 1937 Mjanma (jako Birma) została wydzielona z Indii Brytyjskich jako odrębna jednostka administracyjna z własnym zgromadzeniem i rządem.

W styczniu 1942 Japonia zaatakowała Mjanmę. Po trzech miesiącach Japończycy zajęli kraj. Przekonali wtedy Ba Maw, aby został szefem rządu, co nastąpiło w sierpniu tego samego roku. 27 lipca 1942 Japończycy powołali i wyszkolili Birmańską Armię Obronną, która później

przekształciła się w Birmańską Armię Narodową (BNA) na której czele stanął Aung San. 1 sierpnia 1943 Mjanma została ogłoszona niepodległym państwem o nazwie Birma. Niepodległość ta była fikcyjna, gdyż wojska japońskie nadal stacjonowały w Mjanmie. Aung San założył wtedy tajną organizację Antyfaszystowska Liga Wolności Ludu do walki z Japończykami. 27 marca 1945 wybuchło powstanie przeciwko okupacji japońskiej. Mjanma uwolniła się spod okupacji. Następnie wyrażono zgodę na powrót Brytyjczyków, a Aung San został wicegubernatorem i ministrem obrony. 27 stycznia 1947 brytyjski premier Clement Attlee podpisał z Aung Sanem układ, na mocy którego Mjanma miała uzyskać niepodległość w ciągu następnego roku.

9 maja 1947 przeprowadzono wybory, które przyniosły sukces Lidze. Spowodowało to reakcję rywali Ligi, którymi były komunistyczne ugrupowania: Białych i Czerwonych Flag, a także mniejszości Karenów. W kraju narastała wojna domowa. 19 lipca 1947 zamordowano Aung Sana, mimo to doszło 25 września do uchwalenia konstytucji, a co najważniejsze do podpisania 17 października traktatu brytyjsko-birmańskiego, który uznał pełną niepodległość Mjanmy. Wkrótce uzgodniono, iż wojska brytyjskie wycofają się w najbliższej przyszłości. Jednak konflikt mniejszości nadal trwał.

4 stycznia 1948 Mjanma uzyskała niepodległość od Wielkiej Brytanii. Jej pierwszym prezydentem został Sao Shwe Thaik, a premierem U Nu (właściwie Thakin Nu). U Nu w 1958 został wybrany na prezydenta. W przeciwieństwie do innych byłych kolonii brytyjskich Mjanma nie przystąpiła do Wspólnoty Narodów.

U Nu starał się opierać komunistom, jednak demokratyczne rządy skończyły się w 1962 kiedy generał Ne Win dokonał zamachu stanu. Rozpoczęła się dyktatura Birmańskiej Partii Socjalistycznej, która opierała się na ideologii komunistycznej. Władze krwawo rozprawiły się z wszelkimi przejawami buntu i spiskami. Mjanma na prawie 26 lat została odizolowana od świata zewnętrznego, a prezydent U Nu został zmuszony do ucieczki za granicę. Dopiero w 1980 ogłoszono amnestię, dzięki której U Nu mógł wrócić do kraju. Nie polepszyło to jednak nastrojów politycznych, dlatego w 1981 gen. Ne Win podał się do dymisji i jego miejsce zastąpił gen. San Yu. Ne Win nie zniknął całkowicie z życia politycznego, ponieważ wciąż pozostał szefem Birmańskiej Partii Socjalistycznej.

W 1982 ogłoszono prawo o obywatelstwie, które dzieliło obywateli na trzy kategorie. W trzeciej, ostatniej kategorii, znalazły się liczne mniejszości narodowe m.in. Szanowie (8,5% ludności kraju) i Karenowie (6,2%), pozbawione dostępu do stanowisk publicznych, wciąż stawiające opór birmańskim władzom w Rangunie i domagające się równego traktowania i poszanowania swoich praw.

Partia Socjalistycznego Programu Birmy, ogłosiła plan zwany "birmańską drogą do socjalizmu". Polegał on m.in. na nacjonalizacji przemysłu, odcinaniu się od wpływów zagranicznych (zniechęcano turystów do przyjazdu do Mjanmy) i represjonowaniu mniejszości narodowych. Junta prześladowała także przeciwników politycznych. Realizacja planu nie wyszła gospodarce na dobre. Pogarszająca się sytuacja w kraju zmusiła władze do przeprowadzenia reform, które jednak realizowano bardzo nieudolnie. Doprowadziło to do wybuchu niezadowolenia i demonstracji ulicznych w 1988. Zostały one krwawo stłumione przez wojsko. Ne Win został odsunięty od władzy. Przeprowadzono referendum i zorganizowano wybory, zaczęła powstawać opozycja. Wszystko wskazywało na to, że Mjanma jest na dobrej drodze do demokracji. Niestety wojsko z niezadowoleniem patrzyło na zmiany i ostatecznie nie zgodziło się na „demokratyzację” kraju. Obecny reżim doszedł do władzy w wyniku zamachu stanu 18 września 1988.

W 1989 wojskowi zdecydowali się na przemianowanie angielskiej nazwy państwa z Burma na Myanmar, a nazwę jego stolicy z Rangoon na Yangon. Generałowie utworzyli Partię Rozwoju i Odbudowy (SLORC), która całkowicie zdominowała życie polityczne Mjanmy. W 1992 na czele junty stanął gen. Than Shwe, który zastąpił zdymisjonowanego Khin Nyunta. Oficjalny tytuł gen. Than Shwe brzmiał: "Przewodniczący Państwowej Rady Pokoju i Rozwoju Państwa".

W 1990 w Mjanmie odbyły się demokratyczne wybory, w których 82% głosów zdobyła opozycyjna i prodemokratyczna Narodowa Liga na rzecz Demokracji (NLD) pod przywództwem Aung San Suu Kyi – laureatki Pokojowej Nagrody Nobla z 1991. Wynik tych wyborów nie został

uznany przez rządzących Mjanmą generałów. Działacze opozycyjni zostali wtrąceni do więzień, a wszelkie stanowiska w państwie zostały obsadzone przez juntę.

W 2003 junta ogłosiła siedmiopunktową "mapę drogową dla demokracji", lecz program nie miał określonych ram czasowych i w praktyce nie znalazł potwierdzenia.

7 listopada 2005 junta przeniosła rząd do nowo budowanej stolicy Naypyidaw leżącej ok. 30 km od miasta Pinyinmana.

W 2007 w Rangunie doszło do manifestacji mnichów buddyjskich przeciwko rządowi junty. Domagali się oni wprowadzenia w kraju obiecanej demokracji, poszanowania wolności religijnej oraz praw człowieka. Było to najpoważniejsze wystąpienie ludności od 1988 i skończyło się podobnie jak poprzednie. Birmańska władza ogłosiła, że aresztowano około 3 tys. osób, zajmujących się organizacją manifestacji, ale wiadomo, że nie obyło się także bez ofiar śmiertelnych. Dokładne liczby nie są znane, ponieważ zagraniczni dziennikarze zostali siłą zmuszeni do opuszczenia kraju.

W maju 2008 nad południową część Mjanmy przeszedł cyklon Nargis, który spowodował śmierć ponad 130 tys. osób i pozbawił dachu nad głową ok. 1,5 miliona mieszkańców kraju.

W marcu 2011 parlament Mjanmy wybrał na prezydenta, uznawanego za umiarkowanego reformatora, Thein Sein. Jest on pierwszym cywilnym prezydentem od czasu dojścia junty do władzy.

21.07.2013 (niedziela)

Z Krakowa jedziemy do Warszawy porannym pociągami o 7:42. Na dworzec Warszawy Zachodniej docieramy punktualnie o 10:50, kupujemy bilety na kolejkę na lotnisko i jedziemy.

Dokładnie w południe jesteśmy na Okęciu. Przed nami trzy godziny oczekiwania na lot. Pozbywamy się bagaży na odprawie. Pan z odprawy śmieje się ze mnie, że mój plecak wazy tylko 7,6 kilograma, a lecę aż do Bangkoku.

Po oddaniu bagaży mamy czas aby zjeść kanapki i wypić to co zabraliśmy, bo z tym nie przejdziemy odprawy bezpieczeństwa. Kiedy idę przez braki bezpieczeństwa to niestety piszcą, coś mam na sobie czulego hmmm skoro nie mam metalowego paska, to pozostają tylko metalowe wykończenia moich sandałów.. dalej odprawa paszportowa no i w końcu lądujemy przy naszym gate'cie i możemy w spokoju oczekiwać na samolot. Już o godzinie 14 bramki zostają otwarte i możemy wsiadać. Samolot ma wylecieć o 14:45, wyjeżdżamy na pas startowy i... zawracamy. Pilot informuje nas o usterce technicznej, że już jedzie obsługa lotniska i za około pół godziny usterka zostanie usunięta.

Na pokładzie sporo stewardów. W owej obsłudze pokładowej są też Polacy. Usterka zostaje usunięta po godzinie i możemy rozpocząć lot już bez kolejnego opóźnienia. Przed nami dokładnie 5 godzin lotu. Samolot ma na zewnątrz dwie kamery, tak że można śledzić to co dzieje się przed samolotem jak i pod nim. Teraz to nic ciekawego, bo widać przesuwały się pod nami pas startowy i milion śladów kół samolotów wyslizganych na betonie lotniska. Kiedy samolot staruje widoki z tych kamer są niesamowite. Przez cały lot można sobie obserwować ziemię, no chyba że chmury przesłonią nam widok.

Po godzinie obsługa zaczyna serwować posiłki. Jak na Emirates przystało są bardzo urozmaicone. Polacy oczywiście zaczynają delektować się darmowym alkoholem. Emirates to linia lotnicza mająca siedzibę w Dubaju, ZEA. Jej głównym węzłem jest lotnisko w Dubaju. W okresie rozliczeniowym 2007-2008 linia przewiozła 21 229 225 pasażerów oraz 1 282 134 ton ładunków. Linia zatrudnia ponad 40 000 osób.

Dokładnie po 5 godzinach lotu docieramy nad Zatokę Perską do Dubaju. Jest makabrycznie gorąco. Przystawiamy zegarki dwie godziny do przodu. Mimo że już po 23:00 to jest 40 stopni Celsjusza. Wsiadamy z samolotu bezpośrednio na płytę lotniska, więc oddech pustynnych terenów czuć niczym powiew z piekarnika. Wsiadamy do autobusu lotniskowego, który dosłownie przez kwadrans wiezie nas po lotnisku do terminalu. Samo to świadczy o wielkości lotniska w Dubaju.

Przechodzimy przez korytarze tzw. tranzytu, znowu czeka nas kontrola bezpieczeństwa i ponownie przechodząc przez bramki – piszczę. Jak nic to przez moje sandały. Muszę zdjąć buty i na bosaka przejść przez bramkę. Tym razem już bramki nie piszczą. Ależ mają czułość bramek, skoro metalowe sprzączki powodują ich piszczenie.

Budynek lotniska jest niczym wielki kombinat. Ma kilka poziomów, z wielkimi windami i fontannami w postaci wodospadów, ciągnących się przez dwa piętra. Pomiędzy kilkoma terminalami jeździ się podziemną kolejką, bo na piechotę jest to niemożliwe. Na każdym z terminali setki ekskluzywnych sklepów z najlepszymi produktami. Można tu kupić wszystko. Począwszy od słodyczy, a skończywszy na diabelnie drogich wyrobach jubilerskich czy też luksusowych samochodach

Nasz kolejny samolot dopiero za cztery godziny z kawałkiem. Emirates daje swoim pasażerom w przypadku ponad 4 godzinnej przesiadki vouchery na darmowy posiłek. Odbieramy owe vouchery w odpowiednim okienku i rozglądamy się gdzie można je wykorzystać. Trafiamy do polecanej pizzerii. Zamawiamy dwie pizze i dostajemy specjalny brzączek do stolika, który nas poinformuje że można już pizzę odebrać. Pizza okazuje się być naprawdę dobra.

Po kolacji wracamy na nasz terminal A, oczywiście szybkim metrem. Lubię lotniska nad zatoką Perską. Tu na chwilę spotyka się cały świat. Można oglądać ludzi z różnych stron świata. Na takim lotnisku mamy cały przegląd ludzi – kolorów skóry, kształtu oczu, wysokości, grubości i naturalnie rzecz biorąc również strojów – arabskich dżelabiji, kobiecych hidżabów, indyjskich sari i innych. Czasem tylko człowiekowi wstyd... przed chwilą spotkaliśmy ojca z dwiema dziewczynkami... Polaków. Ojciec powiedział do dziewczynek „poczekajcie tylko jeb...ę fotkę”. Chodziło tu o owe dwupiętrowe wodospady. Ale polszczyzna pierwsza klasa...

Każdego dnia lotnisko odprawia ponad 100 tysięcy pasażerów (!!!), czyli rocznie 40 milionów.

Siedzimy sobie przy naszych bramkach czekając na samolot. Po raz pierwszy mamy lecieć wielkim Airbusem A380, który zabiera na swój pokład 550 ludzi. Wylot mamy o 3:05, a już o 2 w nocy zaczynają nas pakować do samolotu. Jednak boarding 550 ludzi musi trochę potrwać.

22.07.2013 (poniedziałek)

Lot nasz jednak nie wylatuje punktualnie. Kiedy już wydaje się że powinniśmy odlecieć, pilot informuje nas, że 8 osób nie zgłosiło się do bramek, ale są gdzieś na lotnisku. Ich bagaże są niestety w lukach bagażowych. Boarding zamknięty, a pasażerów nie ma, więc niestety trzeba wyjąć z luków ich bagaże. I znajdź tu 8 bagaży wśród 550... Masakra. Tak więc przez szukanie nasz lot opóźnia się o godzinę. Ciekawe czy w tym czasie odnaleźli się pasażerowie.

Samolot w środku robi niesamowite wrażenie. Jest ogromny z kilkoma pomieszczeniami pasażerskimi. Sumie ma dwa piętra. Na górze są miejsca pierwszej klasy. Tam też znajduje się barek jak w prawdziwym nocnym klubie. Samolot ma też tak wielkie silniki, że wszystkie do tej pory są przy nich niczym kruszynki. Ja nie wiem jakim cudem tak ogromny samolot jest w stanie się unieść w powietrze i lecieć. Liczba osób z obsługi lotu to ponad 20 stewardess i stewardów. Jako że to linia arabska, to i wśród obsługi cały świat. Pilot mówi, że obsługa mówi w 15 językach. Nawet w... suahili!!!!

W samolocie w końcu zasypiam na chwilę, bo tyle już siedzimy w oczekiwaniu na start. Jestem zmęczona i jeszcze chwila a przespałabym start samolotu. Co ciekawe samolot startuje leciutko mimo swoich gabarytów. Z racji swoich rozmiarów, prawie nie czuć żadnych turbulencji. Po godzinie od startu czas na jedzenie. Żołądki mogą zwariować. Według czasu polskiego jest 3 nad ranem, a tu mamy coś jeść. Jemy omlet ze szpinakiem. Nic dodać nic ująć o 3 nad ranem... pocieszam się, że według czasu dubajskiego jest już 5. ciekawostką jest również to, że do posiłku używa się w Emirates stalowych sztućców. Nigdy do tej pory tak nie było, zawsze dostawało się plastikowe.

Zasypiam i z drobnymi przerwami śpię, aż do lądowania w Bangkoku. Samolot ląduje w

stolicy Tajlandii dokładnie o 13:05. Ciężkie chmury wiszą nad miastem. Trochę pada.

Szybka wysiadka z samolotu, odprawa paszportowa, potem bardzo długie czekanie, aż pojawią się nasze bagaże. W końcu pędzimy na kolejkę do centrum, która cztery lata temu jeszcze nie funkcjonowała, bo kończono ją budować. Najpierw jedziemy nią 25 minut i przesiadamy się na kolejną linię, którą śmigamy jeszcze kwadrans. Docieramy do dzielnicy, w której mamy zarezerwowany nocleg. Ze stacji kolejki idziemy około 15 minut do hoteliku. Droga prowadzi pomiędzy straganami z zupami i całą masą przekąsek. Już wiem gdzie niedługo wrócimy na obiad. Docieramy bez problemu do Udee Hostel, gdzie czeka na nas pokój i prysznic. Po tylu godzinach super jest się wykąpać.

Czas wrócić na widziane przez nas stragany z jedzeniem. Wybieramy stragan z dużą ilością gęstej zupy makaronowo-kurczakowej. Pyszna.

Po zapełnieniu żołądków czas pojechać nad rzekę, aby tak jak cztery lata temu popłynąć szalonym statkiem na Khao San Road. Statek wariuje przy każdym zatrzymaniu na przystanku. Silnik tak mocno terkocze, aż czarne, śmierdzące dymy ulatują w powietrze. Po czym po gwizdku pana na nabrzeżu, gdy wszyscy wysiadają i wsiadają, statek rusza jak puszczony z uwięzi. Nic się nie zmieniło, tak samo jak poprzednim razem po statku biega pani bileterka, która głośno potrząsa puszką-skarbonką w której ma bilety i pieniądze za nie.

Wysiadamy obok hotelu, w którym spaliśmy cztery lata temu. Uliczka obok tętni życiem, choć wydaje mi się że tym razem jest zdecydowanie więcej turystów. Każda knajpka zajęta do ostatniego miejsca. Wszyscy piją coca-colę. Z racji święta pełni księżyca, które wypada co miesiąc, ale lipcowe jest najważniejsze, nie można nigdzie sprzedawać i spożywać żadnego alkoholu. Są nawet kartki umieszczone przed restauracjami i sklepami, że dzisiaj alkohol nie jest dostępny. W sklepach szafy z alkoholem są przykryte.

Uliczkę wypełnia cała masa straganów z tzw. „badziewiem” i chyba też więcej tego niż za pierwszym razem. W jednym z zaułków obserwujemy scenkę, gdzie wyłazi szczur i zjada kotu z miski jedzenie. Wychodzi kot i widząc szczura mija go szerokim łukiem...

Na Khao San Road tak samo jak było. Tłum turystów, którzy są nagabywani przez krawców, sprzedawców drewnianych żab, naganiaczy do restauracji oraz sprzedawców wszelkich fałszywych dokumentów. Można tu również odbyć masaż pod tzw. „chmurką”. Na chodnikach rozstawione są leżaki, gdzie odbywają się masaże. No i tutejszy hit – sprzedawczyk kolorowych, grających i migających koszulek!!! Zdecydowanie Khao San Road jest barwne.

Na koniec dnia jemy jeszcze tajski Pad thai, czyli makaron z kurczakiem i idziemy napić się mojego ulubionego świeżego soku z mango i marakui. Potem już tylko łapiemy taksówkę i jedziemy do hoteliku. Z racji tego że święto, to nie ma korków i można skorzystać z taksówki. W normalny dzień przejazd może się okazać drogi, bo samochód co chwile utyka w szpalerach innych aut. Całe szczęście taksówki w Bangkoku ogólnie są i tak tanie.

Idziemy spać, bo czas aby rozprawić się z jet lagiem, bo jutro nie będziemy w stanie wstać, bo wydawać się będzie, że to polska noc a nie tajski poranek. Strasznie nie lubię tego uczucia zmęczenia z powodu różnic czasu.

Miło wrócić do klimatyzowanego pokoju po pierwszym gorącym azjatyckim dniu. Za kilka dni powinniśmy przyzwycząić się jakoś do gorąca i wilgotności.

A jutro czas zmierzyć się z ambasadą birmańską i załatwieniem wizy. Oby nic nie stanęło nam na przeszkodzie, bo dzisiaj z racji święta była zamknięta.

23.07.2013 (wtorek)

Pobudka 6:50. Nawet całkiem nieźle się wstaje. Spaliśmy 10 godzin, a to już powinno zniwelować jet laga.

Czas na śniadanie w hostelu. Samoobsługa w kuchni, więc każdy robi sobie sam picie czy też tosty. Są też do wyboru gotowe kanapki oraz warzywa i owoce.

O 7:30 zbieramy się do wyjścia i idziemy na skytraina, który z przesiadką dowiezie nas w okolice ambasady Birmy. Zajmuje nam to prawie godzinę. Przed ambasadą kolejka ludzi już z 70-80 osób. Zajmujemy miejsce na końcu kolejki. W sumie nie ma co się dziwić, że tyle osób już tu czeka, skoro wczoraj było święto więc zamknięte, wcześniej był weekend, a podobno i w piątek było święto, więc też zamknięte. Stąd od czwartku nikomu nie przyznano birmańskiej wizy. Są tu ludzie, którzy nie wiedzieli o święcie i musieli kupić nowe bilety, bo nie dało się lecieć bez wizy.

Kolejka rośnie również za nami. Co chwile podjeżdżają kolejne taksówki i wysiadają chętni by dostać wizę. W pobliskim ksero można zakupić za 5 batów (50 groszy) formularz wizowy. Toteż w kolejce co chwilę ktoś wypełnia formularz zanim otworzą ambasadę. My też siadamy na krawężniku i wypisujemy swoje dokumenty łącznie z historią swojej pracy zawodowej. Co kraj to obyczaj. Japończycy stojący w kolejce za nami pożyczają nam klej do przyklejenia zdjęcia do formularza wizowego.

Punktualnie o 9 rano drzwi ambasady zostają otwarte i ludzie partiami zostają wpuszczani do środka. Najpierw trzeba ustawić się do okienka nr 4 gdzie sprawdzany jest formularz wizowy, po czym dostaje się numerek i siada na sali i czeka aż posiadany numerek się wyświetli. Trochę tak jak na poczcie. Następnie podchodzi się do okienka, oddaje formularz, paszporty i dokonuje się opłaty. Jeśli chce się mieć wizę ekspresową na dzisiaj, to opłata jest wyższa o 40zł. Aż dziw w sumie że tylko taka cenowa różnica. My też potrzebujemy wizę dzisiaj, bo jutro z samego rana lecimy do Birmy. Ciekawe ile osób ze stojących tutaj spotkamy jutro w samolocie.

O 10:15 sprawę mamy załatwioną – złożone dokumenty i opłacona wiza. Teraz musimy pojawić się tu ponownie o 15:30, aby paszport z wizą odebrać.

Z ambasady idziemy piechotą nad rzekę, jedząc po drodze moje ulubione azjatyckie „pao” czyli pampuszki nadziewane różnościami. Tutaj trafiamy na nadziewane jajkiem. Nad rzeką wsiadamy tak jak wczoraj na statek i płyniemy do Wat Pho, czyli świątyni w której jest wielki leżący Budda. Wat Pho znajduje się na terenie Starego Miasta Królewskiego (Rattanakosin), nieco na południe od Wielkiego Pałacu Królewskiego. Od „Świątyni Jutrzenki” (Wat Arun) oddziela go rzeka Menam. Przez teren, na którym znajduje się kompleks świątynny, przebiega droga – Soi Chetuphon, dzieląc go na dwie części: północną i południową.

Północna część to rejon najczęściej odwiedzany przez turystów, ponieważ właśnie tu znajduje się główna świątynia (bot) oraz kaplica z posągami Odpoczywającego Buddy, a także przepiękne ogrody i znana na całym świecie tajska szkoła masażu.

Część południowa to przede wszystkim miejsce, gdzie mieści się zakon buddyjski i szkoła. Podczas spaceru w tej części, można natknąć się na mnicha, z którym być może uda nam się nawiązać rozmowę. Mnisi są zwykle bardzo mili i skorzy do opowiedzenia jakichś ciekawych historii związanych ze szkołą, zakonem czy świątynią.

Monumentalny Budda

Wat Pho słynie przede wszystkim z potężnego posągu Odpoczywającego Buddy (kaplica na zachodnim dziedzińcu). Pozłacana figura, mierząca 15 m wysokości i 46 metrów długości, ukazuje Wielkiego Mistrza w momencie osiągnięcia nirwany. Cały posąg wykonano z wielką dbałością o szczegóły.

Warto przede wszystkim zwrócić uwagę na stopy Oświeconego, na których przepięknie wygrawerowano starożytne symbole i inkrustowano je macicą perłową.

Oprócz monumentalnego Buddy, na terenie watu zgromadzonych jest ponad tysiąc innych rzeźb, z których większość pochodzi z ruin poprzednich stolic Tajlandii. Figury te przedstawiają oczywiście Buddę i ustawione są w licznych krużgankach świątyni. W głównej kaplicy (bot), znajdującej się na wschodnim dziedzińcu, zobaczyć można 394 posągi Buddy wykonane z brązu. Do wnętrza tej budowli prowadzą pięknie wykonane drzwi z drewna tekowego, zaś jej podstawę zdobią 152 wyrzeźbione w kamieniu rysunki, przedstawiające historie zaczerpnięte z Ramakien.

Na terenie watu mieszczą się ponadto cztery chedi, symbolizujące trzech pierwszych władców państwa (przy czym królowi Ramie III poświęcone są dwie wieże). Są one pięknie dekorowane kolorowymi płytkami ceramicznymi. Cały okrąg świątynny otaczają ogrody, zaś główny jego dziedziniec usiany jest drobnymi chedi i rzeźbami ukazującymi hinduskich

pustelników.

Tak jak w każdym kompleksie sakralnym, także tu znajduje się biblioteka, która jest niezwykle pięknie zdobiona przy użyciu kawałków porcelany.

Świątynię zbudowano na 200 lat przed tym, jak Bangkok stał się stolicą Tajlandii. Według źródeł, miejsce zajmowane dziś przez Wat Pho, było niegdyś centrum nauczania tradycyjnej tajskiej medycyny. W 1788 r. wzniesiono pierwszą świątynię – Wat Phodharam, która została następnie przebudowana. O nowy wygląd budowli zatroszczył się król Rama III. Za jego czasów zajęto się renowacją sal świątynnych oraz dobudowaniem dodatkowych pomieszczeń.

Oprócz tego, na ścianach całego budynku, umieszczono tabliczki z tekstami dotyczącymi medycyny naturalnej.

Zachowując tradycję tych terenów, w 1962 r. powołano tu do życia szkołę tajskiej medycyny i masażu.

Rety jakie tu dzisiaj tłumy! Jak byliśmy tu cztery lata temu, było cicho i spokojnie, a dzisiaj setki ludzie, ale jest to efekt cały czas trwających świąt pełni księżyca. Czasami ludzie jest tyle, że aż trudno się przepchnąć dalej. Pod samym leżącym Buddą tłum jest mega wielki. Każdy próbuje zrobić sobie z nim zdjęcie. Toteż dość szybko przenosimy się na drugą stronę rzeki do świątyni Wat Arun. Tutaj też strasznie dużo ludzi, ale kompleks na szczęście większy. Wat Arun – Świątynię Świtu. Ta wspaniała budowla wznosi się u zachodnich brzegów Menamu (Chao Phraya) i jest jednym z najstarszych zabytków stolicy Tajlandii.

Świątynia Wat Arun bywa określana symbolem Bangkoku. Położona jest na prawym (zachodnim) brzegu rzeki Menam (Chao Phraya). Do tej przepięknej budowli łatwo można dostać się łodzią ekspresową lub promem – już sam przejazd daje niezapomniane wrażenia.

Świątynię doskonale widać z przeciwległego brzegu rzeki, ale żaden turysta spragniony ponadczasowego piękna nie powinien na tym poprzestać.

Nazwa „Wat Arun”, wywodzi się od imienia hinduskiego bóstwa świtu – Aruny. Samo słowo wat oznacza kompleks świątyni-klasztoru, z kilkoma typowymi elementami, wspólnymi dla wielu religijnych budowli buddyjskich. Budowla składa się z jednego głównego prangu (smukła wieża typowa dla architektury Khmerów, o fallicznym kształcie, z eliptyczną kopułą) o wysokości 104 metrów oraz czterech mniejszych wież, których wysokość wynosi od 80 do 85 metrów.

Ściany świątyni udekorowane są tłuczoną porcelaną, pochodzącą z Chin, która używana była jako balast w łodziach krążących między Chinami a Tajlandią. Tym samym materiałem pokryte są chińskie posągi, stojące wokół Wat Arun. Podstawę prangu zdobią cztery posągi boga Indry i jego słonia.

Wejścia do Wat Arun strzegą dwaj strażnicy – giganci, także na dziedzińcu wokół świątyni stoi wiele rzeźb o charakterze religijnym. Przez kilka lat właśnie tutaj przechowywany był słynny posąg Szmaragdowego Buddy – największa świętość buddystów. Po wybudowaniu świątyni Wat Phra Kaew (Świątynia Szmaragdowego Buddy) został tam przeniesiony.

Z głównego prangu świątyni Wat Arun rozciąga się wspaniały widok na rzekę Menam i okolicę. Na wieżę dostać się można po wewnętrznych, stromych schodkach. Jak wskazuje sama nazwa budowli – najpiękniej wygląda ona, kiedy słońce znajduje się nisko nad horyzontem (czyli o świcie lub wieczorem).

Świątynia Wat Arun powstała w czasach królestwa Ayutthaya (lata 1350-1767), jako Wat Makok. Później, kiedy stolicę państwa przeniesiono do Thonburi (Thon Buri), nosiła nazwę Wat Chaeng. W czasach panowania króla Ramy II, który rozpoczął przebudowę świątyni, nazwano ją Wat Arunratchatharam, zaś za króla Ramy IV, który przebudowę skończył – Wat Arunratchawararam. Obecna nazwa jest skrótem tej ostatniej. Każdy przyzna, że łatwiej zapamiętać „Wat Arun”, niż wersję oficjalną, szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy świątynia odwiedzana jest przez tysiące turystów z całego świata.

W poszczególnych świątyniach siedzą mnisi i błogosławią ludzi. Wierni znoszą wiadra napełnione różnymi darami. W środku jest wszystko od pasty do zębów, po środki czystości. Kiedy mnich błogosławi, wierni przekazują wiadra podarków. Jakież było moje zdziwienie, gdy okazało

się, że te wiadra są... wielokrotnego użytku. Przed świątynią są punkty w których za 20 batów kupuje się owe wiadro z darami. Po przekazaniu wiadra mnichowi pojawia się „obsługa” która te wiadra zabiera i... ponownie wystawia na tzw. wypożyczenie. I tak dzieje się w kółko. Mnich każdego solidnie skrapia wodą, a na koniec każdemu zawiązuje sznureczek na szczęście – na lewej kobietom, na prawej – mężczyznom.

W świątyni panują całkiem inne zasady niż u nas. W czasie ceremonii błogosławieństwa pani z obsługi świątynnej siedzi sobie obok i je zupę i... rozmawia przez telefon. No chciałabym zobaczyć kogoś w polskim kościele jedzącego zupę i gdzieś dzwoniącego.

W świątyniach znajdują się wielkie posagi złotych Buddów i innych połączonych figurek, do który ludzie przykładają karteczki. Wtedy złotko się do nich przykleja, a oni przyklepiają je sobie na czole.

W niektórych świątyniach mnisi używają mikrofonów, więc w całej okolicy jest bardzo gwarno, bo głosy mnichów z poszczególnych świątyń nakładają się na siebie. Część mnichów siedzi sobie na ławeczkach pod świątyniami. Wszyscy mają wściekle pomarańczowe szaty. Tutaj w Tajlandii, taki kolor oznacza młodego mnicha. Im starszy tym bardziej purpurowa nosi szatę.

Wracamy z powrotem na drugi brzeg rzeki, aby złapać powrotny statek i dopłynąć w pobliże ambasady. Jesteśmy na miejscu koło 16:00 i po 5 minutach mamy nasze paszporty z przyklejonymi wizami. Pierwszy raz wizę mamy ze zdjęciem.

Po odebraniu paszportów skytrainem wracamy do naszej dzielnicy, w której nocujemy. Pod drodze leje jak z cebra, ale kiedy wysiadamy znowu jest całkiem fajna pogoda bez deszczu. Postanawiamy pójść na obiad. Dzisiaj też wybieramy zupę. Na stoliku stoją różne przyprawy – suche i płynne. Poza tym minicebulki ze szczypiorkiem i inna zieleń, która można sobie dodać do zupy.

Na jednym ze stoik przy ulicy Paweł kupuje sobie klapki za całe 4,5zł. Hmm ciekawe czy jakość jest adekwatna do ceny. Ile takie klapki wytrzymają?

Jesteśmy z powrotem w hoteliku. Prysznic i chwila odpoczynku. Potem postanawiamy pojechać do China Town. Musimy skorzystać z taksówki, bo tam skytrain nie dojeżdża, a na dodatek znowu zaczyna padać deszcz. Po 40 minutach jazdy (wrr) docieramy do China Town. Trzeba wyciągnąć parasolkę. Ludzi dużo, a knajpek z chińskim jedzeniem chyba z milion. Ulica rozświetlona neonami z chińskimi znakami. Nie możemy nic kupić, bo mamy mało tajskich batów. Chcemy wymienić dolary na baty, ale oczywiście jest święto i już po zmroku więc takie przybytki są nieczynne. W jednym z miejsc mają bandycki kurs. Chodzimy więc w strugach deszczu szukając miejsca gdzie uda się wymienić pieniądze. Na dodatek chcemy wymienić niewiele, bo jutro opuścimy Tajlandię. W końcu udaje się. Zaczynamy szukać fajnej restauracyjki aby coś jeszcze zjeść, ale ceny są kosmiczne. To chyba efekt miejsca, skoro turystyczne to ceny do góry windują ile wlezie. Polowa kaczki 30zł, owoce morza ceny też od 30zł. Wszędzie ośmiornice, ostrygi i inne cuda. W sumie dziwne miejsce i coraz mniej nam się podoba. Zjadamy w końcu cosik w małej uliczce, ale jest raczej takie sobie. Mijamy kilkoro Polaków, którzy narzekają, że nigdzie nie mogą się napić alkoholu i złorzeczą na to że w Tajlandii jest święto. Dobrze, że dzisiaj już była czynna ambasada, bo mielibyśmy nie lada problem.

W końcu postanawiamy wracać. No i masz babo placek. Każda zatrzymana taksówka nie chce jechać według wskazań licznika. Kierowcy za ten kurs chcą 250 batów. No też coś! Przyjechaliśmy tutaj za 110 batów. W końcu po dłuższym zatrzymaniu udaje nam się wytargować dojazd za 150 batów. Wsiadamy szybko, aby kierowca się nie rozmyślił. Znowu dość mocno pada, czas szybko się ewakuować do hostelu.

O 22 jesteśmy na miejscu. Obsługa hoteliku sprzedaje alkohol, tylko trzeba go wypić w ustronnym miejscu czyli na dachu hoteliku.

Po północy padam z nóg i idę spać.

24.07.2013 (środa)

Wstajemy o 7 rano. Szybkie pakowanie i jedzenie samoobsługowe w kuchni hostelu. O 8 wsiadamy do wcześniej zamówionej taksówki i jedziemy na lotnisko Don Muang w Bangkoku, z którego lata Air Asia do Birmy.

Poranek na ulicach stolicy Tajlandii deszczowy. Jedziemy na lotnisko 40 minut. O dziwo jakoś nie ma zbyt dużych korków, a to odległość 20 kilometrów.

Szybko nadajemy bagaż, ale tylko Pawła, bo ja mam nieduży i idziemy pod bramki poczekać na nasz lot do Mandalaj. Obok siedzą tabuny Chińczyków, bo jest akurat kilka lotów do Chin. Najbliższy do Makau. Każdy z Chińczyków ma całą masę siatek wypchanych zakupami w sklepach wolnocłowych znajdujących się na lotnisku.

Na płycie lotniska stoją dwa śmieszne samoloty linii Nokair – na ogonie samolotów mają namalowany tylko dziób ptaka, z kolei „dziób” samolotu jest pomalowany tak, że cały przypomina głowę ptaka. Śmiesznie to wygląda. Ciekawe czy Nokair oznacza linie Dziobek.

Siedzimy pod bramkami, ale „białych” podróżnych wcale nie jest tak dużo. Wydawało nam się, że większość wczoraj wyrabiała wizy ekspresowe, więc skoro nie ma ich teraz na lot do Mandalaj, to musieli polecieć do Rangun.

Po 10 rano zostajemy zapakowani do samolotu i o 10:50 odlatujemy do Mandalaj. Lecimy przez 1,5 godziny. Kiedy samolot obniża lot naszym oczom ukazują się meandry i rozlewiska himalajskiej rzeki Irrawadi, która płynie z północy Birmy przez cały kraj. Ciekawa sprawa, powierzchnia Birmy wygląda z okien samolotu niczym wysuszona kraina. Nie przypomina swoim wyglądem dotychczasowych krajów, które odwiedzaliśmy w Azji. Gdzie są te wilgotne lasy? Dookoła wszystko bardziej w kolorze brązu i nawet roślin jest niewiele. Pilot mówi, że jest powyżej 30 stopni Celsjusza. Za oknem widzę pierwsze złote birmańskie stupy.

Samolot Air Asi schodzi do lądowania na niewielkim, ale międzynarodowym lotnisku 40km od Mandalaj. Pod samolot podjeżdżają stare zdezelowane autobusy, aby przewieźć podróżnych do budynku lotniska. Autobusy są japońskie, ale tak zdezelowane, że na żadnym lotnisku jeszcze takimi nie jechałam.

Szybka odprawa paszportowa, bo tylko jeden samolot i na więcej na razie się nie zanoszą. Teraz idziemy po plecak Pawła. Skoro ja mam swój bagaż, to wychodzę na halę przylotów, aby zorientować się gdzie jest lepszy kurs wymiany dolarów. Czy tu na hali z bagażami, czy raczej na zewnątrz. Okazuje się, że na zewnątrz, na dodatek wypatruję informację, która obwieszcza przylatującym że Air Asia podstawia autobus za darmo do centrum Mandalaj. No lepiej być nie mogło. Nie musimy użerać się na dzień dobry z kierowcami taksówek. Zabieram się za wymianę waluty. Za 300 dolarów po 977 kyatów za dolara otrzymuję ponad 290 tysięcy kyatów. Jest potem trochę liczenia banknotów. Poza tym mało ich nie ma... pakuję więc je do dwóch grubych kopert, potem rozparceluje się je na mniejsze kupki.

Tak więc oficjalnie jesteśmy w Birmie. A więc czas na parę słów o geografii tego kraju.

Nazwa: Polska wymowa nazwy „Myanmar” nie jest ustalona. W wymowie birmańskiej końcowego "r" się nie wymawia ([mjəmà]), w języku angielskim stosowane są różne wymowy odbiegające od wymowy birmańskiej. Proponowane były różne spolszczenia mające oddawać przybliżoną wymowę birmańską lub spolszczony zapis angielski. Słownik ortograficzny PWN-u zaleca odmienianie nazwy Myanmar (Myanmaru, Myanmarze), co sugeruje wymowę z "r" na końcu. Komisja Standaryzacji Nazw Geograficznych zaleciła stosowanie zapisu Mjanma, MSZ zaczęło zaś stosować także formę Mianma – obie bardziej zbliżone do wymowy birmańskiej od dotychczas stosowanej formy Myanmar.

Powierzchnia i granice: Powierzchnia: 678 500 km² (40. miejsce na świecie), w tym: wody śródlądowe - 3,06%.

Mjanma graniczy z następującymi państwami:

Tajlandia – 1800 km

Laos – 235 km

Chiny – 2185 km

Indie – 1483 km

Bangladesz – 193 km

Budowa geologiczna i rzeźba:

Mjanma jest krajem górzystym, gdzie obszary górskie zajmują północną, wschodnią i zachodnią część kraju. Centralna część kraju jest nizinna i zajmuje ją Równina Irawadi.

Środkowa część kraju – Równina Irawadi jest akumulacyjną niziną formacją geologiczną o przebiegu południkowym. Tworzy ją rów tektoniczny, który jest zbudowany z utworów trzeciorzędowych, wypełniają go żyzne aluwia. Obszar nizin jest podzielony pasmem niewysokich gór Pegu Yoma na część wschodnią i zachodnią. Góry wznoszą się średnio na wysokość około 600 m n.p.m. najwyższe wzniesienia liczą około 1500 m n.p.m.

Tereny górskie dzielą się na trzy regiony. Na zachodzie kraju ciągną się Góry Zachodniobirmańskie o wysokości maksymalnej 3825 m n.p.m. – szczyt Sarametu wnoszący się na granicy z Indiami. Góry te biegną wzdłuż granicy z Indiami i Bangladeszem, a następnie wzdłuż wschodniego brzegu Zatoki Bengalskiej. Góry Zachodniobirmańskie zbudowane są z piaskowców i wapieni pochodzących z kredy. W północnej części kraju, fragment granicy z Chinami tworzą góry Hengduan Shan, gdzie najwyższy szczyt Hkakabo Razi wznosi się na wysokość 5881 m n.p.m. Obszar ten stanowi zarazem kulminację Azji Południowo-Wschodniej. Wschodnia część Mjanmy jest zajęta przez wyżynno-górzysty obszar Szan. Najwyższym szczytem tego regionu jest góra Loileng, która wznosi się na wysokość 2745 m n.p.m.

Linia brzegowa kraju jest silnie rozwinięta. Na obszarze wód Zatoki Bengalskiej w niewielkiej odległości od wybrzeży Mjanmy leżą dwie stosunkowo duże wyspy: Jnabie o powierzchni 100 km² i Cheduba o powierzchni 523 km². Na Morzu Andamańskim rozciąga się Archipelag Mjeik (Mergui), który składa się z 804 zróżnicowanych wysp, o łącznej powierzchni 3,5 tys. km², z których największa z nich – Kadañ liczy 450 km². Wyspy są częściowo zbudowane z raf koralowych. Archipelag ciągnie się wzdłuż północnej części Półwyspu Malajskiego. Mjanma należy do obszarów sejsmicznych, nawiedzanych przez trzęsienia ziemi.

Klimat: Mjanma leży w większości swojego obszaru w strefie klimatu zwrotnikowego monsunowego, dotyczy to także obszarów na samym południu kraju gdzie klimat posiada wybitnie morską, wilgotną odmianę. Krańce północne znajdują się pod wpływem klimatu podzwrotnikowego i także o monsunowej odmianie. Jeśli chodzi o wilgotną odmianę, to ta dotyczy się nie tylko obszarów leżących na południu kraju, zwłaszcza wybrzeża zachodniego, ale i Gór Arakańskich oraz regionu Szan.

Mjanma jest regionem azjatyckim, który zalicza się do strefy klimatów gorących. Na obszarach nizinnych średnia temperatura roczna wynosi od +25 do +27 °C, a na południu kraju jest nieco wyższa i dochodzi do +32 °C. W kraju nie występują dni z dużymi upałami, średnie wartości termiczne nie przekraczają wartości +32 °C. Izotermy mają przebieg zbliżony do równikowego, zwłaszcza na południu nad Morzem Andamańskim, to oznacza, że w większości terytorium Mjanma, amplitudy termiczne są niewielkie. Inaczej jest w górach, gdzie wraz ze wzrostem wysokości maleją średnie wartości termiczne. Obszary najwyższej położone, szczególnie regiony górskie na północy kraju (w pobliżu granicy z Chinami) cechują się chłodnym klimatem, gdzie średnia temperatura roczna nie przekracza +10 °C. Do częstych zjawisk w najwyższych partiach Hengduan Shan należą mrozy, które występują nie tylko zimą, ale i latem, choć w dzień temperatury nieznacznie przekraczają 0 °C. Tereny te są przez cały rok przykryte śniegiem, gdzie granica wiecznego śniegu przebiega na wysokości 4 000 m n.p.m.

Wysokość opadów jest ściśle uzależniona od wiatrów monsunowych i obecność oceanu. W kraju występują dwie pory – sucha i deszczowa, która trwa mniej więcej od maja do listopada. Równina Irawadi, będąc obszarem osłoniętym od zachodów Górami Zachodniobirmańskimi otrzymuje niewielkie wartości opadowe – średnio około 800 mm. rocznie. Obszary wysoko położone są bardziej wilgotne, np. tereny górzyste Szan to opady rzędu od 1 000 do 2 000 mm rocznie. Poza terenami górzskimi obfitymi regionami są delta rzeki Irawadi, która rocznie otrzymuje około 2 500 mm deszczu. Najbardziej obfite w opady są regiony nadmorskie, na południu kraju, gdzie suma opadów dochodzi do 5 000 mm rocznie.

Wody: Sieć rzeczna kraju jest dobrze rozwinięta i ma wyraźny, warunkowany tektoniczną formą krajobrazu układ południkowy. Główną rzeką kraju jest Irawadi, która przepływa przez zachodnią część równiny o tej samej nazwie. Rzeką wypływa z Hengduan Shan, a uchodzi szeroką, wieloramienną deltą do Morza Andamańskiego. Irawadi stanowi zarazem naturalną oś kraju. Rozległa delta Irawadi, na której obszarze znajdują się liczne bagna i rozlewiska ma powierzchnię 30 tys. km². Inną ważną rzeką kraju jest długa na 400 km Sittaun, która płynie przez wschodnią część Równiny Irawadi. Na wschodnim krańcu Mjanmy, płynie rzeka Saluin, która bierze swój początek na Wyżynie Tybetańskiej. Rzeką jest długa na 2400 km i uchodzi do Zatoki Martaban.

Poza tymi wyżej wymienionymi rzekami, w kraju istnieje wiele innych rzek, płynących przeważnie w kierunku południowym. Fakt ten oznacza, że Mjanma należy do zlewiska Oceanu Indyjskiego.

Gleby: Dominującą pokrywą glebową w kraju są mało urodzajne kambisole, występujące w zachodniej części Mjanmy. Na wschodzie Mjanmy występują nitosole, które są glebami pochodzenia wulkanicznego. Gleby te są żyzne i odporne na erozję, przez co mieszkańcy kraju wykorzystują je w gospodarce żarowej. Dolina Irawadi jest pokryta żyznymi fluwisolami, a w południowej części kraju, w strefie wybrzeża pojawiają się ubogie w składniki mineralne arkisole.

Flora: Świat roślinny w kraju jest bardzo bogaty, roślinność nie została poważnie zdegradowana przez działania ludzi. Obecnie wciąż około połowę powierzchni kraju pokrywają lasy. Dominującą formacją leśną Mjanmy jest las monsunowy, gdzie główny gatunek reprezentuje drzewo tekowe i różane. Poza nimi rosną też bambusy. Obszary górzyste, które są na ogół wilgotnymi miejscami, porastają wilgotne wiecznie zielone lasy podzwrotnikowe (las monsunowy zrzucają liście w porze suchej). Tereny nadmorskie porastają lasy namorzynowe, które występują także w delcie Irawadi, wraz z wszelką roślinnością bagienną. Centralna część kraju, czyli Równina Irawadi, która jest stosunkowo suchym regionem kraju, jest pokryta sawanną z zaroślami bambusa. W górach występuje piętrowość roślinna, od wysokości 3300 m n.p.m. występuje roślinność subalpejska.

Fauna: Świat zwierząt także na terytorium Mjanmy jest dobrze zachowany. Typowy dla Regionu Indochińskiego zwierzyniec reprezentują drapieżniki takie jak tygrys i lampart. W kraju nielicznie występują słonie indyjskie, nosorożce sumatrzańskie i tapiry malajskie. Do pospolitych gatunków należą bawoły, jeleniowate i antylopa garna. Tereny leśne reprezentują naczelnie jak: gibbon, langur i makak, oraz bogaty świat owadów (różne gatunki jadowitych pajaków). Powszechnie są też gady, głównie węże (największy z nich to pyton) oraz jaszczurki i płazy, które występują przede wszystkim na obszarach bagiennych w delcie Irawadi.

Z ptaków do najliczniejszych zaliczyć należy różne gatunki bażantowatych i ptaki brodzące, które są powszechne w środowiskach wodnych Mjanmy. W kraju żyje endemiczna dla Krainy Orientalnej rodzina turkuśników. Obszary wybrzeża są zamieszkiwane przez ptactwo morskie.

Mimo dobrze zachowanej przyrody w Mjanmie, tylko 0,3% powierzchni kraju jest chronionych, istnieje 11 rezerwatów o łącznej powierzchni 1700 km².

Wolę jednak nazwę Birma... Oglądam kraj z okien samolotu. Jeszcze zmiana czasu minus 30 minut do czasu tajskiego, czyli +4,5 do Polski. Paweł ma swój bagaż i idziemy do podstawionych dwóch autobusów. W środku siedzenia ubrane są w czerwone koszulki z logiem Air Asi. Turyści wsiadają i możemy ruszać.

Jedziemy najpierw przez ubogie tereny z małymi wioskami, obok ciągną się rozlewiska wspomnianej Irrawadi. Droga całkiem fajna, ale to taka specjalna łącząca lotnisko z Mandalaj. Ruch niewielki.

Docieramy do centrum Mandalaj, które na pierwszy rzut oka jest gigantycznym miastem i z dość chaotycznym ruchem, którym stara się kierować policjant stojący na skrzyżowaniu. Najwięcej na drodze skuterów i rowerów. Dookoła wszędzie rozgardiasz i bałagan. Trochę przypomina mi to Indie. Ale przynajmniej numeracja ulic jest w porządku, bo są jak w Stanach ponumerowane. Zanim jeszcze autobus zatrzymał się przed siedzibą Air Asi, to tłum rykszarzy, taksówkarzy już obkoczył autobus i macha do turystów, aby gdzieś zawieźć.

Udaje nam się szybko wysiąść, złapać nasze plecaki i umknąć przed tym szaleństwem. Tym

bardziej że uliczka z hotelikami które nas interesują jest 10 minut piechotą.

Trafiamy do hotelu o przedziwnej nazwie Nylon. Mieliliśmy iść do innego, ale ten nawinął się za 20 dolarów za dwuosobowy pokój z klimą. Tyle że na 4 piętrze bez windy, więc trzeba pokonać piechotą te 4 piętra, co nie jest takie proste w tym gorącu.

Po chwili odpoczynku zbieramy myśli co dalej. Wynajmujemy taksówkę stojącą przed Nylonem, która wiezie nas przez zatłoczone Mandalaj. Mandalaj jest dużym (drugim po stolicy) i hałaśliwym miastem, ale nie pozbawionym uroku. Stanowi ważne centrum kulturalne i religijne kraju. Duża liczba ciekawych świątyń oraz obecność czterech dawnych stolic w zasięgu jednodniowej wycieczki sprawia, że warto się tu zatrzymać na parę dni. Miasto zawdzięcza swoją nazwę pobliskiemu wzgórzom Mandalaj. Prawdopodobnie pochodzi ona od słowa palijskiego, chociaż dokładny źródłosłów nie jest pewny. Pod uwagę brane są między innymi: Mandala (oznaczające okrągłą płaszczyznę), Mandare (oznaczające prawdopodobnie "pomyślną ziemię") lub Mandara (góra z mitologii hinduistycznej). Po założeniu w roku 1857, królewska stolica otrzymała oficjalną nazwę Yadanabon. Założone w 1857. W latach 1860-1885 pełniło rolę stolicy Birmy. W okresie II wojny światowej okupowane przez Japończyków. Od uzyskania niepodległości przez Birmę w 1948, miejsce częstych zamieszek i niepokoїв społecznych. W 1949 przejściowo opanowane przez połączone siły chrześcijańskich Karenów i komunistycznej partyzantki birmańskiej.

Mkniemy uliczkami, a mijają nas minicęzarówki, wypchane po brzegi ludźmi i towarami. Kto się nie zmieścił jedzie na dachu lub wisi z tyłu uczepiony barierką. Pędzą miliony skuterów, na których siedzą i po 4 osoby. Miasto całe pocięte ulicami przecinającymi się do siebie prostopadle, więc skrzyżowań co niemiara, a świateł najczęściej brak. Skąd tu ludzie wiedzą kto ma pierwszeństwo? Nie mam zielonego pojęcia. Dobrze, że jestem tylko pasażerem, a nie kierowcą.

Najpierw jedziemy na tzw „złotą” uliczkę, gdzie robi się ze złota bardzo cieniutkie papierki, którymi potem obkleja się posągi i birmańskie stupy. Są tak lekkie, że jak się machnie delikatnie ręką, to od razu odfruwają.. Złoto ubija się 3 kilogramowym młotem przez 5 godzin, aby był jak najcieńszy. Pokazano nam również jak wyrabia się papier z bambusa. Nie wiem czemu bambus aż trzy lata musi się kisić, aby mógł z niego powstać papier. Siedzi taki bambus w glinianym dzbanie i fermentuje.

Kolejne miejsce to mała „fabryczka”, w której wyszywa się poduszki, kilimy oraz znajduje się sklep, który wyglądem przypomina magazyn zastawiony tysiącami zakurzonych figurek. Każdy może tu znaleźć coś dla siebie od drewnianych słoni, poprzez birmańskie lalki-marionetki, a kończąc na meblach. Są tu wyroby z drewna, brązu, marmuru. Dosłownie z każdego materiału. Jeden dzień wizyty w tym składzie to mało.

Jedziemy do świątyni Mahamuni Paya, która jest ogromną świątynią z Buddą, którego ludzie od 1906 roku oblepiają złotymi płatkami, tak, że trochę zatracił swój pierwotny kształt i przykryła go już kilkucentymetrowa warstwa złota. Do samej świątyni z kilku stron prowadzą zadaszone korytarze, które są niczym cepelia z buddyjskimi dewocjonaliami jak i pamiątkami dla turystów. Dziwnie idzie się przez taki kombinat pamiątkarski, aby dopiero potem wejść do właściwej części świątyni. Dużo wiernych w środku się modli, inni spacerują uderzają w dzwony na szczęście. Co chwilę rozlega się dudnienie. W pewnej chwili do świątynnych pomieszczeń zajmowanych przez mnichów wracają ich lokatorzy. Młodzi mnisi wychodzą z jednego dziedzińca tam, chyba znajduje się szkoła. Każdy z mnichów wraca z zeszytami i szybko znika w kolejnych korytarzykach prowadzących do ich pokojów mieszkalnych.

Świątynia Mahamuni (nazywana także Pagodą Mahamuni, dosł. Wielkiego Mędrca) – świątynia buddyjska i ważne miejsce pielgrzymek zlokalizowane w południowo-wschodniej części Mandalaj w Mjanmie (Birmie). W świątyni znajduje się wykonany z brązu wizerunek Buddy Candasāra (zwany obecnie najczęściej Buddą Mahamuni), który jest uważany za najważniejszy w kraju. Znaczenie wizerunku wynika z wiary, iż jest to jedyna istniejąca dokładna podobizna Buddy. Historia posągu wiąże się ściśle z religijną i polityczną historią Arakanu, gdzie przebywał przez setki lat aż do 1784 roku, kiedy to po wielu próbach udało się go wreszcie zdobyć i wywieźć Birmańczykom.

Budowę świątyni Mahamuni rozpoczęto na rozkaz króla Bodawpaya w roku 1785 w miejscu, w którym już wcześniej znajdowały się świątynie i klasztory. Od początku była pomyślana jako miejsce, w którym umieszczony zostanie święty wizerunek Buddy Mahamuni. Świątynię wybudowano na otwartym terenie, około 3 km od Amarapury, ówczesnej stolicy Birmy. Jeszcze w roku 1795 świątynia nie była ukończona, a więc jej budowa musiała zająć ponad dekadę. Z biegiem lat wokół rozbudowało się miasto, a Amarapura została wchłonięta przez pobliskie Mandalaj, tak że obecnie świątynia znajduje się w gęsto zabudowanej okolicy południowo-wschodniej części stolicy prowincji. Święty wizerunek znajdował się w sklepionej łukowato niszy o złożonych ścianach, z umieszczonymi na niej różnokolorowymi lustrami. Do komory z wizerunkiem Buddy Mahamuni prowadziły kolumnady utworzone przez 252 złożone drewniane słupy, a nad nią wzniesiono siedmiopiętrową drewnianą wieżę. W roku 1879 oraz 8 kwietnia 1884 świątynię trawiły pożary, przy czym drugi z nich okazał się katastrofalny w skutkach: ocalała jedynie komora zawierająca święty wizerunek.

Wstępną odbudowę świątyni rozpoczęto już w roku 1884 dzięki finansowemu wsparciu króla Thibawa. Poza sfinansowaniem samej odbudowy przekazał on wiele drogocennych darów, wśród których znajdował się "biały parasol" ozdobiony 879 diamentami, 282 szmaragdami, około 5000 rubinów i ponad 8000 pereł. W roku 1891 podjęto decyzję o ostatecznym kształcie odbudowywanej świątyni, której projektantem został brytyjski architekt Hoyne Fox. Dolny poziom odbudowano w stylu europejskim, a nad nim wzniesiono tradycyjną birmańską piętrową wieżę. Koncepcja ta wzbudzała duże kontrowersje, krytykowano jej eklektyzm i niepełne odniesienie się do birmańskiej tradycji architektonicznej. Odbudowa zajęła 14 lat, a jej sfinansowanie umożliwiło, poza prywatnymi i państwowymi datkami, opodatkowanie handlarzy mających stoiska na terenie świątyni.

Wizerunek Buddy Mahamuni. Według przekazów legendarnych do odlania posągu miało dojść jeszcze za życia Buddy, gdy wraz ze swym uczniem Anandą i 500 arahantami odwiedził on rządzącego Arakanem króla Candasuriyę. Pracę wykonali Sakra (Indra), Król Bogów, oraz Visvakarman, niebiański architekt. Kiedy Wielki Mędrzec (Mahamuni) Budda tchnął w swój wizerunek życie okazało się, że wygląda on identycznie, jak swój pierwowzór. Pojawiły się też cudowne znaki: wystąpiło trzęsienie ziemi, a posąg wstał, jakby był żywy i powitał swego starszego brata – Gautamę. Budda przepowiedział następnie, że wizerunek pozostanie na ziemi przez 5000 lat po jego śmierci i osiągnięciu przezeń nirwany oraz będzie posiadał nadnaturalne moce. Rzeczywiście, arakańskie kroniki przypisują posągowi dziewięć cudownych właściwości: święta woda wlewana przez wiernych do wykopanego w jego sąsiedztwie otworu (vasundhara) nigdy go nie wypełniała; przez cały rok nie zmieniała się ilość wody w zbiorniku używanym do mycia głowy wizerunku; sześciobarwna aureola rozbłyskała, gdy zbliżał się do niej wierny; bladła zaś w obecności niewiernego; świeciła silnie wieczorem; świątynia była zawsze w stanie pomieścić wszystkich wiernych; kamienni strażnicy powstrzymywali tych, którzy wchodzili do świątyni ze złymi intencjami; liście drzew otaczających świątynię zwracały się zawsze w jej kierunku; ptaki nigdy nie śmiały latać nad świątynią. Posąg miał też początkowo przemawiać, udzielać królowi rad i wygłaszać kazania, ale milkł w miarę jak nauki Buddy przestawały się rozprzestrzeniać, a na świecie postępowało zepsucie.

Rzeczywista data powstania obecnego posągu Buddy Mahamuni jest trudna do ustalenia. Najstarsza historyczna (a nie legendarna) wzmianka na jego temat pochodzi z inskrypcji z końca VIII w. ne. Posąg został prawdopodobnie odlany za panowania króla Devacandry (454-476 po Chr.). Do roku 1785 znajdował się w Świątyni Mahamuni w Dhanyawadi w Arakanie, ok. 32 km na północ od Myauk U. Świątynia ta była wielokrotnie niszczona i przebudowywana, a w XII w. została na pewien czas pochłonięta przez dżunglę tak, że zapomniano o jej lokalizacji i wymagała poszukiwań. W roku 1784 Arakan został podbity przez armię birmańskiego króla Bodawpaya pod dowództwem jego syna, Następcy Tronu, Thado Minsawa. Przy transporcie ważącego około 6,5 tony posągu zatrudniono około 10 000 ludzi. Został on spławiony na tratwie w dół rzeki Kaladan, przeciągnięty przez górskie przełęcze do rzeki Irawadi, a następnie przewieziony na dwóch barkach do Amarapury. Według tradycji przed transportem posąg miał być pocięty na trzy części, jednak nie

wykluczone, że w rzeczywistości był on od razu odlewany w trzech fragmentach ze względu na swoją wielkość. Według kronik, 4 maja 1785 w Sikongu król Bodawpaya na powitanie Buddy wszedł po szyję w wodę rzeki[d]. Ostatecznie święty wizerunek znalazł się na swoim obecnym miejscu w świątyni w Amarapurze 7 maja 1785 roku. Do służby w świątyni zatrudniono część z 20 000 jeńców przygnanych z Arakanu wraz z królem Maha Thamadą. Zatrudnianie niewolników w świątyniach nie było w dawnej Birmie rzeczą niezwykłą; do pracy takiej przeznaczano na przykład mnichów wydalonych z Sanghi za ciężkie przewinienia.

Wykonany z brązu posąg mierzy 3,84 m wysokości, 2,89 m w pasie oraz 1,83 m rozstawu ramion. Przedstawia on Buddę w pozycji siedzącej, z rękami ułożonymi w geście wezwania ziemi na świadka (bhumisparśamudra) w chwili oświecenia. Posąg spoczywa na tronie (palin), ma nałożoną koronę, wysadzaną diamentami, szafirami i rubinami, oraz odziany jest na sposób typowy dla birmańskich królów, z bramińskimi taśmami (salwe) skrzyżowanymi piersiach. Taśmy te zostały umieszczone na posągu prawdopodobnie dopiero w XIX wieku. Ze względu na zniekształcenie wizerunku przez naklejone na niego wota trudno jest określić styl w jakim został wykonany. Można się tego jedynie domyślać analizując styl ocalałych posągów otaczających go w Świątyni Mahamuni w Dhanyawadi, cechy licznych jego kopii oraz niektóre elementy otaczających go legend (np. sześciobarwna aureola, kamienni strażnicy strzegący posągu). Analiza taka wykazuje obecność wątków charakterystycznych dla literatury mahajanistycznej z IV-VI w. po Chr. związanej z kultem Amitabhy.

Zbliżenie na prawą dłoń posągu. Widoczna gruba warstwa złota zacierająca kontury oraz fragment odsłoniętej taśmy (salwe) na korpusie.

Od wieków wierni naklejają na posąg płatki złota jako wota. Złoto nie jest nakładane jedynie na głowę, natomiast na taśmy na piersiach i plecach nakładane są wyroby jubilerskie, a nie płatki. W 111 lat po pożarze, kiedy to część złota uległa stopieniu, tj. między latami 1884 i 1996, wizerunek pokryła 15-centymetrowa warstwa metalu ważącego około 12 ton. Powoduje ona zatarcie kształtów posągu. Złoto nakładane jest z użyciem kleju, który dawniej wytwarzano z owocu smokrzynu łojodajnego. Ponieważ kobiety nie mają dostępu do posągu, w ich przypadku płatki naklejane są przez męskich członków rodziny albo specjalnie dyżurujących, biało odzianych mężczyzn służących w świątyni, zajmujących się też zbieraniem odpadających płatków

Inne obiekty kompleksu świątynnego: Kilka klasztorów, z których największy zamieszkuje ponad 400 mnichów. Biblioteka Mahamuni, w której znajdują się pełne drukowane kopie Tipitaki oraz liczne manuskrypty.

Kamienie z inskrypcjami. Zostały zgromadzone z różnych stron Birmy na rozkaz Bodawpaya w celu ich zabezpieczenia i początkowo było ich 512. Znajdujące się na nich inskrypcje stanowiły kompletny zapis historii budowy najważniejszych świątyń w kraju. Ponieważ kamienie, w większości piaskowce, rozpadały się a znajdujące się na nich inskrypcje ulegały zatarciu, król Mindon Min polecił wykonanie ich kopii w marmurze. Na terenie świątyni znajdują się zarówno oryginalne kamienie jak i kopie. Część zbioru przeniesiono na teren odbudowanego pałacu królewskiego.

Khmerskie posągi z brązu. Kobieta dotyka kolan posągu by pozbyć się problemów z własnymi kolanami. Widoczne wytarcia innych okolic dotykanych na posągach.

Posągi z brązu pochodzące z Angkoru. Posągi te zostały zrabowane przez Tajów w 1431 r., następnie zostały przewiezione do Pegu w Birmie po podboju Ayutthayi w roku 1569. Stąd zostały w roku 1599 przeniesione do Taungngu, gdzie padły łupem Arakańczyków. Stąd z kolei zostały w roku 1784 zgrabione przez wojska Thado Minsawa (którego posąg także znajduje się na terenie kompleksu świątynnego) i przewiezione do Amarapury. Sześć posągów (trzy lwy, dwóch mężczyzn i trzygłowy słoń) zostało odlanych prawdopodobnie w XII lub XIII w. Złożone w pobliżu Świątyni Mahamuni aż do końca XIX w. nie cieszyły się zainteresowaniem odwiedzających ją pielgrzymów. Po ich umieszczeniu w specjalnie wybudowanym drewnianym budynku w pobliżu świątyni stały się obiektem rytuału polegającego na pocieraniu przez pielgrzymów tych części posągów, które odpowiadają lokalizacji ich własnych chorych organów, co ma przynieść uzdrowienie.

Sadzawka z żółwiami i rybami. Zwierzęta te są uwalniane do sadzawki przez wiernych,

zyskujących w ten sposób zasługę. Inne okazje do spełnienia dobrych uczynków to dokarmianie żyjących w sadzawce zwierząt oraz dolewanie do niej wody w okresach suszy. Muzeum buddyzmu wystawiające przykłady sztuki buddyjskiej z różnych krajów, obrazy przedstawiające historię buddyzmu oraz olbrzymią makietę świata z wyróżnionymi krajami, w których buddyzm jest znaczącą religią.

Ważący 40 ton dzwon znajduje się przy wschodnim korytarzu prowadzącym do kaplicy. Informacja o ciężarze pochodzi z umieszczonej na nim inskrypcji. Został on ufundowany w roku 1795 przez najstarszego syna Bodawpayi Aynshwe Mina.

Codziennie o świcie odbywa się rytuał mycia twarzy wizerunku. Ceremonia rozpoczyna się o godzinie 4:00 rano trzykrotnym uderzeniem w bębny świątyni. Uczestniczy w niej starszy mnich z klasztoru Mahamuni oraz trzech do pięciu ubranych na biało świeckich mężczyzn. Przygotowują oni niezbędne przedmioty w postaci nowych ręczników, chust na głowę, mydła, olbrzymiej szczotki do zębów i wachlarzy. Święty wizerunek zostaje obmyty przez mnicha, podczas gdy świeccy podają mu kolejne przybory oraz prowadzą modlitwy zgromadzonych licznie wiernych. Przy bardziej uroczystych okazjach podczas mycia posąg odziewany jest w pomarańczową szatę. Cała ceremonia trwa około godziny. Na jej zakończenie zebrani modlą się do Bogini Ziemi biorąc ją na świadka spełnienia dobrego uczynku w postaci uczestnictwa w obrzędzie i deklarując podzielenie się tą zasługą ze wszystkimi świadomymi istotami. Rytuał ma szczególnie uroczysty charakter i gromadzi najwięcej wiernych w czasie pełni księżyca.

W lutym każdego roku, pod koniec buddyjskiego postu, przez 2 dni (14. dzień Przybywania Księżyca i dzień Pełni Księżyca miesiąca Tabodwe) odbywa się święto Świątyni Mahamuni. Upamiętnia ono jej historię, przyciąga tysiące pielgrzymów i jest okazją do zabaw ludowych oraz spotkań rodzinnych. Kluczowym jego elementem jest recytacja pełnego tekstu księgi Patthāna. Ciągnie się ona jeszcze kilka dni po festynie i trwa przez wiele godzin dziennie. Chociaż większość wiernych nie rozumie języka pali, w którym zapisano tekst, już samo jego usłyszenie uważane jest za przynoszące wielkie korzyści. Chociaż podobne recytacje odbywają się także podczas innych festiwali świątynnych, Birmańczycy uważają, że ta odbywająca się w świątyni Mahamuni stanowi rytualną analogię do wygłoszenia Patthāny przez samego Buddę do swojej matki podczas odwiedzin złożonych jej w niebie Tāvātimsa

Obok świątyni wzdłuż całej drogi ciągną się warsztaty, w których rzeźbi się w marmurze wszelkie posągi. Niektóre z nich są wręcz ogromne. Stoją też wielkie bloki marmuru z dopiero co narysowanym konturem tego, co będzie dopiero „wycięte”. Rzemieślnicy wyglądają jak siedem nieszczęść. Są cali pokryci białym pyłem od stóp do głów. Kobiety zajmują się polerowaniem owych rzeźb nadając im gładkość i połysk. Mijamy setki Buddów różnych rozmiarów, słonie czy konie naturalnych rozmiarów, są też i anioły.

Czas biegnie dalej, a taksówka wiezie nas do Shwe In Bin Kyuang. W pobliżu świątyni nad kanałem znajduje się klasztor. Mijamy dziesiątki mnichów krzątających się przy kanale. Wiszą ogromne ilości wypranych czerwonych mnisich szat. Niestety okolica kanału to też jednocześnie wielkie śmietnisko.

Shwe In Bin Kyuang, to bardzo spokojna świątynia cała z drewna. Powstała w 1895 roku ufundowana przez chińskiego sprzedawcę jadeitu. Nikogo nie ma. Możemy sami sobie w niej chodzić.

Tuż za murami świątyni jest plac, na którym właśnie trwa mecz piłki chinlone. Chinlone to tradycyjny sport birmański, który jest kombinacją sportów walki jak i tańca, w którym kopie się małą piłką zrobioną z rattanu. Sport ten jest drużynowy, lecz nie ma w nim drużyn przeciwnych, ani także nie jest kładziony nacisk na wygranego lub przegranego. Zespół 6 graczy przekazuje sobie, kopiąc, wzajemnie piłkę do przodu lub do tyłu w trakcie spaceru po wytyczonym okręgu. Jeden z graczy jest w centrum okręgu, który tańczy i tworzy różne ruchy. "Solista w kole" jest wspierany przez innych graczy, którzy starają się przekazać z powrotem piłkę do siebie. Gdy piłka spadnie na ziemię jest "martwa" i gra zaczyna się ponownie.

"Chinlone" oznacza w języku birmańskim "piłkę trzciniową". Piłka tkana jest z rattanu, i sprawia, wyróżniający się dźwięk podczas kopania - dźwięk jest częścią "estetyczną" w grze. Każdy

z graczy zarabia 6 pkt. dla drużyny po prawidłowym kopnięciu piłki. Najczęściej w chinlone gra się bosą lub w specjalnych butach, które pozwalają graczom poczuć piłkę. Typowy okrąg posiada 6,7 m (22 stóp) średnicy. Idealna powierzchnia do gry musi być sucha. Gra w chinlone liczy ok. 1500 lat i ok. 200 różnych sposobów kopnięcia piłki. Wiele ruchów gracza w okręgu podobnych jest do sztuk walki, dlatego forma jest najważniejsza w tej grze - istnieją pewne sposoby ułożenia rąk, klatki piersiowej, ramion oraz głowy podczas wykonywania ruchów. Chinlone odgrywane jest m.in. na festiwalach buddyjskich, zarówno mężczyźni jak i kobiety grają w chinlone, często w tej samej drużynie, jak również można spotkać dorosłych i dzieci, którzy grają w jednej drużynie. W chinlone występuje również styl zwany jako "tapandaing", który zarezerwowany jest tylko dla kobiet (kobiety wykonują go solo). Gra ta jest zaliczana do rodziny gier piłkarskich.

Cóż to dopiero za dziwowisko. Na środku placu rozstawiona jest siatka jak do siatkówki, ale gra się... nogami. Nie można dotknąć owej piłki rękoma. Zresztą piłka wykonana jest z bambusa. To trudna gra, bo zawodnicy muszą machać nogami w powietrzu, aby przebić piłkę przez siatkę. Czasem aż robią szpagat (!!!). każdy z zawodników długo przed grą się rozgrzewa, ale jak widać po nałożonych opaskach, to dość urazowy sport. Meczowi przyglądają się siedzący w kucki mnisi, których z każdą chwilą przybywa.

Wracamy do hotelu Nylon, umawiając się z kierowcą na dzień jutrzejszy i oczywiście negocjując cenę. Potem idziemy dwie uliczki dalej do restauracji Lashio. Jest to taka jadłodajnia, gdzie jedzenie wybiera się z wielu stojących garnków. Postanawiamy spróbować wieprzowiny, kurczaka, 3 rodzajów sałatek z duszonych warzyw, wodę, ryż, dwie zupy i to wszystko za całe 15zł. Kiedy już się najadamy, to wracamy do Nylona. Wracamy już pop ciemku, a to niestety nie takie fajne, bo praktycznie nie ma tu latarni i wracając po zmroku można sobie w najlepszym razie wybić zęby.

W hoteliku walczyliśmy jeszcze z dostępem do netu, ale jest tak wolny, że niestety nie udaje się zbyt wiele zamieścić na blogu poza tekstem, o zdjęciach nie ma mowy. Wieczór kończymy delektując się piwem Myanmar z pobliskiego sklepu, zresztą jedynym birmańskim piwem.

Jak na pierwsze pół dnia w Birmie, to zobaczyliśmy całkiem sporo i naprawdę nam się tu bardzo podoba. Nie zapeszając mam nadzieję na podobne pozytywne wrażenia.

25.07.2013 (czwartek)

Pobudka o 7:30. Najpierw idziemy na śniadanie, które znajduje się na naszym piętrze, dokładnie za ścianą naszego pokoju. Można tu zjeść tosty, omlety, dżem, banany i herbata. Proste, ale całkiem smaczne.

Przed hotelikiem czeka już na nas taksówka i kierowca podwozi nas na przystań statków pływających po rzece Irrawadi. Zostawia nas na nabrzeżu i ma się tu po nas pojawić po 13:00.

Czego nie ma na owej przystani. Przystań to może za dużo powiedziane, bo jest to po prostu brzeg rzeki. Stoją tu dziesiątki drewnianych mniejszych lub większych stateczków. Brzeg zajmują chatki lepianki, gdzie ludzie żyją w naprawdę prowizorycznych warunkach. Tę bardziej że pomiędzy „domkami” i stateczkami jest niestety śmietnisko. Co chwilę ze statków transportowych przenoszone są beczki, worki wypełnione jakimiś towarami.

Na ulicy przy rzece panuje wielki harmider – jadą skutery, ciężarówki, woły, konie. Każdy z tych środków transportu wiezie kolejne worki z towarami, beczki z paliwem. Czysty obłęd. Tym bardziej, że każdy po tej drodze porusza się jak chce, a jeszcze wszędzie porozstawiane są stragany na których można kupić coś do jedzenia.

Zakupujemy bilety na statek turystyczny do Mingun i wraz z innymi turystami czekamy na odpięcie. Jeszcze przyglądamy się kobietom piorącym ubrania w brudnej wodzie.

O 9 wsiadamy na statek z około 20 innymi turystami. Wchodzimy na pokład po złożonych z desek mostku. Miejscowi trzymają specjalny drąg jako poręcz, aby „turyściaki” nie wpadły do wody. Zasiadamy na górnym pokładzie statku, aby lepiej oglądać okolicę. Na razie słońce gdzieś za chmurami więc można spokojnie siedzieć na otwartym pokładzie. Płyniemy godzinę i kwadrans.

Rzeka Irrawadi jest tu bardzo szeroka. Irrawadi to rzeka na terenie Chin i Birmy (najdłuższa rzeka tego kraju) o dł. 2170 km i powierzchni dorzecza wynoszącej 430 tys. km². Wypływa z południowo-wschodniej części Wyżyny Tybetańskiej, płynie rowem tektonicznym przez Nizinę Irrawadi i uchodzi deltą (miejsce uprawy ryżu) o powierzchni blisko 30 tys. km² do Morza Andamańskiego.

Wysoki stan wód jest w sierpniu i wrześniu, a najniższy w marcu i kwietniu. Wahania poziomu wody w dolnym biegu wynoszą 10-11 m. Średni roczny przepływ przy ujściu wynosi 13 600 m³/s. Na odcinku 1100 km (1400, gdy jest wysoki poziom wód) jest żeglowna. Dookoła liczne rozlewiska, a pomiędzy nimi przycupnięte małe wioski. Co jakiś czas przepływa obok nas mała łódka z miejscową ludnością.

Dopływamy do Mingun i cumujemy zaraz przy nabrzeżu obok którego znajduje się stupa Sattawya Paya. Zaraz za rogiem czeka nas niezłe zaskoczenie. Można się przejechać się odjazdowa taksówką. Wóz z budką ciągnięty przez dwa woły. Na boku owej budki napis taxi. A już myślałam że nic z transportu nie jest w stanie mnie w Azji zaskoczyć.

W Mingun jest kilka ciekawych zabytków. Największym jest tzw. niedokończona stupa, która jest cała popękana na skutek trzęsienia ziemi. Stupy pilnują dwa wielkie posągi ni to lwów ni to słoni. Mingun było kiedyś stolicą Birmy, ale dziś jest już tylko małą wioską z kilkoma wspaniałymi świątyniami. Najwspanialszą z nich jest Mingun Paya, która byłaby prawdopodobnie największą świątynią na świecie, gdyby jej budowa nie została przerwana wraz ze śmiercią króla Bodawpaya, który budowę rozpoczął. Miałyby 150 wysokości. Dziś ma zaledwie 50 metrów, ale i tak jej gigantyczna podstawa, naruszona nieco trzęsieniem ziemi, robi piorunujące wrażenie. Do Mingun można się dostać z Mandalaj tylko łodzią, płynąc jakieś 11 kilometrów w górę rzeki.

Cała okolica jest obstawiona straganami z badziewiem i pamiątkami. Staram się do nich nie zaglądać, bo to początek pobytu w Birmie. Nie chcę jeszcze niczego tachać w plecaku.

W Mingun jest też wielki dzwon. Dzwon Mingun – największy działający dzwon na świecie. Odlewanie dzwonu zaczęto w roku 1808, zakończono w 1810. Waga dzwonu wynosi 90 ton, jakkolwiek w różnych źródłach podaje się różną jej wartość, według niektórych aż 321 ton. W birmańskiej mierze określa się ją jako 55555 jednostek zwanych viss lub peiktha (1 viss = 1,63 kg).

Średnica wieńca dzwonu wynosi 4,95 m, co daje obwód około 15,47m. Wysokość konstrukcji dzwonu wynosi 6,3m. Można samemu wziąć drewnianego drąga i uderzyć. Dla lepszego efektu można wejść do wnętrza. Po uderzeniu drągiem dziwek przeszywa ze wszystkich stron.

Cała okolica to rozsiane mniejsze i większe stupy. Na końcu osady znajduje się stupa biała jak śnieg – Hsinbyume Paya. Została wybudowana w 1816 roku. Prawdopodobnie zbudowana z materiałów wziętych z Mingun Paya. Ta niezwykła pagoda nawiązuje do buddyjskiego planu kosmosu. Stupę otacza 7 tarasów, które oznaczają góry, które otaczają szczyt Meru. Biel w tym słońcu aż kole w oczy. W każdej ze świątyń należy przed wejściem zdjąć buty. Tutaj jest inaczej niż np. na Sri Lance. Tam mieliśmy w pogotowiu skarpetki, które chroniły nas przed gorącą, nagrzaną słońcem posadzką. Natomiast w Birmie nie wolno chodzić nawet w skarpetkach. Tylko bosko. Toteż momentami nie wiem jak mam iść bo tak wszystko jest nagrzane, że aż pali w stopy. W niektórych dużych świątyniach przez place poprowadzone są niby chodniki z jaśniejszego kamienia, które są chłodniejsze od otoczenia.

Przy białej stupie trafiamy na wydarzenie. W ogromnym namiocie coraz to więcej osób zbiera się, głównie uczennice, ściągają też mniszki. W jednym końcu namiotowej sali starsza kobieta śpiewa. Potem jest zmiana, zastępują ją mężczyzna ubrany na różowo – przebrany za kobietę. Towarzyszą mu inni mężczyźni ubrani na różowo i umalowani. Wyglądają co najmniej dziwnie, ale tańczą do melodii śpiewanej przez jednego z nich. Na podłodze siedzi „orkiestra” składająca się z gościa grającego na elektrycznym syntezatorze. Słychać ich na całą osadę.

Wracamy pod niedokończoną stupę, aby obejść jej cztery kanciaste boki. Każda ściana popękana inaczej. Budowla jest niezwykła. Nie da się do niej wejść. Niby są cztery wejścia, ale prowadzą do malutkich kaplic. Ciekawe czy w środku budowla jest pusta czy może to po prostu zabudowany kłoc.

Co chwilę mijamy kolejne grupki mniszek. Mają one różowe szaty i ogolone głowy. Dlatego

też aby słońce je nie grzało, kładą na głowy szale złożone w kwadrat. Chronią się też pod parasolkami. Zjeżdżają do białej stupy ciężarówkami, skuterami, albo na piechotę.

Turystów za dużo nie ma. Ciekawe ile tu osób przybywa w sezonie. Ilość straganów z pamiątkami powala, więc chyba turystów musi być jednak więcej, aby to ktoś kupił. Raczmy się też pierwszym w tym roku sokiem z trzciny cukrowej. Rety jaki jest słodki.

O 13:00 wszyscy są na statku i możemy odpływać. Na pobliskich świątynnych schodkach miejscowa ludność kapie się i pierze ubrania nie zważając na cumujące statki.

Do Mandalaj wracamy bardzo szybko, bo teraz statek płynie z prądem rzeki. Toteż po 40 minutach jesteśmy z powrotem na nabrzeżu. Czeka tam na nas już umówiony kierowca. Jedziemy najpierw do Sagaing. Śmigamy opłotkami przez tereny lokalnej biedoty, które toną w dużej ilości śmieci. Jak tak ludzie mogą żyć?

Jadąc w kierunku Sagaing, kierowca zatrzymuje się w przydrożnej jadłodajni. Mówi nam że będziemy mogli spróbować „many, many curry” Wchodzimy do środka, a tam w osłupieniu patrzę, jak całe stoliki zastawione są wieloma miseczkami z jedzeniem. Już biegnie obsługa aby nas posadzić. Muszę przeganiać kotka, który postanowił leżeć dokładnie tam gdzie ja siedzę. Niewiele sobie z tego robi, kładzie się dosłownie za mną. Chyba to jednak jest jego miejsce. Po chwili niosą nam michę ryżu, a potem dokładają kolejnych misek z jedzeniem. Tego nie da się opisać. Liczę że jest ich 18. Od misek mięsnych (tłustych lub prawie z samą kością), rybnych, po warzywne. Jak nie będzie po tym jedzeniu żadnych problemów żołądkowych to cud. Najlepsze są curry z soczewicy i „chrupiące” fasolki. Zajadamy się nimi ile wlezie. Kiedy docieramy do dna najlepszych z nich... obsługa napełnia pustą miseczkę ponownie. O masakra jakaś. Tak dobrego curry dawno nie jadłam. Wytaczamy się po obiedzie i jedziemy do Sagaing. Przejeżdżamy jednym z dwóch mostów prowadzących do miasta nad rzeką Irrawadi. Miasteczko, takie sobie, ale my jedziemy kawałek dalej na pobliskie wzgórze z dziesiątkami złotych stup. Sagaing było stolicą w latach 1315–1364. Miejsce to słynie z ogromnej ilości różnego rodzaju świątyń, które wzniesione zostały na wzgórzu Sagaing.

Biorąc pod uwagę moją chęć zobaczenia w danym miejscu praktycznie wszystkiego, to niestety, ale w Birmie jest to niewykonalne. Nawet pomimo całodziennego zwiedzania. Oglądamy na wzgórzu zespół świątynny na wzgórzu. Pierwsza stupa powstała tutaj w 1312 roku. Legenda mówi, że stupa pojawiła się w ciągu jednej nocy. Miał ją stworzyć minister Ponya zainspirowany magicznym reliktem Buddy, który odnalazł w w pudełku. Najpierw musimy wspiąć się pół godziny po krytych dachem schodach, Ci chwilę na betonowych ławeczkach ciągnących się wzdłuż schodów, śpią sobie w najlepsze tutejsze psiaki. Na drzewie szybko przed nami umyka śliczny niebieski jaszczur.

Sam zespół świątynny jest piękny. Klika stup jest przy prowadzących na szczyt, schodach. Takich wejść ze schodami jest tu kilka, więc można wejść na wzgórze z kilku stron. Szczyt wieńczy duża złota stupa z posągami Buddy. Pomieszczenia z posągami są obłożone świecącymi się mozaikami. Zresztą cały kompleks pokrywają kolorowe kafelki. Można tu spotkać posąg królika wykonany z brązu.

Po ponad godzinie schodzimy na dół, aby nasza taksówką pojechać do Amarapury. Jednak po drodze kierowca zawozi nas jeszcze do zakładu tkackiego, gdzie na krosnach, wielkich niczym szafa, takich co można zobaczyć w Polsce w skansenach, młode dziewczyny tkają materiały we wzorki. Krosna robią dość znaczący łomot, tym bardziej że w hali znajduje się ich chyba coś koło 20 sztuk. Są tu też maszyny które przędą nić. Trochę tutaj wygląda jak na strychu. Maszyny stare, część pokryta pajęczynami, ale są na chodzie. Są tu też kołowrotki, które z grubych nici robią cienkie. Ogólnie tkanie to strasznie żmudna praca. Na każdym krosnach dziewczęta mają małe motki wielokolorowych nici. Aby zrobić kolorowy materiał ze wzorkami potrzeba wielu różnych nici. Każdy ma przed sobą zawieszony kartki z matematycznym wzorem. Taki przepis na dany materiał ile „oczek” tego koloru, a ile tamtego. W pobliskim sklepiku kupuję dwie tzw. longi, czyli prostokątne materiały służące za spódnice zarówno damską jak i męską. Wiadomo, że z lepszego materiału i wzorzyste są damskie. Te z gorszego i bez wzorków – męskie. Moje zakupione longi staną się po powrocie obrusami na stół.

Dojeżdżamy do Amarapury. Amarapura, przedmieście miasta Mandalaj w Myanmarze (dawna Birma), nad rzeką Irawadi. Ok. 40 tys. mieszkańców. Ośrodek przemysłu jedwabniczego i rzemiosła (wyroby z brązu). Historia: dawniej samodzielne miasto, założone 1783 jako rezydencja królewska i nowa stolica (do 1823) kraju. 1837-1857 ponownie stolica. 1810 zniszczona przez pożar, 1839 - przez trzęsienie ziemi, co doprowadziło do jej upadku. Zabytki: pozostałości budowli z czasów, kiedy Amarapura była stolicą: ruiny ceglano-kamienne świątyń buddyjskich (rzeźby, posągi), zamku królewskiego i pałaców, a także bogato zdobione drewniane klasztory buddyjskie. Amarapura w dosłownym tłumaczeniu oznacza „Miasto nieśmiertelności” i można powiedzieć, że właśnie z powodu mostu nazwa ta jest jak najbardziej trafna.

Tutaj znajduje się u-bain bridge. To największa tego typu konstrukcja na świecie. W najbliższej okolicy znajduje się najdłuższy na świecie most z drewna tekowego, który nazywa się "U Bein". Ma 1,2 km długości i został zbudowany przez niejakiego U Beina, z kolumn pałacu, który opustoszał po przeniesieniu stolicy do Mandalaj w 19-tym wieku.

Most "U Bein" uznawany jest za najdłuższą tego typu budowlę na świecie. Łączy dwa brzegi jeziora Taungthamam w Amarapurze. Od ponad 160 lat jest ważnym ciągiem komunikacyjnym oraz miejscem, gdzie Birmańczycy zwyczajnie wybierają go na weekendowy spacer lub w zwykły dzień odpoczywając tam po całym dniu pracy.

Geometria mostu "U Bein" prezentuje się zdecydowanie zachęcająco. Przyjeżdża tu wielu turystów, aby z pokładu wynajętej łódki podziwiać zachodzące nad mostem słońce. Ale nie tylko architektura mostu oraz piękne zachody słońca przyciąga tu rzesze turystów. Przede wszystkim odwiedzają most, aby spotkać tu miejscowych mnichów w ich charakterystycznych krwisto-czerwonych ubiorach.

Już z daleka widać go przerzuconego przez wodę. W całej okolicy jest też sporo turystów no i straganów z pamiątkami. Na moście ruch niczym na autostradzie. Turyści, mieszkańcy z rowerami, mnisi z pobliskiego klasztoru. Wchodzimy na most, a tu tak zaczyna wiać, że momentami trzeba się trzymać aby nas nie zwiąło. Tak więc chyba nici z pływania łódką. Ale w sumie to i pora roku nie sprzyja zachodom słońca nad mostem. Nie ma takiego pięknego nieba. Choć na chwilę pojawia się na niebie piękna tęcza. W końcu udaje mi się znaleźć pana z łódką nr 18, który jest wszędzie polecany jako najlepszy spec od ustawiania się do zachodzącego słońca i mostu. Fala jest tak duża od wiejącego wiatru, że nie ma co ryzykować. W sumie wypłynęły tylko dwie łódki, reszta stoi przy nabrzeżu.

Po 18 wsiadamy do taksówki i wracamy do Mandalaj na dworzec kolejowy, aby kupić bilety na pociąg go Kyakume. Mijamy osobliwe zjawisko. Jedzie sobie minicieżarówka, w której jadą podróżni, a na dachu wieziony jest samochód... Potem mijają nas motor z chyba setką kurczaków w koszach. No cóż to Azja, wszystko jest możliwe. Zatrzymujemy się na dachu dworca kolejowego, bo tam jest parking. Kierowca na nas czeka a my idziemy po bilety. Na dworcu przy kasie okazuje się, że mamy udać się na zaplecze. Zostajemy zaprowadzeni do kas od drugiej strony i trafiamy dokładnie do pomieszczenia kasjerów. Ależ to ci miejsce!!! Kasjerzy siedzą niczym w filmowej szuflandii, na wielkich krzesłach. Są na nich niczym liliputy. Próbuje kupić dwa bilety do Kyakume, ale całość trwa ponad pół godziny. Nie wiedziałam że może to być tak skomplikowany proces. Jeden bilet kosztuje 3 dolary. Okazuje się, że za bilety kolejowe obcokrajowiec musi płacić dolarami. Niestety panowie nie mają jak wydać nawet z 20 dolarów, a my mamy pięciodolarówkę. Potrzebujemy 1 dolara. W końcu Paweł leci gdzieś za dworzec aby kupić owego 1 dolara. Gdy Pawła nie trzech niezależnych ekspertów stwierdza, że nasze 5 dolarów jest „OLD”, czyli stare. Pytam jakie stare? Przecież jest z 2006 roku. Stare i już bo zgięte było na pół. Kiedy Paweł wraca trzeba zacząć pertraktacje. Bo teraz dla odmiany mamy TYLKO dolara, bo piątki nie przyjmą. Po bardzo długich pertraktacjach udaje się im wcisnąć owego dolara i 5000 kyatów. Co za polityka, jakby nie można było zrobić tego od razu. Oczywiście ów dolar trafia do kopertki, aby był dalej nowiuteńki jak spod igły. No masakra. Potem następuje 10 minutowy proces wypisywania biletu. Trafiamy też do księgi, w której rozpisane są pociągi i ich miejsca. Ciekawe jak to funkcjonuje wszystko bez komputerów. Skąd oni wiedzą jakie miejsca sprzedali. Powiadają telefonicznie

kasy dworcowe w innych miejscowościach? W końcu zdobywamy nasz bilet i wracamy. Kierowca taksówki wyszedł już nas szukać, tym bardziej że zapadł już zmrok. Latarni nie ma i jest dość ciemno, aby samemu się wałęsać. Może myślał że chcemy uciec bez płacenia za usługę wożenia cały dzień? Jest już po 19 jedziemy przez ciemne ulice. Nawet jedyny wieżowiec w mieście też jest cały ciemny. Może całkiem nowy i dlatego nie ma ani jednego światła w oknach. Po zmroku jazda po mieście zamienia się w horror. Trzeba przecinać główne drogi. Masakra jakaś. Kto wjedzie pierwszy na skrzyżowanie ten ma pierwszeństwo. Po ciemku nie widać rowerzystów.

Po przyjeździe do Nylona idziemy jeszcze coś małego przekąsić. Wczoraj na ulic w pobliżu widzieliśmy kuchnię pod chmurką, a której robiono świeże ciapati indyjskie. Idziemy tam. Ciapati i jedna miseczka dhalu to 150 kyatów, czyli 60 groszy. Jemy więc po dwie porcje, siedząc na malusich plastikowych krzeselkach jak dla 3-latków. Potem jeszcze trafiamy do lokalnego sklepu, gdzie kupujemy małe co nieco na jutrzejszą drogę pociągiem. Czas spać.

26.07.2013 (piątek)

Budzik dzwoni o 3 nad ranem. Nie ma to jak pobudka o barbarzyńskiej porze w środku wakacji. Czemu birmański transport odchodzi często o tak dziwacznych porach? Pod hotelem czeka na nas samochód, który zamówiliśmy dzień wcześniej aby nas zawiózł na dworzec kolejowy.

Na dworcu ruch jak w ulu. Pociągi stoją na peronach. Część ludzi już siedzi w pociągach, ale cała masa koczuje na peronach. Nasz pociąg też stoi. Wsiadamy – drewniane ławki, oj nasze tyłki będą pamiętać tę podróż. Okna w naszej 2 klasie okazują się być małe, tak samo jak w klasie 1. A naczytaliśmy się właśnie, że mimo niewygód jechać lepiej w drugiej klasie niż w pierwszej, bo są tu większe okna. Jak przyjdzie oglądać most, to nie trzeba wtedy robić dziwacznych wygibasów aby przez to okienko się wychylić. A tu nie dość że siedzenia drewniane, to i małe okienka. Na dodatek okazuje się, że nasze miejsca są po prawej stronie do kierunku jazdy, a nie po lewej jak chcieliśmy, dla lepszego widoku. Na szczęście nie ma dużo ludzi, więc jak przyjdzie co do czego to się przemieścimy.

Nie wiem czemu na końcu wagonu przy drzwiach stoi mundurowy. Pilnuje aby nikt nie wysiadł, albo wsiadł w czasie jazdy? Może część terenów przez które jedziemy należy do zamkniętych? Pociągami dość mocno buja w obie strony. Drzwi wagonu się nie zamykają, więc podczas bujania trzaskają z takim hukiem, jakby grom z jasnego nieba walił. Część osób zaraz po zajęciu miejsc układa się do snu na drewnianych ławkach. Mnie po godzinie wszystko zaczyna boleć. Po 6 rano za oknem powoli zaczyna wstawać dzień i robi się jasno. Wstaje też z drzemki cały wagon. Birmańczycy zabierają się za konsumpcje. W ruch idą wielopiętrowe menażki, w każdej z ich misek znajduje się coś innego do jedzenia od ryżu po warzywa i mięso. Wszyscy zajadają się po czym znowu zapadają w sen. Pociąg coraz to bardziej wjeżdża w tereny górskie. W ciekawy sposób pokonuje wjazd na zbrocze. Jedzie zygzakiem zmieniając kierunek jazdy i w ten sposób może jechać po wzniesieniu.

Obok nas jadą cztery młode dziewczyny. Jak nie śpią to trajkoczą niczym katarynki i śmieją się wniebogłose. Oczywiście co chwilę nam się przyglądają. W pewnym momencie to nawet oglądamy zdjęcia, które mają, więc nawet i ja wyciągam zdjęcia i pokazuję Polskę. Bardzo im się podoba śnieg i to jak samochody zimą mogą być nim pokryte. Jedna z dziewcząt bierze sobie moje zdjęcie na pamiątkę.

Po 3,5 godzinach docieramy do Pyo Oo Lwin. To stacja górską, w której Brytyjczycy chronili się przed upałami pory suchej. Wysokość 1070 nad poziomem morza gwarantuje przyjemnie chłodny klimat i zawsze rześkie powietrze. Słynie z bajecznie kolorowych karocy służących za codzienny środek transportu oraz plantacji truskawek. Tu dosiada się kilkoro obcokrajowców.

Po paru godzinach dziewczyny robią sobie birmański makijaż. Na kamiennym talerzu, rozcierają z odrobiną wody kawałek drewna sandałowego. Z tego robi się papka, którą smarują

twarz. Mogą pokryć całą skórę twarzy lub robić wzorki. Efekt widać dopiero po wyschnięciu papki, bo na twarzy pojawia się kremowy wzór. Birmanki używają tanaki (tak nazywa się to fachowo) jako makijaż, ale i również jako ochrona przed słońcem. Ma również za zadanie nawilżać skórę, zapewniać jej gładkość, a nawet usuwać trądzik. Kawalki drewna do samodzielnego utarcia tanaki oraz kamienne płyty można kupić prawie wszędzie, a te wygodniejsze panie mogą również nabyć gotowy produkt w postaci proszku, a nawet taki o konsystencji kremu. Twarze pokryte tanaką mają przede wszystkim osoby o delikatniejszej skórze czyli dzieci i kobiety, rzadziej dorastający chłopcy, mężczyźni czy ludzie w podeszłym wieku. Najczęściej po prostu maluje się szerokie pasy na policzkach, czasem również czole i nosie w postaci kółek, kwadratów, kresek, a czasami wymyślnych wzorków. Dziewczeta w pociągu mają też lusterko w rozmiarze gdzieś 25 na 15cm, w drewnianej oprawie. Jaki ten zestaw do makijażu jest ciężki!!! nie dość że lusterko to i kamienny podkład do ścierania drewnianka waży swoje. A przecież dziewczeta są w podróży.

Po pociągu co chwilę krążą sprzedawcy przekąsek. Nawet i my dajemy się skusić na gotowaną kolbę kukurydzy. Na stacjach kolejowych pojawiają się kolejni sprzedawcy. Niosą na głowach wielkie misy z ugotowanym makaronem z warzywami. Czasami pociąg zatrzymuje się w szerym polu i wysadza, a to robotników jadących z kilofami naprawiać tory, a to rolników zmierzających z podręcznym sprzętem na pola uprawne.

W końcu po 7 godzinach jazdy docieramy do wiaduktu Goteik. Został zbudowany w 1901 roku. Tylko raz był lekko remontowany w 1990 roku. Mimo upływu lat, eksploatacja go przez ponad wiek, dalej stanowi on żywy dowód wielkości przedwojennej myśli inżynierskiej. Most w Gokteik, wzniesiony przez amerykańską kompanię według myśli brytyjskich konstruktorów, przez te wszystkie lata w dalszym ciągu zachwyca swoim wyglądem i funkcjonalnością. I mimo, że chwila cieszenia oczu jego magią trwa krótko, wrażenia czerpane przez ten czas zauważam u poszczególnych pasażerów jeszcze na długo po przejechaniu pociągu przez ów wiadukt. Widać go zanim się do niego dojedzie. Przecina całą dolinę na wysokości 102 metrów i ma około 800 metrów długości. Pociąg powoli zbliża się na wiadukt. Powoli wjeżdża na most. Widoki okoliczne są przepiękne. W dolinie wije się rwąca rzeka. Jedziemy bardzo powoli, bo ten wysoki most nie był nigdy remontowany. Czas przejazdu to około 5 minut.

Do Kyakume dojeżdżamy o 13:15 wykończeni i z bólem głowy. Jechaliśmy w sumie 9 godzin z małym okładem. Piechotą idziemy z dworca do jedyne go guesthousu Yoni, który przyjmuje obcokrajowców. Bierzymy pokój, który jest niczym nora. Na piętrze budynku z płyt zbite są boksy w postaci pokoi. I tak mamy szczęście, bo nasz pokój jest zewnętrzny i ma okno. Chyba bym nie wytrzymała w wewnętrznym. Tym bardziej że u sufitu pokoje się łączą i wszystko słychać od sąsiada, albo i czuć jak to ma miejsca u nas. Sąsiedzi pała papierosy. Boże, dobrze że mamy okno. Łóżka też nie pierwszej nowości, jak dobrze że mamy własne derki, które można na łóżku rozłożyć. Najlepsze są łazienki – obórka z polewaczką, a do wychodka trzeba przejść cały plac. Jakoś musimy się przemęczyć do piątej rano.

Idziemy coś zjeść do pobliskiej restauracji Thiri Pyitsayar: rosołek, makaron shan (tutejsza specjalność) dość ostry ryż po tajsku. Do tego próbujemy lokalnej coli Blue Mountain, bez gazu i o trochę innym smaku.

Po obiedzie ruszamy na pobliski wieczorny market. Tutaj zostaję zaczepiona przez miejscowego gościa, który zadaje mi pytanie: „fistamjanma?”. Uradowana z uśmiechem od ucha do ucha odpowiadam: „Yes, first time in Myanmar!”. Przed wyjazdem czytałam, że Birmańczycy słabo mówią po angielsku i tradycyjny zwrot do obcokrajowca to „fistamjanma” czyli czy pierwszy raz w Birmie.

Wszyscy na bazar mkną na skuterach. Niektórzy to nawet podjeżdżają pod stoiska i nie zsiadając robią zakupy. A na bazarze oprócz owoców, warzyw można kupić gotowe dania, które ludzie kupują do woreczków i zabierają na późny obiad do domu. No i po co gotować, skoro można wszystko gotowe kupić na drodze.

Jedno z ciekawszych dziwowisk dzisiejszego dnia to obserwujemy sporo ludzi którzy jadą na skuterach w kaskach które wyglądają jak niemieckie z drugiej wojny światowej, na dodatek albo z orłem albo ze swastyką. Ciekawe skąd oni to mają.

Na bazarze są tony owoców i warzyw. Nawet nas jedna z pań częstuje cudownie soczystym ananase. Można tu kupić różne rodzaje grzybów, kwiatów (o rety jakie dorodne mieczyki!), świeżego mięsa i ryb. Dla koneserów świńskie uszy. Wszyscy są uśmiechnięci i do woli można robić zdjęcia. Przed wyjazdem czytałam, że Birma to najbardziej uśmiechnięty kraj na świecie. Do tej pory uważałam, że to Laos, ale Birma pod tym względem powala na kolana. Na bazarze sprzedają całe rodziny. Dzieci albo się płaczą między stoiskami, albo siedzą wraz z rodzicami. Po 18 market powoli zwija podwoje, bo o 19 zapadnie zmrok, a latarni oczywiście nie ma.

Dookoła śmigają skutery, na których siedzą nawet całe rodziny. Każdy coś wiezie, a to zakupy z bazaru, a to kule być może dla kogoś połamanego, jadzie też gumowy, dmuchany renifer. Niektóre skutery mają baldachim, który chroni pasażerów od deszczu. Gdy jadą na skuterze dwie osoby, to druga siedzi na nim bokiem. Trochę jak za dawnych czasów jeździło się na koniach. Ciekawe jest też to że najczęściej tylko kierowca ma kask, reszta osób na skuterze go nie ma i praktycznie zawsze nie mają go dzieci...

Wracamy do restauracji na sok z mango, bo jest tam internet. Siedzi tu też grupka Holendrów. Siedzimy ile się da aby nie wracać do nory, w której mamy spać.

Przetrwalam jakoś w toalecie. Idę się umyć do tej obórki. Nawet mi się jakoś udaje. Zęby myję w wodzie mineralnej. Teraz byle do 5 rano i uciekam stąd gdzie pieprz rośnie.

27.07.2013 (sobota)

Masakra jakaś. Całą noc śpię na pół gwizdka, bo niestety budzę się co godzinę. W pokoju ciepło, mimo otwartego okna. Śpię pod moskitierą by nie cięły komary. Stęchlizna moskitiery niestety powala. Niech ten budzik w końcu dzwoni. Czas stąd zniknąć. Nareszcie budzik ogłasza godzinę 5. Wyskakuję niczym strzała, mimo że jestem zaspana. Coś mnie swędzi na noce. Czyżby mnie coś w nocy pogryzło? Do łazienkowej obórki idziemy w drodze na autobus. O 5:20 jesteśmy na ulicy, a tam już czeka na nas autobus trąbiąc abyśmy się pośpieszyli. Bileter z autobusu biegnie w naszą stronę, więc szybko pędzimy i wskakujemy do autobusu. Plecaki każą nam zabrać do środka autobusu, a nie do luków.

Jadących jest mniej niż miejsc więc spokojnie zajmujemy sobie po dwa siedzenia. Autobusowe dvd działa i właśnie leci super naiwny birmański film o 3 braciach, którzy zakochują się w 3 dziewczynach. Jednemu dziewczyna ostatecznie umiera, drugiego odchodzi, a trzeci wiecie szczęśliwe życie. Musi być momentami bardzo śmieszne, bo Birmańcy w busie śmieją się w głos. A film niczym indyjski, trwa 2,5 godziny. Potem czas na rzewne teledyski.

Po dwóch godzinach jazdy na przystanku na tzw. „jedzonko” okazuje się, czemu to nie można było bagaży włożyć do luków bagażowych. Jest tam po prostu cała masa towarów, na czele z paletami... jaj!!! Jak one wytrzymują jazdę po tych wertepach i zakrętach to nie mam zielonego pojęcia. Tym bardziej że jazda jest szaleńcza, raz w górę raz w dół i na owym przystanku pod wszystkie koła zostają podłożone węże z wodą, która schładza klocki hamulcowe. Widać jak wszystko jest nagrzane, bo woda od razu zamienia się w parę. Paweł zajada się kolejną zupą.

Jedziemy sobie już jakiś czas. W Birmie niestety nie mam żadnych drogowskazów, czy tablic informujących jak daleko jest dana miejscowość. Toteż w efekcie nie wiem gdzie jestem i ile mam do celu. Co ciekawe po tych dwóch godzinach jazdy docieramy do Pyo Oo Lwin. Jestem prawie 5,5 godziny! Mijamy tutejsze pokolonialne parki oraz duże tereny akademii wojskowej. Po drodze jeszcze widzę wypadek skutera. Na zakręcie skuter się przewraca, ale obaj pasażerowie na szczęście wstają o własnych siłach.

W sumie po czterech godzinach jazdy docieramy do Mandalaj, a pociągami jechaliśmy 9,5. Gdy wjeżdżamy na dworzec autobusowy, otacza nas cała chmara mężczyzn, którzy chcą nas swoimi samochodami wieźć do centrum. Okazuje się, że możemy wsiąść do pick-upa, który jest darmową podwózką do centrum. Super wsiadamy i jedziemy na pace wraz z ludźmi i całą masą worów. Gdzieś w nich jadą świeże bambusy, które drażnią nasze nosy. Czuć charakterystyczny perfumowany zapach.

Potem idziemy 10 minut piechotą idąc po ulicy, bo chodniki zastawione są gratami przez miejscowych. I znowu jesteśmy hotelu Nylon. Od razu w recepcji kupujemy bilety na jutro na autobus do Bagan, w cenie jest też podwózka spod hotelu na dworzec autobusowy.

Postanawiamy posiedzieć ze dwie godziny w klimatyzowanym pokoju i zaplanować co dzisiaj będziemy jeszcze robić, bo prawdę mówiąc nie spodziewaliśmy się tak ekspresowego powrotu. Jest w sumie dopiero 11:30, a my już w hotelu i wykąpani. Tyle że odkrywam na nodze 43 ukąszenia od tzw. bed bugsów. Jakieś cudo żarło mnie w nocy w Kyakume. No tak narzekałam na to miejsce noclegowe, że mi się odwdzięczyło...

Idziemy coś zjeść do Lashio. Potem bierzemy rowerową riksę na dwóch pasażerów i jedziemy.... jedziemy.... jedziemy.... Ten co pedałuje ma niezłą formę, aby wieźć naszą trójkę. Jedziemy wzdłuż murów Pałacu Królewskiego i ogromnej fosy. Cały imponujący kompleks pałacowy został zniszczony przez pożar podczas II wojny światowej. Jednakże piękne mury pałacowe, bramy miejskie z wieńczącymi je drewnianymi pawilonami oraz otaczająca fosa, które odbudowano wykorzystując robotników przymusowych, składają się ciągle na wspaniały widok Pałacu Królewskiego, „Mya-nan-san-kyaw Shwenandaw”. Na terenie kompleksu pałacowego znajdują się model pałacu, wieża Nanmyint-saung oraz Muzeum Kultury. Ruch uliczny dookoła mknie swoim życiem. Wszystko mija naszą rowerową riksę. Jednak gość dziarsko pedałuje. Potem przesiadamy się na ciężarówkę, która zawozi nas na Wzgórze Mandalaj. Przez długi czas wzgórze to było traktowane jako święta góra. Według legendy, Budda podczas swojej wizyty na wzgórzu przepowiedział, że u jego stóp zostanie założone wielkie miasto. Mierzące 240 m wzgórze Mandalaj zapewnia wspaniały widok miasta i otaczających je terenów.

Zostawiamy buty przed wejściem na schody prowadzące do świątyni i wdrapujemy się do góry. Na szczyt można wjechać windą, zamiast wchodzić schodami. Idziemy jednak piechotą. Cały kompleks jest w świecących mozaikach. Są cztery posągi Buddy, odwiercone w różne strony świata. Jest też taras widokowy, z którego roztacza się widok na Mandalaj i okolice. Stąd widać jak duży obszar zajmuje Pałac Królewski z zielonym parkiem i fosą.

Po obejrzeniu świątyni wskakujemy do powrotnej ciężarówki i zjeżdżamy pod wzgórze. Stąd idziemy piechotą do pobliskiej Sandamuni Paya. Nie ma tu żadnej opłaty wstępu, a podobna jest do tej płatnej Kuthodaw Paya. Jest tu przepiękna złota stupa, na którą w słońcu nie można patrzeć, tak błyszczy złotem. Dookoła znajdują się białe stupy a w nich kamienne księgi. Zaglądamy jeszcze do pobliskiej Kyauktawgyi Paya, gdzie znajduje się Budda z marmuru. W pobliżu południowego podejścia do wzgórza Mandalaj ustawiono Wizerunek Buddy Kyauktawgyi powstały w latach 1853-1878 na polecenie króla Mindona. Wizerunek wyrzeźbiono w pojedynczym olbrzymim bloku marmuru. Wokół niego zgromadzono posągi 80 Arahantów (Wielkich Uczniów Buddy) – 20 po każdej jego stronie. Rzeźbienie Wizerunku zakończono w 1865 r. Znowu wszędzie błyszczące mozaiki i ludzie sprzedający pamiątki. Obok na ławeczce odpoczywa dwóch mnichów, jeden nawet słucha przenośnego radia.

Jesteśmy już zmęczeni i wynajmujemy dwóch kierowców na skuterach aby zawieźli nas do Nylona. W drodze na skuterze udaje mi się nawet nakręcić film, wśród śmigających innych skuterów. Po powrocie idziemy jeszcze na uliczne ciapati z dhałem. Próbuje nawet kupić czarna herbatę, ale pan usilnie przynosi nam herbatę z mlekiem. Ok, wypijamy, ale dalej próbujemy kupić kubek dużej czarnej herbaty. Niestety operacja jest niewykonalna. Mimo mojego machania rękoma i powtarzania NO MILK, to i tak leją mleko do herbaty. A gość na moje NO MILK mówi OK... i gdzie tu ok? Jak nie mijają 3 sekundy i mleko ląduje w herbacie. No cóż trzeba sobie picie czarnej herbaty tym razem podarować.

Tak na marginesie widać, że okolica naszego hotelu to dzielnica muzułmanów. Wszyscy z myckami na głowie, długimi brodami i długimi szatami. Siedzą przed sklepikami z tzw. mydłem i powidłem i nie robią nic. Nawet u nas w Nylonie jedno z pomieszczeń na parterze to muzułmański sklep z częściami metalowymi.

Zapada zmierzch, więc czas zbierać się do hotelu.

28.07.2013 (niedziela)

Wstajemy przed 7 rano. Szybko na ostatnie piętro na śniadanie. Potem czekamy w holu na naszą podwózkę. Poza tym mamy ubaw po pachy, bo na recepcji pojawia się jakiś skośnooki turysta u po angielsku próbuje dogadać się z Birmańczykiem. Jeden i drugi mówią w jakimś masakrycznym angielskim. Strasznie trudno się im dogadać. Komicznie to wygląda.

O 8:30 podjeżdża pod hotel pick-up, który ma nas zawieźć na dworzec autobusowy. Jedziemy jeszcze w kilka miejsc, w których znajdują się eleganckie hotele i zabieramy „bogatszych” turystów ze swoimi walizkami. Potem wertepami pic-up jedzie na dworzec autobusowy na obrzeżach Mandalaj.

Podjeżdżamy pod sam autobus. Klimatyzacja w autobusie działa, dużo miejsca, w środku praktycznie sami obcokrajowcy, nawet woda dla podróżnych jest w butelkach przy siedzeniach.

Kiedy wszystkie miejsca zostają zajęte o 8:20 odjeżdżamy do Bagan. Najpierw jedziemy drogą ekspresową zbudowana z betonu. Mijamy naczepę na której transportowany jest wielki słoń. Aż dziw że się nie wrywa tylko tak spokojnie stoi na pace. W telewizorze leci tym razem Titanic. NO tak sami obcokrajowcy to wrzucono coś amerykańskiego. No ale z drugiej strony ileż razy można Titanica oglądać w Azji?

Po 2,5 godzinach jazdy mamy przerwę na lunch. Z całego autobusu tylko my z Pawłem i jeden obcokrajowiec zasiadamy do stołu i zamawiamy jedzenie. Wszyscy turyści z eleganckich hoteli, posiadacze walizek stoją z boku i popijają colę z puszki i co najwyżej jedzą ciastka zakupione wcześniej. Na nas patrzą jak na kosmitów, że możemy tak jeść bez obaw te potrawy. Widok ich min bezcenny. A zamawiamy sobie 4 miseczki różnych warzyw curry, ryż i cosik do picia. Dla mnie przepyszne, aż mi żal tych turystów, co się boją tego spróbować, bo nie wiedzą co tracą.

Ruszamy w dalszą drogę. Trasa już nie jest ekspresowa i jezdni dość znacząco się zwężyła. Autobus mknie teraz wąskimi drogami wśród małych wiosek i miasteczek. Coraz więcej przy drodze można zobaczyć wozów ciągniętych przez woły. Ponadto za oknem coraz bardziej sucho, coraz więcej palm, agaw i innych kaktusów. Co chwilę przecinamy puste koryta rzeczne. Praktycznie nie ma żadnych traw, tylko goła ziemia. Dziwne to trochę jak na Azję Południowo-Wschodnią. Całkowicie inny krajobraz. Nie tego się spodziewałam.

Ku naszemu zaskoczeniu po 3,5 godzinach jazdy docieramy na rogatki Bagan, a dokładniej do Nyaung -U. Przy wjeździe do miasta jest specjalny punkt w którym obcokrajowcy kupują bilety po 15 dolarów, które upoważniają do zwiedzania świątyń w całej okolicy. Niby kwota spora, ale biorąc pod uwagę, że jest tu ponad 4 tysiące świątyń, to wcale nie jest to głupi pomysł z takim łącznym biletem „na wszystko”. Na dodatek jechaliśmy tylko 3,5 godziny, a nie 7 jak pisały przewodniki. No fantastycznie jest dopiero południe, a my już na miejscu.

Bagan – to starożytne miasto i księstwo w Birmie słynące z wielkiej liczby buddyjskich pagód (524), świątyń (911), klasztorów (415) i 380 innych obiektów. Położone w środkowej Birmie, w Prowincji Mandalaj, nad rzeką Irawadi. W latach 1044-1287 miasto było stolicą Pierwszego Imperium Birmańskiego (Królestwa Pagan). Obecnie pozostałości miasta tworzą Strefę Archeologiczną Pagan (Bagan Archaeological Zone), która obejmuje kilka miejscowości (m. in. Nyaung U, Wetkyi-in, Pagan Dyoyaung (ang. Old Bagan), New Bagan) na obszarze długości 13 km i szerokości 8 km.

Przez większą część pierwszego tysiąclecia naszej ery teren obecnego Paganu zamieszkiwała grupa etniczna Pyu posługująca się językiem należącym do grupy języków tybeto-birmańskich. Z okresu tego nie zachowały się żadne budowle, choć cegły, z których je wznoszono, a nawet fundamenty wykorzystywano później do budowy obiektów istniejących współcześnie. Przypuszcza się, że Pyu zostali zastąpieni przez napierających z północy Birmańczyków w IX. lub X. wieku. Chociaż niektóre kroniki jako daty założenia Paganu podają nawet lata od 444 przed Chr. do 107 po Chr., należy je jednak uznać za daty mityczne, mające podkreślać status i starożytność birmańskiej stolicy. Za moment powstania Paganu przyjmuje się obecnie najczęściej rok 849, kiedy to panujący Pyu król Pinyinba miał zbudować mury (najstarszą istniejącą obecnie w Paganie

budowlę) i fosę otaczające miasto oraz bramę Tharabha, jednak badania zawartości izotopu węgla ^{14}C w murach podważają tę datę, przesuwając ją nawet między lata 990 a 1230 po Chr.. Najwcześniejsza data, jaką odczytano z inskrypcji na kamieniu fundacyjnym umieszczonym w świątyni Kubyaukgyi, to rok 1113. Inskrypcje zawierające wcześniejsze daty są kopiami, więc ich autentyczność może być podważana.

Pierwsze materialne dowody na istnienie niezależnej dynastii birmańskiej w Paganie pochodzą z okresu panowania Anawrahty w XI w. Początkowo, w XI wieku, budynki wznoszono na otoczonym murami terenie nad brzegiem Irawadi (obecnie na terenie wsi Old Bagan), ale już w wieku następnym zaczęto wznosić budowle także na płaskiej, otwartej przestrzeni rozpościerającej się na wschód od rzeki. Wykopaliska przeprowadzone na terenie otoczonym dawnymi murami sugerują, iż istniała tam wcześniej budowla wzniesiona z drewnianych pali. Był to prawdopodobnie pałac wzmiankowany w inskrypcji pochodzącej z okresu panowania Kyanzithy. Począwszy od czasu panowania Anawrahty Pagan stał się ośrodkiem religijnym i naukowym: sprowadzeni z Indii i Cejlonu mnisi poza nauczaniem zajmowali się badaniami lingwistycznymi, filozofią, prawem i medycyną. Było to też miasto wielonarodowe - oprócz Birmańczyków zamieszkiwali je potomkowie Pyu i Monowie. Pamiątką tej wieloetniczności jest inskrypcja Myazedi znajdująca się w Myinkabie, na południe od Paganu.

Nie wyjaśniono dotąd, jaka była przyczyna upadku Paganu w XIV. wieku. Często za wydarzenie decydujące przyjmuje się serię najazdów mongolskich wojsk Kubilaj-chana w latach 80-ych XIII wieku. Na poparcie tego wyjaśnienia brak jednak dowodów historycznych oraz ze sfery historii sztuki [7]. Wszystko wskazuje raczej na to, że nie był to pojedynczy kataklizm w rodzaju najazdu, zarazy czy kryzysu ekonomicznego. Upadek Paganu wynikał raczej z przeniesienia stolicy państwa do Ava i, w konsekwencji, utraty względów i opieki panujących. Pagan nigdy nie został porzucony i nie przestał być miejscem uważanym za święte, jednak jego znaczenie zdecydowanie zmalało. Przez wieki region doświadczył też wielu trzęsień ziemi (z których jedno z największych miało miejsce w roku 1975). Zdarzały się też olbrzymie pożary. Budowle popadały stopniowo w całkowitą ruinę, choć wznoszono także nowe (ok. 200) oraz przeprowadzano niewielkie renowacje. Odbudowę na dużą skalę rozpoczęto na początku lat 90. ubiegłego wieku. Niestety, jakość prowadzonych prac jest przedmiotem zdecydowanej krytyki historyków sztuki i konserwatorów. Prawie wszystkie zachowane budowle Paganu należą do jednej z trzech głównych kategorii: świątyń, stup i klasztorów. Dużo rzadziej spotyka się biblioteki oraz skromne budynki z jednym pomieszczeniem przeznaczonym na święty wizerunek. Jedenaście największych budowli powstało w XII i XIII wieku, a każda z nich przypisywana jest konkretnemu królowi. Począwszy od XIII wieku olbrzymie budynki zaczynają ustępować znacznie mniejszym, ale liczniejszym konstrukcjom tworzącym zespoły klasztorne. Jak głoszą inskrypcje, budowa największych nawet świątyń nie zajmowała więcej niż 3-4 lata, a wzniesienie średniej wielkości świątyni w strefie otoczonej murami (Shwegugyi) zajęło tylko 7,5 miesiąca.

Świątynie służą wiernym, którzy mogą wejść do świętej przestrzeni zawierającej jeden lub więcej wizerunków Buddy. Architekci Paganu wykorzystywali dwa podstawowe plany świątyń do stworzenia niezliczonych ich wariantów. Pierwszy z tych planów opiera się na litym ceglany rdzeniu otoczonym przez sklepiony korytarz, podczas gdy drugi przewiduje otwartą, sklepioną świętą przestrzeń w centrum, często otoczoną również zwykle krytym korytarzem. Świątynie budowane były na planie krzyża bądź czworokąta. Wyjątkową cechą architektury Paganu było istnienie świątyń i stup budowanych na planie pięciokąta.

Jeśli chodzi o strukturę pionową, to typowa dla Paganu jest piramida kilku (zwykle trzech) tarasów ze stupa umieszczoną na szczycie. Spotyka się dwie odmiany tego układu: stupa może spoczywać bezpośrednio na najwyższym z tarasów lub też na najwyższym tarasie może stać wieża (wimana) o wypukłych ścianach, a dopiero na niej stupa[e]. Drugie z tych rozwiązań jest spotykane w Paganie częściej.

Świątynie otaczane były murami, których praktycznym zastosowaniem była ochrona przed pożarami. Pod koniec XII wieku zaczęto wznosić większe, dwupiętrowe świątynie, takie jak Thatbyinnyu i Sulamani (1183). Największą ze świątyń jest Dhammayangyi - chociaż nie ma ona

dwóch pięter, to posiada kilka tarasów na dachu.

Stupy (nazywane też w Birmie pagodami - birm. paya) nie zawierają wewnętrznej przestrzeni dostępnej dla wiernych - ich rolą jest przechowywanie relikwi, takich jak fragmenty kości Buddy czy też jego wizerunki sporządzone z drogocennych materiałów. Umieszczone na stupach inskrypcje bardzo rzadko określają, jakie konkretnie relikwie są w nich zawarte. Choć stupy mogą posiadać różne kształty, największe z nich, jak na przykład Shwezigon, mają formę dzwonu. Forma ta jest charakterystyczna dla architektury birmańskiej.

Ze względu na stosowane typowe rozwiązania konstrukcyjne i styl, architekturę Paganu dzieli się na dwa okresy: wczesny i późny.

Okres wczesny (850-1120 po Chr.):

- Dominuje oś pozioma, uwagę zwraca szerokość budowli
- Budynki jednopiętrowe, oparte na planie otwartej przestrzeni
- Wnętrza przypominające jaskinie
- Słabe oświetlenie, okna z przesłonami
- Zarówno konstrukcja jak i ornamenty wykazują wyraźnie wpływy indyjskie
- Przeważają półsklepienia i łuki półkoliste

Okres późny (1120-1300 po Chr.)[edytuj | edytuj kod źródłowy]

- Silniejszy nacisk na oś pionową
- Pojawiają się świątynie dwupiętrowe, przy czym główna świątynia znajduje się na piętrze górnym
- Częsty plan z ceglanym rdzeniem, co wzmacniało konstrukcję i umożliwiało dodanie drugiego piętra
- Wnętrza lepiej oświetlone, okna bez przesłon
- Dominują sklepienia kolebkowe
- Kształt stupa przypominający piramidę
- Świątynie (Shwekunchar, Payangazu) i stupy (Dhammayazika) na planie pięciokąta

Niektóre świątynie i stupy budowane na planie pięciokąta

- Zastosowanie sklepień łukowych
- Brak zaprawy (lub jej minimalna ilość) w konstrukcji łuków oraz ułożenie cegieł długimi bokami na zewnątrz
- W przedstawieniach scen z życia Buddy dominuje jego postać, a warstwa narracyjna zepchnięta jest na dalszy plan.

Na lokalnym dworcu w centrum Nyaung-U na autobus rzucają się chętni do podwózki do różnych hoteli. Bierzymy konną bryczkę dwukołową. Mam wrażenie, że można z niej zjechać. Jakoś ten sposób jazdy wcale mi się nie podoba. Wyprzedzają nas nawet ryksze rowerowe. W sumie z drugiej strony śmiesznie jechać taka „podwózka”. Po drodze sprawdzamy dwa hoteliki i ostatecznie zostajemy w Inn Wa. Za pokój trzeba zapłacić 18 dolarów, ale jest klima, ręczniki, śniadanie i internet. Mamy szczęście bo zajmujemy ostatni wolny pokój. Fajne miejsce, a osoby na recepcji dobrze mówią po angielsku, więc można się dowiedzieć wszystkiego co chcemy. Dajemy sobie dwie godzinki wolnego a potem wypożyczamy rowery, bo niestety obcokrajowcom nie wypożycza się tutaj skuterów.

Wychodzimy z hotelu. Upał z nieba leje się niemiłosierny. Słońce żarzy, ale co robić, wsiadamy na rowery. Krem z filtrem idzie w ruch, na głowę kapelusz i w drogę.

Na pierwszy ogień idzie pobliska Shwe-zi-gon. Złota pagoda, która w tym słońcu błyszczy, jak nie wiem co. Niebo jest tak niebieskie, że w połączeniu ze złotą pagodą wszystko wygląda jakby zostało sfabrykowane w programie komputerowym. Tutaj jeszcze jemy kupionego ze straganu cudownego ananasa. Przyglądam się pani, w jaki sposób dobrze obierać ten owoc.

Ciekawa technika, jak wróć do domu to muszę to wypróbować.

Obok stupy Shwensandaw jest ona najbardziej typowym przykładem architektury Wczesnego Okresu w Paganie. Kroniki przypisują ufundowanie tej stupy Anawrahtie. Ma ona zawierać kość czołową i ząb Buddy. Kość została zrabowana przez Anawrahtę ze stupy w Sri Kszetra, ząb zaś był darem króla Sri Lanki. Ząb Buddy miał ulec rozmnożeniu, a lokalizację Pagody Shwezigon oraz stup, w których złożono poszczególne repliki, wyznaczyła marszruta puszczanego swobodnie królewskiego słonia. Za życia Anawrahty ukończono trzy wznoszące się kolejno na sobie czworoboczne tarasy stanowiące podstawę dla dzwonu, który, wraz z dwoma kolejnymi, okrągłymi tarasami ukończono już za panowania Kyanzithy w roku 1087.

Shwezigon jest pierwszą dużą budowlą wzniesioną w stylu birmańskim (a nie charakterystycznym dla kultury Monów czy Cejlonu). Unikatową jej cechą jest to, że jako jedyna w Pagan nie została ona wybudowana z cegły, ale z kamienia (piaskowca), który jest budulcem trudno dostępnym w tym rejonie. Na jej tarasach umieszczono panele przedstawiające sceny Dżataki. Wykonano je z kamienia pokrytego zieloną glazurą. Osobliwością jest fakt, że przedstawianych scen jest 550 a nie, jak zwykle, 547. Jest to też pierwsza stupa, w obrębie której zezwolono na umieszczenie wizerunków natów. Włączenie tych duchów do kultu buddyjskiego ułatwiało szerzenie się buddyzmu wśród Birmańczyków. Wśród wizerunków 37 natów znajduje się kamienny posąg ich króla - Thagyamina. Jest to najstarszy wolnostojący wizerunek tego ducha w Birmie. Przy zachodnim wejściu na teren świątyni znajdują dwa kamienne lwy (ang. chinthe) - najstarsze w Paganie[10] - stylizowane na sposób chiński, co jest dla Paganu typowe. Lwy umieszczone przy pozostałych wejściach są ich stiukowymi kopiami. Na terenie pagody znajduje się też ważący 3423 kg miedziany dzwon pokryty inskrypcjami opisującymi pierwszych 6 lat panowania króla Bayinnaunga

Kolejnym miejscem do którego jedziemy jest Kyan-sit-tahr-Umin, które przypomina jaskinię z korytarzami, a na ścianach znajdują się malowidła. Powstała w XI wieku.

Czas zajrzeć do lokalnej specjalności, jaką jest wytwarzanie różnych naczyń z czarnej laki. Laka to żywica sumaka lakowego, wypływająca z drzewa w postaci szarej emulsji, ciemnieje na powietrzu, a po usunięciu wody – twardnieje. Jest odporna na działanie wody, kwasów, alkoholu itp. Laką pokrywa się również wyroby z drewna, skóry lub metalu. Najstarsze wyroby z laki pochodzą z IV tysiąclecia p.n.e. Czarną i czerwoną laką pokrywano tace, grzebienie, biżuterię (spinki do włosów, wisiorki), gliniane naczynia, a nawet zbroje i trumny. W Birmie stosuje się właśnie tę czarną lakę.

Wchodzimy do warsztatu, gdzie praca wre. Na każdym stanowisku powstają kolejne cudeńka. Najpierw robi się rusztowanie naczynia z bambusa i przetyka np. końskim włosiem, potem na to nakłada się smołowatą maź, czeka aż wyschnie, potem poleruje. W końcu nakłada się kolory i rzeźbi wzorki. Naczynia wykonywane z włosia końskiego są jak z gumy. Z laki wyrabia się też „twarde” naczynia, ale wtedy nie używa się owego włosia. W zakładzie powstają piękne rzeczy. Znajduje się tu też sklep, ale niestety pozostaje nam tylko oglądać, bo ceny są dość wysokie. Najmniejsza czareczka kosztuje 7 dolarów, ale np. komoda to wydatek 5500\$, a parawan niebotyczne 18000\$. Koszmar...

Nasza rowerowa wycieczka prowadzi do Hti-lo-min-lo, gdzie siadamy sobie na podłodze jednego z przyświątynnych straganów i oglądamy malowane na płótnie obrazki. Kończy się to zakupami. Kiedy chcemy opuścić świątynię, łapie nas młoda dziewczyna, która bardzo dobrze mówi po angielsku i prowadzi nas za mury do budyneczku z platformą widokową, z której rozpościera się piękny widok na okolicę i ową świątynię. Potem oczywiście zostajemy zaciągnięci do „jej” sklepiku i tak nas przekonuje, że dajemy się namówić na kupno miedzianych dzwoneczków. Dziewczyna ma niezłe opanowany marketing. Zna nawet kilka słów po polsku.

Czas nam powoli ucieka i musimy zbierać się do świątyni Buledi, gdzie można oglądać zachód słońca. Jest już trochę turystów na stupie, a pod stupa stoją rowery i dwukołowe bryczki, którymi zjechali tu turyści. Wdrapujemy się jak inni na mury świątyni. Zachód niestety okazuje się być raczej średni, ale widoki na okolicę są stąd przepiękne. Ilość stup w promieniu kilku kilometrów jest niezliczona. Cudne miejsce. Tym bardziej, że nie jest zabudowane współczesnymi

budowlami.

Wracamy do hotelu. Chyba trochę za szybko zeszliśmy ze świątyni, bo teraz niebo zaczyna przybierać na barwach. No nic jutro poprawimy się i posiedzimy na zachodzie słońca dłużej niż dzisiaj. Zmrok zapadł szybko, więc wracamy po ciemku. Jak zwykle o latarniach można zapomnieć, dobrze, że mamy rowerowe lampki. Marne bo marne, ale zawsze coś. Co jakiś czas oślepia nas jadący z przeciwka skuter.

Docieramy do hotelu i oddajemy rowery. Teraz czas zjeść jakąś kolację. Idziemy do restauracji birmańskiej oddalonej 5 minut od hotelu. Jem kurczaka na słodko-kwaśno, a Paweł makaron z warzywami i wieprzowiną, do tego pijemy sok z limonki. Oczywiście są i darmowe zupy – rosół z kielkami soi. Oczywiście jedzenie jest tanie – za wszystko całe 3,5 dolara. Tu na obrzeżach są tanie restauracyjki, ale im bliżej turystycznego centrum tym pojawiają się bardziej ekskluzywne i drogie. Podobno najdroższe są w Starym Baganie, bo tam są najdroższe hotele.

W drodze powrotnej kupujemy w lokalnym sklepie birmańskie piwo. Uff ugasimy pragnienie po dzisiejszym suchym dniu i jeździe na rowerze.

Wieczorem zasypiam w łóżku z długopisem w ręce. Nie udaje mi się skończyć notatek z dnia dzisiejszego, taka jestem śpiąca. Jazda na rowerze w tym upale mnie wykończyła.

29.07.2013 (poniedziałek)

Dzisiaj pozwalamy sobie pospać do 8 (!) rano. Potem czas na śniadanie. Dzisiaj nasza rocznica ślubu, a śniadanie w hoteliku okazuje się być isticie królewskie. Na początek sok i cała góra ananasów i arbuza, potem tosty, omlety, dżem.

O 9 jedziemy z parą Koreańczyków i parą Anglików do oddalonej o 40 km Mount Popy. Jadąc w kierunku wzgórza mijamy ciężarówki obciążone ludźmi i towarami. Ciężarówki wyglądają niczym choinka. Ludzie w środku, na dachu, bądź wiszą z tyłu. Przy drogach znajdują się koleiny dwukołówek ciągniętych przez woły. Każdy kolejny wóz jedzie już po gotowych koleinach, niczym tramwaj po szynach.

Zatrzymujemy się w miejscu, gdzie z palmy robi się alkohol, ale nie tylko. Z baniaków kapie do butelek alkohol. Są urządzenia (prymitywne) do destylacji owej palmowej wódki. Z palmy robi się też tutaj cukier. Mleczko kokosowe gotuje się, aż zostanie odparowana woda i wytworzy się gęsta cukrowa maź, która potem zastygnie w kremowe kawałki cukru palmowego. Obok w kieracie chodzi wół, który mieli sezam i orzeszki, z których powstaje olej.

Jedziemy dalej, mijając kolejne wioski, połacie suchorośli z kaktusami, aby w końcu pojawiły się małe plantacje kaktusowatych, na których rosną tzw smocze owoce. Rosną na podpórkach niczym plantacje winorośli.

Po ponad godzinie jazdy docieramy pod Mount Popę. Wzniesienie jest pozostałością po kominie wulkanicznym zwany Taung Kala i sterczy na wysokość 800 metrów. Święta góra Birmy, zwana „birmańskim Olimpem”, miejsce pobytu 37 „Natów” (duchów) – prebuddyjskiej, ludowej religii Birmy.

Sama góra – której nazwa oznacza po birmańsku „kwiat” – jest wulkanem o wysokości 1518 m. n.p.m. położonym w Paśmie gór Pegu, ok 50 km na południowy wschód od Pagan. Według miejscowych podań ostatnia erupcja miała miejsce w 442 r. p.n.e. Rejon ten jest objęty ochroną w formie parku narodowego Góry Popa. Na jej zachodnich zboczach w miejscowości Popa, na szczycie wulkanicznego neku znajduje się kompleks świątynny, miejsce to wiąże się z tradycyjną, animistyczną religią birmańską: kultem Natów, duchów opiekuńczych miejsc (religia mająca wiele podobieństw z japońskim kultem Shinto). Z górą związane są najważniejsze legendy o Natach: o rodzeństwie Mahagiri oraz potomstwie Byatty.

Na szczyt góry prowadzi 777 schodów, przy których mieszkają głównie małpy. U podnóża góry znajduje się jedno z sanktuariów Natów, w a nim posągi całego panteonu duchów, niektóre z nich dość kuriozalne (m.in. posąg Nata-pijaka, któremu wierni składają ofiary z whiskey).

Większość z 777 schodów do świątyni trzeba pokonać boso. A syf straszliwy, bo są tu całe armie małp. Nie dość że dużo śmieci to i sporo psich, czy małpich odchodów. Moje stopy przez ten pobyt w Birmie będą miały na sobie całe miliardy zarazków. Cud jak nie nabawię się jakiejś grzybicy.

Małpy są jakieś okropne. Aż strach je mijać. Patrzą tak jakby za chwilę miały się na nas rzucić. Zresztą między sobą co chwilę przeprowadzają ataki. Gryzą się, gonią. Łomot straszliwy, bo biegają po blaszanych dachach, które są nad schodami. Kiedy wyciąga się aparat pokazują zęby. Heh no tego jeszcze nie było. Ludzie nie mają tu nic przeciwko robieniu zdjęć, ale małpy i owszem.

Na schodach prowadzących na szczyt oczywiście porozstawiane są kolejne stragany z tutejszymi „pamiątkami”. Ja nie wiem ile tego można jeszcze wytrzymać. Na szczyt oglądamy kilka świątyń. Wszędzie są „kapliczki” z posągami duchów tego wzgórza. Przy każdym z nich całe masy pieniędzy złożone przez pielgrzymów. Na szczycie robię sobie zdjęcie z mnichami-dziećmi. TO chyba będzie jedno z fajniejszych zdjęć z wyjazdu.

W końcu czas schodzić na dół. Kupuję ciekawy wulkaniczny kamień, który przypomina grzechotkę. Jej to jajo w którym grzechocze inny zamknięty w procesie wulkanicznym kamień.

Chwila na małe co nieco na stoisku z zupami i o 13 wracamy do Nyaung-U. Postanawiamy najpierw pójść do banku i wymienić pieniądze, ale już niestety banki pozamykane. Szukamy poczty, ale to też niełatwe zadanie. Każdy mówi, że blisko, a idziemy i idziemy. Coś tu mają problem z określeniem odległości. Trudno załatwimy jutro i pocztę i bank.

Trafiamy za to na jakiś przemarsz. Pojazd niczym z bajki Flinstonów, w środku z syntezatorem przymocowywanym do żerdzi. Gość człapie w tym pojeździe i gra. Przed i za pojazdem ludzie idą gęsiego niosąc dzwonki, bębny i inne dziwne atrybuty. Są ludzie ze srebrnymi miskami, którzy po okolicznych sklepikach i ludziach zbierają jakieś datki.

Wracamy do hoteliku po rowery. Najpierw asfaltową drogą jedziemy do kompleksu świątynnego Iza-gawna, potem mijamy Wini-do-group, aby dojechać do korytarzy jaskiniowych wykonanych w piaskowcu, które służą okolicznym mnichom do medytacji. Obok jest mały klasztor Nanda-pyin-nya, w którym na placu siedzi jeden uśmiechnięty mnich.

W kolejnej małej świątynce kupujemy malowany na płótnie obrazek. Obrazki, które można tutaj w świątyniach kupować, to najczęściej kopie fresków znajdujących się na ścianach danej świątyni. W kółko słyszymy o tym że tydzień ma 8 dni. Zgodnie z tradycyjną astronomią, w Birmie tydzień ma 8 dni. Nie ma to jednak wpływu na kalendarz, gdyż ósmy dzień to środa wieczór zwany Yarhu. Jednak Yarhu nie jest uważany za istotny dzień w tygodniu i nie jest oznaczany w kalendarzu. Podział ten wynika ze względu na kształt buddyjskich pagód, w którym każdej z ośmiu stron jest przyporządkowany jeden dzień ośmiodniowego tygodnia. Dwie ze stron przypadają na środę. Jedna na poranek i popołudnie, a druga, właśnie Yarhu, na wieczór. Niedziela jest uznawana za pierwszy dzień tygodnia. Yarhu to piąty dzień

Dalej ścieżką jedziemy do Tayok-pyi i tutaj łapie nas sprzedawczyni pocztówek, która tak przekonuje Pawła, że ostatecznie po bardzo długich pertraktacjach cenowych jesteśmy posiadaczami kilkudziesięciu kartek pocztowych. Niestety przy każdej świątyni są jakieś sklepiki, a lokalni mieszkańcy ciągną tam turystów. Zresztą przy każdej świątyni ktoś „mieszka”. Kilka dni i można stracić tutaj całkiem spore zasoby gotówkowe, na owym kupowaniu w świątyniach różnych drobiazgów.

W pewnej chwili jak jedziemy drogą zaczepia mnie miejscowy Birmańczyk i pyta jak tam w Birmie. Ja tu ledwie dycham na rowerze w tej temperaturze i jeszcze mam opowiadać jak fajnie jest.

Jedziemy dalej do Min-nam-village. To jedna z niewielu stoisk ukrytych na owym terenie pokrytym świątyniami. Tutaj czas zatrzymał się w miejscu. Wioska oddzielona od okolicy płotem z patyków i kaktusów. Trawy nie ma w całej wiosce, tylko klepisko. Cudne, proste, bambusowe domy. Przy każdej zagrodzie stoją dwa woły. Przy jednej z zagród, w miejscu wydzielonym dla wołów, mały chłopiec do miski zbiera odchody. Prawdopodobnie zanieś je na pobliskie poletko, jako nawóz. Po całej wiosce chodzą głównie kobiety. Biegają z nosidełkami, na których umocowane są metalowe pojemniki i noszą w nich wodę ze wspólnego wodopoju za wsią. Nawet

małe dzieci noszą wodę. Oczywiście mają dużo mniejsze nosidełka. Niektóre dzieci przed domem uczą się nosić wodę i na razie mają zawieszane połówki butelek, a w nich noszą piasek. Z oddalonego miejsca przyjechał wóz z wołami poganiany przez kobietę. Ona również przyjechała po wodę, ale na wozie ma całą beczkę, która napęlnia przy wodopoju.

Opuszczamy te cudowną wioskę i jedziemy do Sula-ma-ni. Świątynia Sulamani znajduje się obecnie na terenie wsi Minnanthu, w południowo-wschodniej części dawnego Paganu. Zbudowana została w roku 1183 przez króla Narapatisithu. Jest to świątynia dwupiętrowa, a każde z pięter zbudowano na planie z ceglanym rdzeniem i okrężnym korytarzem. Na każdym z pięter znajdują się po trzy tarasy. Stanowi ona szczytowy przykład typowego dla Okresu Późnego nacisku na pionową oś budowli. Osiągnięto to zwężając piętro (przy niezmienionej w stosunku do starszych budowli jego wysokości), powiększając wieżę oraz zwężając i podwyższając hole wejściowe.

Gzymy dolnej części świątyni i spoczywających na niej tarasów wyłożone są szklwionymi płytkami z motywami geometrycznymi i roślinnymi. Elementami bogatego wystroju zewnętrznego są też sztukaterie znajdujące się na narożnych stupach i ponad bocznymi wejściami.

Na ścianach korytarza dolnego poziomu świątyni znajdują się bardzo dobrze zachowane freski z okresu dynastii Konbaung (1752-1885).

Niestety wjeżdżamy w jakieś krzaki i wplątuje mi się gałązka w szprychy, kiedy ją wyciągam słyszę mocny syk powietrza z koła. Ups, wbił mi się kolec jakiegoś suchorośla. Po 5 minutach w oponie nie ma wcale powietrza. Zamiast jechać idziemy piechotą do świątyni. Kiedy docieramy pod świątynię, okazuje się że panowie ze straganu z pamiątkami zajmują się wulkanizacją. Ściągają oponę, wyciągają dętkę i zanurzają ją w wodzie szukając dziurek. Znajdują w sumie cztery. Panowie przystępują do ich klejenia. Co ciekawe widać ile opona ma już wcześniejszych łatek. W sumie podziurawiona jest niczym sito. Niestety nie zdążymy już dzisiaj na żaden zachód słońca, bo właśnie już powoli zapada zmrok. Panowie klejenie kończą już przy latarce.

Już po ciemku, trochę błędząc ścieżkami docieramy do głównej drogi i śmigamy. Zatrzymuje nas przy drodze policjant, który sprawdza czy dobrze mamy zabezpieczone na rowerze plecaczki i nikt ich nam nie wyrwie. Widać że dbają tutaj o bezpieczeństwo turystów o zmierzchu.

Po powrocie do hotelu idziemy do pobliskiej Manu Sabai na kolację. Nagle idąc cała miejscowość zostaje pozbawiona prądu. Zapadają egipskie ciemności. Widać że Birmańczycy na takie „zaciemnienia” są przygotowani. Wszyscy rzucają się do włączania generatorów i przełączania miliona kabli i wtyczek. Po chwili wszystko działa. Nawet kolorowe lampki przed restauracyjkami. Wypijamy aż 4 kufelki soku z limonek, bo po dniu zwiedzania i kilku godzinach jeżdżenia rowerem usychamy z pragnienia. Zajadamy się tutejszym curry, a potem wlecemy się do pokoju, a oczy same się zamykają...

30.07.2013 (wtorek)

Śpimy sobie do 8 rano. Potem idziemy na taras na dachu, gdzie znowu czeka na nas królewskie śniadanie z cudownie dojrzałymi owocami. Trochę musimy dzisiaj na śniadanie poczekać, bo w kuchennej budce, gdzie przygotowywane jest śniadanie są jakieś problemy. Najpierw buchają stamtąd kłęby dymu, potem przychodzi pani i przepasza, że to chwilę potrwa, bo im ogień zgasł.

Po śniadaniu wypożyczamy dla Pawła elektryczny rower, aby mógł go wypróbować i pojechać do banku i na pocztę. Ja w tym czasie na godzinę wsiąkam na pobliskim targu. Na wielkim bazarze ludzie sprzedają całymi rodzinami. Całość jest podzielona na część warzywno-owocową, mięsna z rybami, tekstylną i ostatnią dla turystów z pamiątkami. Tutaj sprzedawcy pamiątek kiedy mnie widza wyskakują ze swoich stoisk i za ręce ciągną mnie do siebie, ubierają w longi. Trzeba na razie uciekać. Przy każdym stoisku pachnie, najintensywniej tam, gdzie sprzedawany jest świeży bambus. Piętrzą się stosy jajek. Ciekawe ile z nich w takim upale ulega

zepsuciu. Są stoiska z kwiatami, czy całe z zieleniną typu pietruszka, ale w rozszerzonej azjatyckiej wersji. Sprzedają głównie kobiety, każda z nich w twarzowym make-upie z tanaki. Nawet od jednej z kobiet otrzymuję w prezencie krążek gotowej tanaki, którą sama mogę użyć na swojej skórze. Są stoiska, gdzie miejscowi kupują liście betelu do żucia z różnymi dodatkami. W wielu miejscach można zobaczyć a ziemi czerwone plamy, nawet przy świątyniach. To oczywiście od płucia betelem. Gdy wychodzę z tego uśmiechniętego bazaru, podjeżdża autokar i wysypują się z niego niemieccy turyści. Wiekowo chyba 70+. Wielu z tych turystów wysiada z laseczkami. Staruszkowie ruszają na oglądanie bazaru. Gdzie ich tu zawiało.

Wracam do hotelu. Paweł już tam jest. Załatwił i znaczki na pocztce i pieniądze w banku. Postanawiamy wrócić na bazar, aby kupić kilka pamiątek w postaci longi, laki i t-shirtów.

Po zakupach bierzemy różowe (!!!) elektryczne rowery i ruszamy w stronę Starego Baganu. Najpierw trzeba się nauczyć tym jeździć. Po paru minutach mam opanowaną jazdę. Rety jak fajnie. Mimo upału nie muszę pedałować, tylko po prostu sobie jadę przed siebie. Paweł narzeka, że te rowery są strasznie wolne no i... różowe. Stajemy przy pocztce aby wysłać pocztówki. Mam nadzieję, że dojdą. Potem śmigamy asfaltową drogą prosto do Starego Baganu.

Na pierwszy ogień idzie Ananda Temple. Jedna z najbardziej znanych, ze stojącym złotym Buddą. A skoro znana to i turystów jest tu sporo. Przy okazji robimy sobie postój na świeży sok trzciniowy.

Nazwa świątyni pochodzi z sanskrytu i oznacza doskonale szczęście. Powstała ona na przełomie XI i XII wieku za panowania Kyanzithy. Według legendy opisaney w późniejszych kronikach, króla Kyazitthę odwiedziło ośmiu oświeconych mnichów (arahantów) medytujących w Grocie Nandamula na górze Gandhamadana. Król nakarmił i ugościł przybyszy, a w zamian poprosił ich, by użyli swych mocy do przywołania obrazu Groty. Następnie Kyanzitha wznosił świątynię wzorując się na swojej wizji.

Świątynię Ananda wybudowano na planie krzyża greckiego, z litym rdzeniem w centrum oraz czterema długimi holami wejściowymi jako jego ramionami. Ma ona wysokość 52 metrów. Dolne piętro stanowi podstawę dla sześciu kwadratowych tarasów. Na najwyższym tarasie spoczywa duża złożona wieża (wimana) na planie kwadratu, z czterema wypukłymi ścianami. Przez środek każdej ze ścian przebiega pionowa nisza w której umieszczono pięć wizerunków Buddy. Na szczycie wieży znajduje się połączona stupa w kształcie dzwonu. Pomimo wysokiego dolnego piętra i dużej wysokości całkowitej, świątynia charakteryzuje się typową dla obiektów powstałych we Wczesnym Okresie dominacją mocnych linii poziomych.

W czterech wnękach rdzenia umieszczone są główne obiekty kultu w postaci wysokich (9,5 m) wizerunków stojącego Buddy wykonanych z połączanego drewna. Przedstawiają one Buddę historycznego (strona zachodnia), oraz poprzedzających go w naszej epoce trzech wcześniejszych Buddów: Kakusandhę (strona północna), Konagamanę (strona wschodnia), Kassapę (strona południowa). Tylko posągi północny i południowy są oryginalne przedstawiając styl typowy dla Okresu Wczesnego. Osobliwością jednego z tych wizerunków jest to, że pomimo pozycji stojącej ręce Buddy ułożone są w geście dharmacakramudry (głoszenia nauki). Wszystkie wcześniejsze obrazy Buddy nauczającego przedstawiają go w pozycji siedzącej.

We wnękach każdego z czterech pomieszczeń wejściowych znajduje się 16 rzeźb przedstawiających najważniejsze wydarzenia z życia Buddy. Wnętrze świątyni zorganizowane jest wokół dwóch okrężnych korytarzy. W wewnętrznej ścianie zewnętrznego korytarza znajduje się 80 nisz w dwóch rzędach, zawierających rzeźbione panele przedstawiające w porządku chronologicznym sceny z życia Buddy. Pierwszy panel znajduje się w dolnym rzędzie przy wejściu zachodnim, a kolejne rozmieszczone są wokół świątyni zgodnie z ruchem wskazówek zegara, najpierw w rzędzie dolnym, a następnie górnym tak, że aby poznać całą historię należy obejść korytarz dwukrotnie. Przedstawione sceny wykazują silne podobieństwo do palijskiego tekstu pochodzącego z V. lub VI. wieku (Nidanakatha). Niektóre z tych scen są unikatowe dla sztuki buddyjskiej, jak na przykład przedstawienie omdlenia Buddy na końcu jego sześciolletniej głodówki. Inną unikatową dla Paganu cechą tych przedstawień jest to, że dominują w nich postaci Buddy, podczas gdy obrazy opowieści zostały zepchnięte na ścianę piedestału, na którym Budda

spoczywa. Powyżej znajduje się jeszcze pięć rzędów nisz, jednak umieszczone w nich wizerunki nie są widoczne dla osób stojących na dole.

W zewnętrznej ścianie świątyni znajduje się ponad 1500 wnek, w których umieszczono pokryte zieloną glazurą kafle, z umieszczonymi na nich scenami i podpisami sporządzonymi w języku mon. Na każdym z sześciu tarasów znalazły się sceny z Dżataki, przy czym na trzech najwyższych są to epizody z dziesięciu ostatnich, najbardziej znanych opowieści (Mahanipata). W niszach znajdujących się w podstawie świątyni umieszczono sceny walki Buddy z armią demonów Mary.

Potem jedziemy do Dhamma-yan-gyi-Phato, która jest niczym z Indiany Jonesa. Trochę wygląda w środku jak zamek krzyżacki, niby lochy, ale wszędzie stoją posągi Buddy.

Największą świątynię Paganu wybudowano za panowania króla Narathy bądź jego ojca - Alaungsithu, w latach 1163-1165. Według legend ufundowanie Dhammayangyi miało służyć odkupieniu jego licznych win, wśród nich zamordowania własnego ojca i brata, a także żony. Według innej legendy, podczas budowy król nakazał, aby cegły dopasowywano do siebie tak ściśle, by nie mieściła się między nimi szpilka. Murarzem, którzy nie spełnili tego warunku miał kazać obcinać ręce.

Świątynię Dhammayangyi zbudowano na planie niemal identycznym jak Świątynię Ananda (krzyż grecki, dwa okrężne korytarze wokół ceglano rdzenia), jest ona jednak bardziej obszerna, choć nigdy nie została ukończona. Wewnętrzny okrężny korytarz został z nieznanymi powodami zasypany ceglano gruzem. Z tego powodu dostępna jest tylko jedna z czterech nisz przeznaczonych na wizerunki Buddy - jest to nisza wschodnia. Znajdujący się w niej posąg nie jest oryginalny, ale pochodzi z okresu Królestwa Awa [14]. Pozostałe wizerunki zamiast w niszach umieszczono w odpowiadających im holach wejściowych. Dhammayangyi jest jedyną świątynią Paganu, w której znalazł się posąg siedzących obok siebie dwóch Buddów: współczesnego (Gautamy) i przyszłego (Maitreji). Znajduje się on w zachodnim holu wejściowym. Korytarze posiadają stropy kolebkowe, co jest cechą typową dla świątyń Okresu Późnego.

Na dachu podstawy znajduje się sześć wysokich (ale kolejno coraz niższych), stromo pochylonych tarasów, co nadaje świątyni kształt piramidy. Dzięki temu oś pionowa równoważy linie poziome. Na tarasach znajdują się nisze przeznaczone na płytki z przedstawieniami Dżataki, które jednak pozostały puste. Znajdująca się na szczycie świątyni wieża jest uszkodzona - brak jej wierzchołka wraz z wieńczącą ją stupą.

Jak zwykle i tu siedzą sprzedawcy malowideł. Znowu nas nagabują. Jeden ze sprzedających pokazuje nam różne banknoty, które kolekcjonuje ze wszystkich stron świata. Ma stare nic nie warte 100 polskich złotych. Toteż nagabuje nas czy nie mamy jakichś aktualnych. Najniższy nominal mamy 20zł, Paweł mówi że to około 6-7 dolarów. Panu świeca się oczy i proponuje za ten banknot jakiś malowany na płótnie obrazek. Po targach otrzymujemy obrazek mnichów wykonany na podkładzie z piasku. Śliczny.

Przy każdej świątyni nasze rowery wzbudzają zaciekawienie wśród lokalnych mieszkańców. Te elektryczne rowery to chyba jakaś miejscowa nowość. W pewnym momencie kiedy tak jedziemy zauważam, że Paweł jakoś szybko śmiga i oddala się ode mnie. Hmm... jak to możliwe ja już jadę na maksa i więcej się nie da. Jak się potem okazuje Paweł odkrył, że wystarczy kilka razy popedałować, co dodaje mocy rowerowi i po chwili dostajesz więcej energii i śmigasz szybko.

Kolejna świątynia do której dojeżdżamy to That-byin-nym, gdzie kupujemy mały obrazek słonia. Musimy trochę poczekać, bo twórca musi go pokolorować i poczekać aż wyschnie. Cała przyjemność za 1 dolara. Czas kończyć kupowanie obrazków, bo nie wiem gdzie my je powiesimy. Nazwa świątyni tłumaczy się jako wszechwiedza - jeden z atrybutów Buddy. Jest to najwyższa świątynia Paganu (61 m). Wybudowana została za panowania króla Alaungsithu w roku 1144 w obrębie murów miasta. Zbudowana jest na planie niesymetrycznego krzyża, w formie dwóch leżących na sobie prostopadłościennych brył stanowiących dwa piętra budowli (niektórzy autorzy, np. Raezer, U Lu Pe Win, uwzględniając półpiętra twierdzą, że jest ona cztero- a nawet pięciopiętrowa). Na każdym z pięter znajdują się po trzy tarasy z iglicami w rogach. Dolne piętro zbudowane zostało na planie z ceglano rdzeniem w środku, co umożliwiło uniesienie ciężaru całej

konstrukcji. Piętro to służyło za mieszkanie dla mnichów. Piętro górne nie zawiera rdzenia, otoczona jest za to korytarzem. Główny posąg znajduje się na tym właśnie piętrze - takie rozwiązanie zostało zastosowane po raz pierwszy właśnie w Thatbyinnyu. Jeszcze wyżej, na półpiętrze znajdowała się biblioteka. Główny posąg świątyni nie jest oryginalny - pochodzi z XIII wieku. Zwieńczenie świątyni stanowi względnie niska i szeroka wieża (wimana) ze stupą na szczycie.

Ściany wnętrza świątyni zostały pobielone podczas jednego z remontów, co spowodowało zniszczenie większości zdobiących je malowideł.

Świątynia Thatbyinnyu nie została ukończona - brak na przykład przedstawień Dżataki, choć na tarasach znajdują się przeznaczone dla nich wnęki.

Czas na Maha Bodhi. To dla odmiany świątynia hinduistyczna, przerobiona na buddyjską. Znowu nam chcą tu coś sprzedać. Koniec nic nie kupujemy. Jedziemy dalej na naszych super fajnych rowerach. Tym razem do Na-ga-ya-da-na, gdzie zaskakuje nas kilkuminutowy rzęsisty deszcz. Musimy przeczekać w świątynce. Oczywiście próbują to wykorzystać sprzedawcy obrazków. Udaje nam się nic nie kupić, ale to chyba zasługa tego, że przestał padać deszcz.

W końcu trafiamy do wsi Myinkaba ze świątynią Ma-ni-ho. Najpierw zostajemy w lokalnym barze przy świątyni i zajadamy się zupą. A właściwie powinnam powiedzieć makaronem z zupą.

Po zjedzeniu obiadu wjeżdżamy w małą boczną drogę, prowadząca prosto do wioski Myinkaba. Mijamy wielkie śmietnisko nad rzeką, gdzie pośród śmieci mężczyźni łowią ryby. Domki wioski zbudowane są z bambusowych mat. Na centralnym placu znajduje się podwyższenie z wiata, gdzie mężczyźni grają w gę rzucając muszlami. W każdym prawie domu wytwarzana jest tutaj laka. Nawet specjalnie dla nas otwierają drzwi do piwnicy znajdującej się pod domem, abyśmy sobie zobaczyli, jak na półkach stoją miski z laki. Przed domami stoją stoły na których kolejne naczynia się suszą. Mieszkańcy jak nas widzą to zapraszają do swoich domostw, abyśmy coś u nich kupili, a my niestety przyjechaliśmy tylko pooglądać. W każdej zagrodzie oczywiście stoi para wołów.

Z wioski jedziemy na przystań statków, które zatrzymują się tu w drodze z Mandalaj. Miejsce dość dziwne. Kiedy tylko przyjeżdżamy wszyscy się na nas rzucają. Każdy podtyka nam pod nos swoje towary – pocztówki, spodnie, t-shirty. Jedna z dziewczynek wyciąga ręcznie robione kartki. Są wykonane na kartkach w linie i pomalowane kredkami, w rozmiarze oryginalnej pocztówki. Są też zapakowane w woreczki. Za kilka pocztówek cena wynosi 1 dolara. Nie ma to jak przedsiębiorczość. Musimy to kupić. Naprawdę fajny pomysł.

Śmigamy do Shwe-San-Daw. To jest dopiero widokowa świątynia. Można wejść naprawdę wysoko, aby z niej podziwiać okoliczny krajobraz. Ludzi na świątyni dużo. Przyjechali tu nie tylko rowerami, ale bryczkami i nawet autokarami. Widoki cudowne. Tylko szkoda, że brak efektownego zachodu słońca. No cóż nie ta pora roku. Na świątyni są turyści, których mieliśmy okazję widzieć w bangkoku przed ambasadą. Przy świątyni jest też policja, bo turystów jest tu bardzo dużo. Ta świątynia chyba jest najlepszym miejscem na oglądanie zachodu słońca, jak i panoramy całej okolicy.

Na naszych odrzutowych rowerkach wracamy po zmroku do hoteliku i idziemy jeszcze na kolację, na którą składa się wielka micha tajskiej zupy i ogromna góra makaronu z wieprzowiną i warzywami. Aż ciężko to wszystko zjeść.

Potem w ciemnościach siedzimy na dachu hoteliku, pijąc piwo i gapiąc się w niebo. Nie ma latarni i innych świateł też mało, więc ilość widocznych gwiazd na niebie jest niesamowita. O!!! i jest spadająca gwiazda...

31.07.2013 (środa)

Pobudka 6:30 rano. Małe pakowanie rzeczy i przed 7 rano jesteśmy na dachu na śniadaniu. Musimy chwilę poczekać, bo restauracyjkę otwierają punkt 7. Panowie z owej kuchni właśnie

znoszą składniki na śniadanie np. chleb tostowy, arbuzy.

O 7:30 schodzimy do holu i po 10 minutach pod hotelik podjeżdża autobus, Siedzi w nim już całkiem sporo obcokrajowców. „zaliczamy” jeszcze dwa hoteliki i możemy ruszać w drogę. Za oknem cały czas bez zmian, sucho, sucho i jeszcze raz sucho. Po 2,5 godzinach jazdy 1 osoba potrzebuje do toalety więc zatrzymujemy się w przydrożnym sklepiku-barku, na dodatek przy nim stoi wychodek. Wszyscy wysiadają i większość ustawia się w kolejce do owej toalety. Całkiem spory ogonek się stworzył. Lokalni mieszkańcy jadący tym samym autobusem idą po prostu za krzaczek, chociaż część obcokrajowców też z tego korzysta. Jednak czekanie w tej kolejce trochę trwa.

Po prawie czterech godzinach jazdy przejeżdżamy przez Meikiltia. Miasto na skrzyżowaniu dróg wschód – zachód Birmy z autostradą północ – południe. W mieście znajduje się ogromna baza powietrznych sił birmańskich i ich dowództwo. Wiele budynków wojskowych, kampus, no i umundurowanych Birmańczyków. Przy wjeździe do miasta znajduje się świątynia imitująca Łódź.

20 marca 2013 r. w miejscowości wybuchły zamieszki pomiędzy buddystami a muzułmanami w wyniku, których zginęło co najmniej 20 osób. Dwa dni później prezydent kraju Thein Sein wprowadził w mieście stan wyjątkowy

Po kolejnej godzinie zaczynamy wjeżdżać coraz wyżej. Zaczynają się birmańskie góry. Po chwili jednak postój na jedzonko, czyli nasz „time for soup”. Kiedy wchodzimy do restauracji w kierunku podróźnych rzucają się... dzieci z kartami. Matko... znowu dzieci pracują. Dziwnie się czuję kiedy obsługują mnie dzieci w wieku 10 lat. Zamiast być w szkole niestety muszą pracować.... Przykre to. Kierowca zarządza pół godziny przerwy, które przeciąga się do godziny i kwadransa, bo w przydrożnej wulkanizacji naprawiane jest zapasowe koło. Trochę to niestety trwa. A my w takim razie raczymy się zupą.

Wjeżdżamy w końcu w góry. Dolinami suną leniwie mgły. Co chwilę popaduje sobie niewielki deszczyk. Za to miejscowi pojawiają się w kurtkach. Ponadto mijamy ciężarówki z idealnie ułożonymi kalafiorami. Droga dość wąska, więc na zakrętach robi się dość niebezpiecznie. Kwadrans po 15 docieramy do centrum Kalaw. Pod autobusem już czyha na turystów Hindus i jego pomocnik z Golden Lily. Przechwytyują i nas. Idziemy razem z nimi do guesthousu oddalonego dosłownie 3 minuty piechotą. Hotelik może być. Prowadzony jest rzez Hindusa i jego siostrę. Z nami w hoteliku ląduje jeszcze czworo Holendrów. Zabieramy się za rozmowy w sprawie trekkingu. W hotelu zostajemy posadzeni na kanapach. Siostra Hindusa przynosi nam herbatę i lokalne słodkości z cukru palmowego. Jak się okazuje Hindus jest sikhem, który jest czwartym pokoleniem przybyszów z Indii. Jego dziadek przybył tu z Anglikami podbijać Birmę. Mówi w hindi, ale nie pisze. W Indiach też nigdy nie był, ale prawdziwy sikhijski turban posiada na głowie. Jego rodzina wywodzi się z Pendżabu i oczywiście jak na każdego sikha przystało ma nazwisko Singh. Narzeka na Birmę i jej politykę. Mówi, że Hindusów traktują bardzo źle, uważając ich za kogoś gorszego. W hierarchii. Birmańczycy nazywają Hindusów „kala”, co w hindi oznacza czarny. No ale jak można mówić, że Hindusi są czarni??? Robin, bo tak ma na imię, zna nawet polski alkohol ze śliwek... śliwowiec. Kiedyś Polacy przywieźli i miał okazje go próbować.

Zostajemy poinformowani o całej trasie wycieczki – o mijanych wioskach, że nocować będziemy w klasztorze, że przejdziemy około 37 kilometrów. Paweł mówi, że jak my przyjechaliliśmy to będzie na wycieczkę piękna pogoda. Hindus się śmieje, bo sądzi że Paweł go bajeruje. Opowiadamy mu, że ilekroć trafiamy do Azji i ma lać deszcz, to nigdy tak się nie dzieje. Robin mówi, że do wczoraj lało od bitych 2 tygodni. No to zobaczymy co dla nas zgotowała pogoda. Mam nadzieję, że dam radę. Dosiadają się do nas Holendrzy, którzy też wybierają się na trekking. Co chwile ktoś przychodzi z okolicznych hotelików, aby wybrać się z Robinem na wycieczkę. Chyba ma najtańszą ofertę w okolicy.

Ostatecznie Hindus ma 13 osób na wycieczkę. Kurczę będą dwie grupy, ciekawe czy trafimy do tej w której Robin będzie przewodnikiem. Czytałam w internecie, że jest naprawdę świetny.

Czas udać się do miasteczka. Kalaw to taka senna miejscowość z której zaczynają się wszystkie trekkingi nad jezioro Inle. Kalaw jest małym, cichym miasteczkiem otoczonym górami. Na wysokości 1320 metrów nad poziomem morza jest tu przyjemnie chłodno, co może być miłą

odmianą po nizinnych upałach. Samo Kalaw nie jest szczególnie interesujące, ale może stanowić świetną bazę wypadową do treków po okolicznych górach. W samym centrum znajduje się market, który już powoli się zamyka. Właściwie 15 minut i wszystko mamy obejrzone. W samym Kalaw są dwie świątynie i meczet. Po osadzie płacze się trochę obcokrajowców, ale tak bardziej bez celu, bo za bardzo to i tak nie ma gdzie.

Idziemy na jedzonko do małego baru. Serwują tutaj pyszne samosy za... całe 30 groszy (!!!) i parothy za 60groszy. Samosy są cudne, nieostre, robione na bieżąco i smażone na głębokim oleju. Cud miód malina. Jest tak dobre że dwie samosy biorę sobie jeszcze na wynos.

Paweł idzie do kawiarenki internetowej, bo o dziwo nawet taka jedna tutaj się znajduje. Ja z kolei włóczę się uliczkami dookoła marketu. Ludzie tutaj poubierani jak na późną jesień – kurtki lub grube swetry i oczywiście czapki.

Potem wracamy do pokoju, który jest niczym babciny strych. Na dodatek wchodząc po schodach trzeba uważać na balustrady, bo są właśnie świeżo pomalowane. W pokoju jeszcze zjadamy świeże mango i moje kupione na wynos samosy. Czas na przepakowanie plecaków. Postanawiamy zabrać mój plecak z najważniejszymi rzeczami, a całą resztę wpakować do plecaka Pawła. Duże plecaki zostaną dowiezione pojutrze prosto nad jezioro Inle.

Czas się myć, obejrzeć jakiś film z laptopa i spać. Z racji tego, że Kalaw położone jest na 1300m npm, to powietrze jest tu zdecydowanie rześkie. Chyba nawet dzisiaj w nocy pocujemy chłód, ale jak widać są tu an to przygotowani, bo mamy do dyspozycji koce.

Z dołu słychać hinduską rodzinę i szczekanie sfory okolicznych psów.

01.08.2013 (czwartek)

Pobudka 6:30. Dopakowanie resztek do plecaków i o 7 stawiamy się na śniadaniu. Hindusi serwują banany i ciapaty z omletem.

O 7:30 wszyscy chętni na wycieczkę stawiają się przed hotelikiem. Plecaki zrzucamy wszyscy w jednym z pomieszczeń. Potem ktoś się zajmie przewiezieniem ich nad Inle.

Uff trafiamy do grupy Robina wraz z czwórką Holendrów i jakoś kiepsko wyglądająca Szkotką. Najpierw jedziemy małym trackiem przymocowanym do motorka, na miejsce w którym mamy rozpocząć nasz trekking. Dojazd zajmuje nam około pół godziny. Zawieramy znajomość z naszymi towarzyszami. Holendrzy to dwie dziewczyny Laura i Miriam oraz Holendrzy – Arien i Ruud, a także Szkotka – Yoshe.

Czas wyruszyć na szlak. Robin wita się z mieszkańcami pobliskich domków. Jak widać wszyscy go tu znają. Stanowimy dość ciekawe zestawienie. Holenderki w butach trekkingowych, Holendrzy w trampkach, Yoshe w adidasach, my w sandałach, ale mistrzem jest Robin... w klapkach.

Szlak prowadzi najpierw dróżka między polami ryżowymi. Robin mówi, że w tym roku sadi się go bardzo późno. Zawsze sadzenie odbywa się najpóźniej do lipcowego święta „pełni księżycą”, które minęło 22 lipca w tym roku. Wszystko przez to że w sumie w tym roku było bardzo mało deszczu i wszystko się poprzestawiało. Teoretycznie ryż powinien być uzależniony od faz księżycy. Robin opowiada dużo o roślinach – ziołach i owocach rosnących przy naszej trasie. Nawija nam non stop. Jest naprawdę fantastycznym źródłem informacji.

W końcu trafiamy na poletko sadzonek ryżu. Holendrzy są ciekawi tej pracy i nawet sami rzucają się do pomocy kobietom, które ten ryż wrywają i składają w kupki. Oczywiście zarówno one, jak i Holendrzy mają przy tym ubaw po pachy. Kobiety nawet dopytują się czy chłopaki mają dziewczyny, bo we wsi znalazłaby się jakaś lokalna piękność.

Lud, który zamieszkuje te tereny to Pao. Kobiety mają pomarańczowe chusty na głowie. Mijamy kolejne wioski, jadą dwukołowe wody z wołami, dzieci umorusane biegają koło domów. Dorośli zajęci są pracami w polu ryżu, albo swoimi wołami, albo plotą kosze z bambusa. Na polach pojawiają się bawoły wodne. Są tak płochliwe, że jak na jednym polu Paweł i Ruud podeszli za

blisko, to bawołek zatrzymał się i za żadne skarby nie chciał dalej orać pola. Ruszył dopiero jak chłopaki zniknęli z pola widzenia bawołka. Robin kiedy kogoś z lokalnych mieszkańców widzi od razu ich pozdrawia i ucina krótką pogawędkę. My za to możemy robić zdjęcia do woli. Tylko trzeba im pokazać na wyświetlaczu zdjęcie. Na koniec Robin daje im słodycze.

Ze Szkotką Yoshe, nie jest dobrze. Holendrzy biorą jej plecak, bo ledwie go niesie. My z Pawłem faszerujemy ją lekami, które wzięliśmy na wszelki wypadek na trekking.

Jak tak sobie idziemy, to obserwujemy, że ludziom turyści nie przeszkadzają, nic tu nie jest na pokaz. Po prostu toczy się zwyczajne wiejskie życie. Nikt tu niczego nie żąda od turysty. Co ciekawe podczas trekkingu napotkani ludzie zbierają od nas puste butelki po wodzie. Właściwie nie ma tu żadnego transportu oprócz wołów. Od czasu do czasu gdzieś pojawi się skuter. Mijamy kolejną wioskę, w której odbywa się plecenie mat bambusowych i kolejnych koszy. Przy zagrodach stoją często obłoczone wozy, bo to efekt liczego błota w związku z dwutygodniowymi opadami deszczu. Trafiamy na pastuszków przeganiających stado zwierząt. Pastuszkowie są niczym z bajki. Tak jak pastuszek jest opisywany w książkach, tak wygląda w Birmie.

Pogoda nam dopisuje. Słońce w pełni świeci. Musimy tylko uważać czasami, bo trzeba przejść przez błoto. Okoliczne krajobrazy jakoś przypominają nasze polskie Beskidy, tylko roślinność się nie zgadza. Są tu nawet drzewa iglaste, ale między nimi rosną agawy.

W połowie trasy w jednej z wiosek, mamy dłuższy postój. Tutaj będziemy jeść lunch. W kilku pomieszczeniach są i inne grupy. Jak widać część ludzi właśnie tutaj nocuje.

Posiłek dla nas został przygotowany przez naszego kucharza, który przybył tutaj przed nami. Siadamy na matach wokół niskiego okrągłego stołu i pojawia się jedzenie: jest zupa z musztardowych liści, są chlebki ciapati z jajecznym omletem, ryż i fantastyczny sos pomidorowy. Na deser jeszcze pojawiają się owoce. Normalnie czas na lenistwo. Yoshe idzie spać na godzinę. Oby tylko doszła do klasztoru na nocleg. Kiedy przerwa się kończy kilku Birmańczyków podaje Yoshe łyżeczkę żółtego proszku z kurkumy, który ma działanie bakteriobójcze i w ogóle zdrowotne. Ma to poprawić zdrowie Yoshe. Jak na razie dławi się tym proszkiem...

Wracamy na trasę naszego trekkingu. Na polach dalej praca wre. Bawoły lub woły orzą pola ryżowe. Koło 17 docieramy wyczerpani do klasztoru. Są tu i inni turyści. Śpimy w budynku przyklasztornym w zbiorowej sali w czternaście osób. Na piętrze są porozkładane materace i koce. Każdy wybiera sobie miejsce na nocleg. Łazienka to dwa betonowe boksy jakieś 100 metrów od budynku. Mycie polega na polewaniu się plastikowym naczyniem. Obok jest wielki betonowy zbiornik z wodą, którą trzeba sobie nanieść do owych boksów, aby się umyć. Oczywiście jak się człowiek myje to go doskonale widać, bo nie ma tam sufitu, a ściany są maksymalnie do ramion. Po jakimś czasie do owej łazienki robi się międzynarodowa kolejka.

Toalety znajdują się kilkanaście metrów powyżej, zlokalizowane na zboczu. Oczywiście to wychodki.

Robin wszystkich goni do mycia, bo potem będzie wspólna kolacja. Po 18 wszyscy schodzą do większej sali na parterze, zasiadają na podłodze przy niskim stole i zaczyna się uczta. Czego tu nie ma. Zupa-krem z ciecioriki, ryż, indyjskie chrupiące papadamy, milion misek z warzywami, ziemniaki, dynia, pomidorki, kalafiory no i kurczak. Potem jeszcze owoce i słodycze w postaci chrupiącego ciasteczka z orzeszków i sezamu zastygniętego w melasie cukrowej.

Wieczór spędzamy na międzynarodowych rozmowach przy piwie, które na zamówienie przytarczył jeden z Birmańczyków. Towarzystwo jest z całego świata. Największym zainteresowaniem cieszy się para, która pochodzi z... Reunionu. Nigdy nie spotkałam turystów z Reunionu. Później towarzystwo przenosi się do ogniska, które pojawia się przed klasztorem. Tu docierają kolejne osoby z innych grup. Jest naprawdę wesoło. Właściwie są tu przedstawiciele wszystkich kontynentów.

O 21 padamy z nóg i idziemy spać. Przy łazience pod chmurką obcokrajowcy myją zęby butelkowaną wodą. Jakoś nie ma amatorów na skorzystanie z wody z owego betonowego zbiornika. Ognisko powoli dogasa. Zostają przy nim najwytrwalsi. W budynek klasztorny gaśnie też światło, bo zostaje wyłączony na noc generator. Zapadają więc egipskie ciemności. W takich okolicznościach rzeczywiście nie pozostaje nic innego jak zając miejsce na materacu, przykryć się

kocem i po meczącym trekkingu i wielu kilometrach zapaść w zasłużony sen.

02.08.2013 (piątek)

Pobudka o 5:45. Ale już od pewnego czasu nie śpię, bo ekipa kuchenna buszuje w najlepsze od godziny czwartej rano!!! Nawet śpiewają sobie na głos piosenki.

Śniadanie miało być o 6, ale się opóźnia, bo nie wszyscy wstają na czas. Poranek jest bardzo rześki, idziemy umyć się w wodą z betonowego zbiornika. Brrr... Okolicę pokrywają mgły.

W końcu zabieramy się za śniadanie. Dzisiaj kucharze serwują każdemu po dwa naleśniki z miodem i bananami, a także owoce i sezamowe ciasteczka.

Klasztor też opuszczamy później. W sumie wychodzimy ponad godzinę później niż zamierzał Robin. Miejscowi dookoła ciepło poubierani. Spotykamy dzieci idące drogą i podśpiewujące sobie piosenki, z ciekawością przyglądające się nam turystom. Robin od samego początku pędzi jak na jakimś wyścigu. Dzisiaj idziemy główną drogą. Nie asfaltową tylko bitą, chyba podczas deszczy zamienia się w błoto. Stopy mnie coś dzisiaj bolą i z każdą godziną ból się nasila.

Mijamy szkółkę. Dzieci biegają po szkolnym podwórku. Dziewczynki mają zielone longi, a chłopcy także same longi, albo zielone spodnie. Idziemy sobie tę szeroką drogą, na której nie uświadczysz nawet motorka. Tu wszyscy idą pieszo lub co najwyżej jadą dwukołówką.

Ruud i Arian – dwaj holenderscy wesołkowie sprawiają sobie u okolicznych mieszkańców lokalny kapeluszek z bambusa oraz specjalny koszyk bambusowy. Ruud przepakuje swój plecaczek do tego koszyka. No nie wiem na ile jest to wygodne niesienie koszyka na sznurku.

Ludzie od samego rana ciągną do swoich pól do pracy. Raz po raz ktoś znika w boczną ścieżkę. Kobiety ludu Pao ze swoimi czerwonymi chustami wszędzie są widoczne. A to mkną z koszami na plecach niosąc okoliczną zieleninę, a to pasą bawoła. Inni ciągną pieszo na lokalny targ. Gdy tak idziemy to zmienia się krajobraz. Znikają wczorajsze sosnowe drzewa, a pojawia się bambus i liczne drzewa banianowe. Jedno jest ogromne. Ma około 300-400 lat, a ile konarów!

Na jednej ze ścieżek spotykamy żuka gnojarka. Toczy swoją praktycznie idealną kulkę odchodów (?) większych rozmiarów niż on sam. Śmieszny jest. Obserwujemy go przez chwilę, aby zobaczyć, co będzie z nią robić. Po pochyłości terenu też turla kulkę. Żeby jej nie stracić, przyczepia się do kulki i... turla się z górki. Spryciarz.

Yoshe, która dzisiaj czuje się już lepiej opowiada, że jest drugi raz w Birmie. Rok temu drugiego dnia pobytu w Rangunie, ugryzł ją pies. Zabrano ją od razu do kliniki i podano zastrzyk. W hotelu niestety zemdląca. Na szczęście z pomocą ambasady brytyjskiej, którą na szczęście Anglicy mają w Birmie (Polacy niestety nie), została przetransportowana samolotem do własnego kraju. Tam trafiła do szpitala i przebywała przez miesiąc. Lekarze nie mogli ustalić co jej jest. Chyba było coś nie tak z zastrzykiem. Teraz co trzy miesiące musi pojawiać się w szpitalu na badaniach.

Koło południa docieramy do wsi Inthein położonej niedaleko jeziora Inle. Niestety spóźniamy się na tzw 5-dniowy targ. Zostało już tylko kilka stoisk. Reszta niestety już zamknęła swoje podwoje. Sa jeszcze stoiska z pamiątkami dla turystów. No nic na pewno w ciągu tych kilku dni nad Inle trafimy jeszcze na ten przechodzący codziennie do innej miejscowości barwny targ. Spotykamy tutaj kolejny raz nasza drugą grupkę idącą z innym przewodnikiem. Siadamy w restauracyjce znowu razem dwie grupki. Czas na kolejne jedzenie na tym trekkingu. Wielki plus dla Hindusa za organizację. Kucharz serwuje nam makaron z jajkiem oraz ananasy i mango.

O 13 wsiadamy do 5 osobowych łódek – motorówek i przez godzinę z kwadransem mkniemy do Nyaungshwe. Najpierw płyniemy kanałem łączącym wieś Inthein z jeziorem Inle. Kanał jest ciekawy, bo ma progi wodne. My spływamy w dół. Ciekawe jak niektóre progi pokonuje się w górę? I w końcu wypływamy na jezioro Inle. Jezioro Inle należy do największych atrakcji

Myanmar. Jest dość malowniczo położone, ma 22 kilometry długości, 11 kilometrów w najszerszym miejscu, jest bardzo płytkie i ze wszystkich stron otoczone jest górami. Nad jeziorem oraz wśród licznych okolicznych kanałów znajduje się kilka czarujących wioszek z małymi drewnianymi świątyniami i kolorowymi targami. Najciekawsze są wioski wybudowane dosłownie nad taflą jeziora, domy stojące na palach, szkoły, świątynie, sklepy, wszystko metr nad wodą. A przed domami zamiast rowerów stoją zaparkowane łodzie. Nawet ogrody i pola uprawne można w ten sposób zorganizować. Obszar zamieszkują głównie rybacy z plemienia Intha, nazywający siebie "Dziećmi Jeziora". Są to Buddyści więc nie dziwi obecność około 100 klasztorów i prawie 1000 stup usianych wokół jeziora. Rybacy z jeziora Inle znani są z nietypowej techniki wiosłowania. Stojąc na rufie na jednej nodze, drugą podtrzymują wiosło. Ale to co najbardziej przyciąga turystów to pływające wyspy (Kyun myaw). Na bambusowych rusztowaniach przysypanych mułem wydobytym z dna jeziora mieszkańcy pobudowali domy na palach, szkoły, świątynie a nawet fantastyczne pola uprawne.

W oddali widać wioski porozkładane wokół brzegów jeziora, ale i na jeziorze. Stoją domki w wodzie umieszczone na wysokich palach. Mijamy też pierwszych rybaków, stojących na samym czubku łódki i jedną nogą wiosłują. Jak to się nie wywraca to nie mam pojęcia. Jak to jest, że sami pływający nie wpadną do wody. Chyba jak pływa się tak od dzieciństwa to nie powinno to dziwić.

O 14:30 docieramy do Nyaungshwe i idziemy do hoteliku, w którym czekają bagaże obu grup. Każdy zabiera co do niego należy i rusza na poszukiwanie właściwego lokum. My też mamy coś upatrzonego. Z nami idzie Yoshe. Pierwsze próby niestety spełzają na niczym. Wszystkie hoteliki są pełne. Postanawiamy pójść do Gypsy Inn blisko kanału łączącego Nyaungshwe z Inle. W hoteliku jest ostatni wolny pokój. Zostajemy, a Yoshe idzie dalej, bo potrzebuje hoteliku z internetem.

Nyaungshwe jest małą, dość sympatyczną wioską, leżącą wśród kanałów prowadzących nad jezioro Inle. Tu zatrzymuje się większość budżetowych turystów, bo hotele nad samym jeziorem należą do zupełnie innej klasy cenowej.

Uzgadniamy z właścicielem wynajem łódki na jutrzejszą wycieczkę po jeziorze Inle. Hmm coś strasznie głośno w naszym pokoju. Niestety okno wychodzi prosto na kanał. Ruch łódek-motorówek jest duży i w sumie to zlewa się w jeden wielki huk silników. Masakra.

Idziemy na mały spacer, ale dosłownie mały, bo moje stopy mają wszystkiego dość. Każdy krok sprawia mi spore bóle. Wszędzie przy kanale trwa przeładowywanie skrzyń pełnych małych pomidorów, które podobno uprawia się na pływających ogrodach na jeziorze. Mam nadzieję, zobaczyć to dziwo jutro.

Obiad jemy u „4 siostr” - rybka, wieprzowina oraz trzy miski warzyw, ryż, no i oczywiście darmowa herbata, zupa oraz chrupki i banany. Darmowe dodatki w Birnie to naprawdę fantastyczna sprawa. Praktycznie nigdzie tego nie ma, tylko w tym kraju.

Udaje nam się wysłać wiadomość do Yoshe, może jutro pojawi się w hoteliku i razem popłyniemy po jeziorze. Okaże się jutro.

Godzinne płnięcie po Inle w pełnym słońcu nieźle mnie przypaliło. Jutro trzeba będzie dobrze się wysmarować kremem. Inaczej spalimy się na wiórek. Wystarczy, że teraz nie mogę rozczesać włosów, bo mi spaliło czubek głowy. A trzeba było założyć kapelusz...

Za oknem robi się ciemno i ruch łódek zamiera. Na szczęście, bo nie dałoby się tutaj spać w takich warunkach. Za oknem słychać tylko lokalne śpiewy. Ktoś zrobił sobie imprezę i słychać oprócz śpiewów również grę na gitarze. Ale i oni po 22 też milkną.

Ciekawe o której wstanie dzień na kanale i zacznie się masakra huku silników...

03.08.2013 (sobota)

O matko co za poranek. Nie śpię praktycznie od godziny czwartej rano. Za oknem raz po raz słychać mega warkot silników. Nie da się wcale spać, więc przewracam się z boku na bok do 7 i w sumie wstaję z ulgą, bo mam tego dość. Trzeba będzie zapytać o możliwość zmiany pokoju na inny,

po przeciwnej stronie budynku, bo inaczej wstaniemy zmęczeni. Na recepcji mówią, że coś się później zwalnia. Najwyżej jak popłyniemy na Inle, to nam przeniosą plecaki. Uff... oby...

Potem idziemy na śniadanie, gdzie spotykamy 3-osobową francuską rodzinę, którą już mieliśmy okazję kilka razy spotkać. Też tutaj mieszkają, ale się będą przenosić do innego hotelu. Ich okna wychodzą też na kanał i mają po dwóch nocach serdecznie dość. A niestety w hotelu nie ma innego trzyosobowego pokoju.

Na śniadanie jest sok, herbata, naleśnik, tosty, banany, i aż po dwa omlety – w sumie z kilku jajek. Najadamy się po uszy. Jajek wkrótce będę miała powyżej dziurek w nosie.

Okazuje się, że Yoshe przeczytała nasza wiadomość i czeka na nas w holu hoteliku. Czekamy na łódkę. Naszemu panu z recepcji coś się pomyliło. No i jak to w Azji bywa zapomniał o naszej łódce. Jednak jak to w Azji zawsze szybko można sprawę odwrócić. Po 10 minutach jest dla nas łódka. Możemy ruszać...

Łódka podobna do wczorajszej. Wszystkie są praktycznie 5-osobowe. Są w nich zamontowane drewniane fotele i co ciekawe są tu kapoki. Na wyposażeniu łódki dla każdego turysty jest parasol. Stosowany zamiennie, albo w czasie deszczu, albo jako ochrona przed prażącym słońcem.

Najpierw płyniemy kanałem łączącym miasteczko z jeziorem. Wzdłuż całego kanału stoją małe domki mieszkańców. Im bliżej jeziora, tym coraz bardziej dzikie tereny. Chwilę po tym jak wypływamy na jezioro, trafiamy na tutejszego rybaka. Oczywiście ten, którego spotykamy jest taki „turystyczny”. Ubrany w kapelusz z dużym rondem, szerokie spodnie oraz wielki kosz-siatka do łapania ryb. Rybak pozuje do zdjęć. W tej chwili nie ma już praktycznie na jeziorze tak ubranych rybaków. Po paru minutowej sesji zdjęciowej trzeba cosik rybakowi zapłacić. Na szczęście są to grosze. I tak fajne zdjęcia wyszły.

Nasz „sternik” łódki płynie teraz przez całe jezioro, do jego części południowej, a ściślej do miejscowości Nampan, w której dzisiaj odbywa się tzw. 5-dniowy market. Po drodze mijamy innych rybaków, łowiących ryby, stawiających sieci, ale żaden nie jest tak ładnie ubrany jak ten co pozował do zdjęć.

Po obu stronach jeziora ciągną się wysokie góry, nad którymi przewalają się ciężkie, deszczowe chmury. Ciekawe czy będzie dzisiaj padało.

Dopływamy do Nampan. Nasz łódka musi najpierw znaleźć miejsce, gdzie tu zaparkować. Łódek na brzegu są setki. Dużo osób przyplłynęło na targ. Ruch niesamowity. Są też i turyści z okolicznych kurortów. Targ jest zdecydowanie dla lokalnych mieszkańców, ale jest też sporo stoisk z pamiątkami dla turystów. My też postanawiamy coś zakupić – maskę, drewnianą figurkę kota, bransoletki.

Każdy z mieszkańców przyplyna tu na spore zakupy. Potem wszystkie towary trafiają na łódkę. Dużo tu kobiet z ludu Pao, każda w swojej pomarańczowej chuście na głowie. Są tu stoiska z warzywami, owocami, jajkami, makaronem, tofu. Całymi koszami są sprzedawane niewielkie pomidorki. Można zakupić ubrania, czy kwiaty. Moim hitem są „apteki”. Rozłożone po prostu na drewnianym podeście przenośne stoiska z lekami.

Miejscowi noszą zakupy w wielkich plastikowych torbach, a mają ich nawet po kilka sztuk, więc żeby lepiej je nieść zakładają je na wielkim drągu i niosą we dwójkę.

Po godzinie biegania wśród tych stoisk wracamy do łódki. A tu nam silnik padł. Inna łódka doholowuje nas do pobliskiego „zakładu” na palach. Na szczęście po 10 minutach możemy płynąć dalej.

Kolejny punkt naszej wycieczki po jeziorze prowadzi do fabryki bawełny, jedwabiu oraz włókna z lotosu. Dopływamy do wielkiego domu na palach, gdzie w kilku pomieszczeniach znajdują się krosna do tworzenia materiałów z bawełny czy jedwabiu. Są też kadzie z barwnikami. Cześć kolorów jest naturalna np. brunatny z mango, brązowy z drzewa chlebowego, czy też kolor szary z lokalnego drzewa. Pozostałe kolory są ze sztucznych barwników.

Jednak hitem w fabryce jest produkcja włókna z kwiatów lotosów, a dokładnie z ich łodyg. Tego nigdy nie widzieliśmy. Zresztą nawet nie wiedziała, że z lotosów można uzyskać jakiegokolwiek włókno. Jednak aby zrobić choćby szal trzeba zużyć do tego aż 4 tysięcy łodyg lotosów. Trzeba

przełamać łądygę i ukazują się włókna, które się roluje uzyskując szare włókno, przypominające na pierwszy rzut oka sznurek. Ceny rzeczy z tego włókna są masakryczne. Zaczynają się od 100-150 dolarów. Pozostaje nam jedynie pooglądać wyroby w ich przyfabrycznym sklepie.

Kolejne miejsce to zakład hutniczy, oczywiście w domu na palach. Kowale tłuką młotkami rozgrzany metal. Nawet momentami tłucze ich 4 jednocześnie. Nie wiem jak wzajemnie nie uderzają w młotek sąsiada. Mają ciekawą synchronizację. Można tu kupić dzwonki, gongi, noże wykute na miejscu.

Płyniemy dalej – fabryka srebra. Tutaj topi się metal i wlewa do kadzi, gdzie zastygają większe fragmenty, z których potem pracownicy robią różne cudenka. Mnie oczywiście wpadają w oko ładne kolczyki, ale kosztują 25 dolarów. Oczywiście nie chcę tyle zapłacić, bo w sumie licho wie czy one są srebrne. Targuję się bo zapłacić chcę tylko 10. Pani nie chce przystać na to, ale kiedy wychodzimy już ze sklepu biegnie za mną i sprzedaje za 10 dolarów. Hmm chyba zdecydowanie nie są srebrne, skoro sprzedaje mi za taką cenę. W sklepie spotykamy wesołych Holendrów Ariana i Ruuda. Też popłynęli na wycieczkę po Inle.

Trafiamy do fabryczki papierosów. Znowu głównymi wytwórcami są kobiety. Szybciutko skręcają papierosy z liścia i tytoniu. Gdy robią „smakowe” dodają do tego np. suszonych owoców. Filtr papierosowy jest wykonany z kukurydzy, liść sklepany jest klejem zrobionym z ryżu. Nieźle. W 100% papierosy zrobione z naturalnych składników. Ciekawe jak się ma do tych papierosów robionych fabrycznie.

Jest już 13:30, a więc czas aby coś zjeść. Nasz pan z łódki płynie do niedalekiej restauracji również zlokalizowanej w budowli na palach. Zjadam makaron z wieprzowiną, Paweł zupę z makaronem. Pijemy soki z mango. Życ nie umierać.

Po takim dobrym obiedzie, czas płynąć dalej. Trafiamy niedaleko, bo do pobliskiej fabryczki łodek. Łodzie robione są z drewna tekowego i zalepiane nieprzepuszczalną laką, aby nie przeciekały. Taka właśnie łódką przemieszczamy się po jeziorze. Przed domem tym razem na lądzie, stoję szkielety rozpoczętych łodek.

Stąd płyniemy do świątyni Daw Oo Pagoda. Słynna jest z 5 Buddów. Ludzie przylepiali złote płatki do posagów i w końcu straciły kształt. Teraz bardziej przypominają bałwany.

Płyniemy teraz do wsi Inthein, w której byliśmy wczoraj wracając z trekkingu. Teraz płyniemy w górę kanału. Co jakiś czas mijamy progi na kanale „pod górkę”. Dla łódki to nie problem, bo ma dziób zadarty do góry i dlatego też nie ma problemu z wpłynięciem na próg.

W Inthein idziemy obejrzeć stare stupy. Do starszej części prowadzi nas napotkany młody mnich. Pokazuje nam jak z soku łądyg liści można zrobić bańki mydlane. Ależ to śmieszne. Nam raczej idzie to marnie, ale mnichowi pojawiają się całkiem spore i w dużej ilości. Wdrapujemy się na wzgórze i oglądamy stupy, a właściwie to dość spore ruiny. Większość stup na wzgórzu, jest w dość kiepskim stanie.

Potem idziemy do przeciwnej części osady, gdzie znajduje się kolejne skupisko stup. Jednak zanim do niego docieramy musimy minąć dziesiątki stoisk z pamiątkami. Stragany są zlokalizowane pod zadaszonym chodnikiem. To dość spora aleja. Jednak praktycznie wszystkie stoiska już zakończyły działalność. Czyżby turyści przybywali tu wcześniej? Co ciekawe stoiska zostały tylko przykryte dużymi płachtami, a cały dobytek został pod spodem. Nikt tego nie pilnuje!!!

Zdjęcia stup robimy na tle granatowych, burzowych chmur. No to będzie łało. Od czasu do czasu słyszymy dochodzące z oddali grzmoty. Złote stupy pięknie wyglądają na tle tych granatowych chmur. Większość ze stup jest odrestaurowana i ma całkiem inny charakter niż te stare, podupadłe.

Wracamy na przystań. Mijam kobietę, która ogląda zeszyt swojego dziecka ze szkoły. Pani nauczycielka cały pokreśliła na czerwono. No nie jest zachwycona i raz po raz pokrzykuje na syna.

Wracamy na przystań i odpływamy. W tym momencie zaczyna padać. Parasole będące na wyposażeniu łódki, które najpierw nas chroniły przed słońcem, a teraz bronią przed ulewą. Oby tylko siedziska nam nie zamokły, bo to poduszki położone na drewnianych fotelach.

Dopływamy do miejsca, gdzie można spotkać kobiety „długie szyje”. W sumie masakra i

jesteśmy zawiedzeni. Ja rozumiem, że Inle to nie jest ich macierzysty region. Zostały tutaj sprowadzone z regionu zamkniętego dla turystów. I właściwie ich jedynym zajęciem jest pozowanie. Kiedy wchodzi turyści do tego domku na palach, to kobiety od razu się podrywają i stają do pozowania. Smutne to trochę. Myślałam, że owe kobiety będą „coś robiły”, może jakieś rękodzieło... a tu nic tylko stoją i pozują. Domek na palach jest w sumie sklepem z pamiątkami. Dziwnie się tu czuję. Nie podoba mi się. Kobiety są tu niczym tresowane zwierzątka. Jesteśmy naprawdę rozczarowani miejscem.

Potem jeszcze odwiedzamy fabrykę parasolek i papieru tworzonego z bambusa, ale wszystko jest jakoś drogie.

Gdy dopływamy do tzw Klasztoru Skaczących Kotów jest już na tyle późno, że świątynia jest zamknięta. Nic nie szkodzi. Kot i tak nie skacze, bo podobno umarł mnich, z którym kot skakał, a drugiego nie słucha.

Dalej płyniemy przez wioskę Yhama, słynącej z pływających ogrodów. Drogi we wsi to po prostu kanały. Nie ma chodników, uliczek, tylko woda. Jak ludzie opanowali sztukę manewrowania łódkami? Często płyną na stojąco na samym dziobie łódki. Nie rozumiem, czemu to się nie wywraca.

Wszystkie domki stoją na palach. Pod domkami przestrzeń na łódki. Od czasu do czasu ktoś przy domku się kąpie. Pomiędzy domkami pływają łódki z wiosłami, albo motorowe. Każdy coś wiezie – najczęściej warzywa z pływających ogrodów.

Za wsią kanały zdecydowanie się zwężają, momentami do szerokości łódki. Nieszczęśliwie wpływamy na jedną pływającą kępę i na niej utykamy. Pomaga nam z niej spłynąć inny wiosłarz. Oglądamy pływające grządki. Przymocowane są do dna wysokimi żerdziami, aby nie odpłynęły. Jak się na nie wejdzie, to się uginają. Mijamy tysiące grządek z pomidorami. Ciekawe czemu nie gniją w takiej ilości wody. Ogrody które mijamy to także bakłażany czy fasola.

Nasz pan z łódki, gdy tylko widzi, że coś nas bardziej zainteresowało i robimy zdjęcia, to zwalnia do minimum. Inni turyści prują, a my powolutku przez cały dzień oglądamy kolorowy świat jeziora Inle.

W końcu znowu wypływamy an pełne jezioro. Słońce powoli chowa się za otaczającymi jezioro górami. Rybacy zbierają ostatni połów i charakterystycznym stylem machając jedną nogą wiosłem niczym mieszając herbatę łyżeczką odpływają swoimi łódkami. Niebo robi się coraz bardziej pomarańczowe. Trafiamy na cudowny zachód słońca. Teraz już prujemy przez jezioro, bo zaczyna się robić ciemno i chłodno. Na przystań docieramy już po zmroku. Żegnamy się z naszym „łódkowym” panem bardzo dziękując mu za cudowny dzień. Również Yoshe wraca do swojego hotelu. My jeszcze idziemy na sok z mango i małą kolację na którą składa się makron i piwo.

Odwiedzamy jeszcze lokalny sklep. Głównie puste półki – towaru mało. Za to najważniejszą półką jest ta gdzie jest lokalny birmański rum. Cała butelka 0,35l raptem... 3 zł. Wielokrotnie widziałam Birmańczyków siedzących w barze i pijących rum zapijających szklanka wody. Co ciekawe ani razu nie spotkałam tu pijanych ludzi. Jak oni to robią??? rum ma niezłą moc procentową, a Birmańczycy często wypijali dużą butelkę...

Wracamy do hotelu. Uff bagaże zostały przeniesione do pokoju po przeciwnej stronie. Powinniśmy się dzisiaj wyspać bez problemu. Jeszcze małe pranie po czym zasypiam w trzy sekundy.

04.08.2013 (niedziela)

O rety budzę się o 7:15. jestem dziwnie wyspana. Za oknem cicho. No prawie cicho, bo zaczyna lać za oknem deszcz. Oj nie ciekawie. Jak dobrze że wczoraj popłynęliśmy na jezioro. Wstajemy o 8 i idziemy na śniadanie. Jest równie obfite jak wczoraj.

Po śniadaniu wypożyczamy 2 rowery i jedziemy do winnicy Red Mountain. Z daleka winnica wygląda jak w Europie. Na wzgórzach rosną krzewy winorośli, a na szczycie wzniesienia

stoją budynki winnicy. Wjeżdżamy pod górkę, a w zasadzie to idę pieszo i pcham rower pod górę, bo niestety droga wije się stromo pod górę. W winnicy degustujemy pięć rodzajów win dwóch dwóch białych, dwóch czerwonych i jednego różowego. Mnie najbardziej smakuje białe tzw. late harvest. Shiraz tempranillo ma cudowną czerwoną barwę burgundu, a kolejne pinot noir ma niesamowity wiśniowy zapach.

Po degustacji czas zobaczyć samą winnicę. Winnica powstała w 2002 roku, a pierwsze wino w 2005. natomiast pierwsze wino na sprzedaż w 2008 roku. Nie da się go nigdzie poza Birmą kupić. Winogrona zbiera się na przełomie lutego i marca. Rocznie winnica produkuje 110 tysięcy butelek. Dookoła wszędzie krzaki winogron, a w budynku wielkie kadzie wina. Można tu obejrzeć maszyny, które rozdrabniają winogrona, butelkują gotowe wino i naklejają naklejki na butelki. Są te stanowiska korkowania gotowych butelek wina. Butelki z gotowym winem magazynuje się w piwnicach zrobionych pod ziemią we wnętrzu wzniesienia, na którym jest winnica.

Kupujemy cosik w sklepie firmowym. Jednak niewiele, bo ceny są dość wysokie. Butelka kosztuje 10 dolarów.

Wsiadamy na nasze rowery i jedziemy do Mine Thouk, po drodze mijając malownicze rolnicze tereny z pasącymi się krowami i wołami przy drodze. W Mine Thouk w przydrożnym barze robimy przerwę na mały obiad. Co chwilę ktoś nas mija i woła do nas „mingalaba” czyli „dzień dobry”. Miły ten kraj.

Obok restauracyjki jest bardzo duża szkoła. W oczekiwaniu na obiad postanawiam zajrzeć na szkolny plac. Tym bardziej, że uczniowie w swoich zielonych mundurkach właśnie ciągną do szkoły. Co ciekawe wiele osób ma ze sobą motyki. Czyżby jakieś prace społeczne?

Wchodzę na plac szkolny. Ret co tu za zgiełk panuje. Czyste szaleństwo. Jest rozstawiony na ziemi szkolny sklep. I tak jak wszędzie dzieciaki kupują same paskudztwa. Zaglądam do drewnianych budynków, w których mieszczą się sale lekcyjne. Na razie puste, bo wszyscy biegają po placu. Tylko w jednej z sal siedzi kilka dziewcząt, które pilnie coś piszą. Na ścianach stare tablice, ławki jak u nas w latach pięćdziesiątych. Są też i pokoje nauczycielskie. Strasznie coś ich dużo. Siedzą w nich nauczyciele, a ilość zeszytów na stołach jest porażająca. Czy nauczyciele wszystko to sprawdzają??? kolumny zeszytów piętrzą się całymi stosami. Jest też i czytelnia gazet, gdzie młodzież korzysta z całego stosu gazet i z niewielkie (kilkanaście sztuk) biblioteczki. Jakoś nikt na mnie nie zwraca większej uwagi, a tym bardziej nie przepędza.

Trafiam do drugiego budynku z większą salą. Klasa liczy sobie z 60 uczniów. Nie ma jeszcze nauczyciela, ale to chyba będzie lekcja geografii. Na biurku stoi globus. Nawet udaje mi się pokazać dzieciakom skąd jestem. Potem dzwoni dzwonek na lekcję i wszyscy uczniowie biegną z placu, a nauczyciele wyłaniają się ze swoich pokoi nauczycielskich. Ja też postanawiam stąd zniknąć.

Słów parę o birmańskiej edukacji.

Birma, ze względu na swoją skomplikowaną historię najnowszą, w tym wieloletnią izolację, jest krajem stosunkowo mało znanym. Jej położenie między dwiema wielkimi cywilizacjami, chińską i indyjską, pozwoliło na czerpanie z obu, a jednocześnie na stworzenie własnej, odrębnej kultury. Ludność Birmy jest bardzo zróżnicowana etnicznie i liczy obecnie ok. 50 mln mieszkańców. Birmańczycy stanowią dwie trzecie populacji. Do grup etnicznych, zamieszkujących głównie rejony przygraniczne, należą: Karenowie, Szanowie, Arakańczycy, Czinowie, Monowie, plemiona Nagów i wiele innych. Birma jest krajem buddyzmu therawady; wyznaje go ponad 90% ludności. Buddyzm therawady stał się religią państwową za czasów króla Anawrahty w X w. Wpływy religii i filozofii buddyjskiej są widoczne w każdym aspekcie kultury birmańskiej.

Klasztory mnisie zawsze pełniły rolę centrów nauczania. Służyły nie tylko praktyce religijnej i przekazywaniu nauki Buddy, ale też nauczaniu podstaw czytania i pisania zwykłych mieszkańców. Najczęściej najlepiej wykształconą osobą w wiosce jest mnich, dlatego też oprócz odprawiania rytuałów religijnych, pełni on także rolę nauczyciela, doradcy, a czasami sędziego czy lekarza. Anglicy, którzy w XIX w. skolonizowali Birmę i włączyli ją do Indii Brytyjskich, zauważyli, że liczba ludzi potrafiących czytać i pisać jest tutaj wyższa niż w Europie.

System birmańskiej edukacji jest podobny do systemu brytyjskiego. Nauka w Birmie zaczyna

się od trzyletniego przedszkola, do którego trafiają dzieci w wieku trzech lat. Szkoła podstawowa ma program pięcioletni. Po niej nauka kontynuowana jest w szkole średniej niższego stopnia, która może trwać od 6 do 8 lat, i w szkole średniej wyższego stopnia - kolejne 2 lub 4 lata. Dalszy etap edukacji zapewniają lokalne dwuletnie koledże, nie dające stopnia naukowego, oraz szkoły wyższe, w których uzyskanie stopnia magistra trwa od jednego roku do dwóch lat. Doktorat uzyskuje się po 6 lub 9 latach studiów.

W historii Birmy uniwersytety wielokrotnie stanowiły miejsca formułowania nowych idei, a studenci byli siłą zdolną do pobudzenia narodu do walki o zmiany i o swoje prawa. Tak było w przypadku walki o niepodległość, podobnie w latach 80-tych i 90-tych. Dlatego też przez ostatnie dwadzieścia lat szkolnictwo wyższe bardzo ucierpiało. Uniwersytety były praktycznie zamknięte, a zajęcia odbywały się sporadycznie na niecodziennych zasadach. Aby zapobiec powstawaniu ruchów studenckich, zajęcia organizowano w miejscach odległych od siedzib uniwersyteckich, nieznanym studentom, do których dowożono ich i odwożono autokarami. O wykładach informowano młodzież w ostatniej chwili. Zajęcia akademickie były rzadkie i często polegały jedynie na udostępnieniu spisu lektur i materiału do samodzielnego opanowania. Potem należało tylko przystąpić do egzaminów. Takie rozwiązania przyczyniły się do powstania ogromnych braków wykształconej kadry, które obecnie są palącym problemem Birmy. Niskie zarobki, wynoszące obecnie w przypadku nauczyciela akademickiego około 20 USD, i przydział ryżu, powodują, że nauczyciele pobierają dodatkowe opłaty od studentów i aby się utrzymać, muszą udzielać prywatnych lekcji.

Nauczyciele w szkołach rządowych są również urzędnikami państwowymi, wielu z nich nie ma kierunkowego wykształcenia, a w celu otrzymania posady w państwowej szkole sami muszą najpierw zapłacić łapówkę.

W okresie zawieszenia działalności szkół wyższych wojsko, przy pomocy państwowego budżetu edukacyjnego, stworzyło sieć uniwersytetów medycznych, szkół technicznych oraz Uniwersytet Rozwoju Narodowego dla młodzieży pochodzącej wyłącznie z rodzin wojskowych.

Sytuacja szkolnictwa podstawowego również jest alarmująca. Od 1991 r. Birma jest sygnatariuszem Konwencji Praw Dziecka, która weszła w życie w lutym 2004 r. Konwencja ta, podobnie jak ustawy o szkolnictwie z lat 1973 i 1996, zakłada bezpłatne i obowiązkowe nauczanie na etapie podstawowym¹ (chodzi o szkołę podstawową 5 klas). Nauka jest bezpłatna jedynie w teorii. Rząd finansuje szkoły w niewielkim stopniu i niewspółmiernie do ich potrzeb. Rodzice ponoszą koszty nie tylko z tytułu zapisania dziecka do szkoły. Opłacają także miesięczne czesne, kupują podręczniki, i mundurki szkolne oraz uiszczają obowiązkowe składki na lokalne instytucje edukacyjne i organizacje rządowe, takie jak Związek Rodziców i Nauczycieli. Często muszą łożyć także na wynagrodzenie i utrzymanie, gdyż państwo nie pokrywa w pełni kosztów jego zatrudnienia. W kompetencji rodziców leży nawet remont szkoły.

Zgodnie z danymi organizacji pozarządowych oraz Federacji Birmańskich Związków Zawodowych, w latach 90-tych na edukację przeznaczano zaledwie niespełna 1% dochodu narodowego. Dla porównania wydatki na wojsko pochłaniają 40% budżetu państwa².

Najtrudniejszy dostęp do edukacji obserwowany jest na wsiach. Jedną z głównych przyczyn takiego stanu rzeczy są trudności komunikacyjne, wynikające zarówno ze złej jakości dróg, jak i z braku odpowiednich środków transportu. Do dziś w wielu birmańskich wioskach najpopularniejszym środkiem transportu jest wóz zaprzężony w wołu, a drogi w porze deszczowej bywają nieprzejezdne. Nieliczni bogatsi mieszkańcy mogą pozwolić sobie na motocykl. Dalszy dojazd dzieci do szkoły jest więc niemożliwy. Ponadto, jeśli nawet w jednej na kilka wiosek istnieje szkoła rządowa, to przy dużej liczebności dzieci nie może ona przyjąć uczniów z wiosek sąsiednich. W rezultacie, społeczność wiejska często zdana jest wyłącznie na siebie i przejmuje odpowiedzialność za kształcenie dzieci. Powstają tzw. self-reliance schools, czyli szkoły samowystarczalne.

Często początkiem takiej szkoły są szkoły przyklasztorne. Szkoły religijne przy klasztorach Klasztor istnieje w każdej wiosce i stanowi jednocześnie jej centrum religijne, kulturowe oraz edukacyjne. Mnisi podejmują się nauczania dzieci podstawowych umiejętności czytania, pisanie i

liczenia. Niektóre klasztory posiadające uprawnienia wprowadzają również inne przedmioty świeckie. Jeśli potrzeby są znacznie większe niż możliwości klasztoru, mieszkańcy zakładają nieformalną szkołę, zatrudniając w niej najlepiej wykształconą osobę we wsi. Nauczyciele posiadają co najwyżej wykształcenie średnie. Lokalna społeczność z własnych środków finansuje miejsce nauki oraz pracę nauczyciela. Zwykle jeden nauczyciel prowadzi lekcje w kilku klasach jednocześnie. Sala podzielona jest na cztery części, w których siedzą uczniowie z różnych klas. Nauczyciel wyjaśnia materiał jednej klasie, zadaje fragment do głośnego czytania i przechodzi do kolejnej grupy uczniów; i tak do końca lekcji. Ukończenie takiej szkoły nie zapewnia możliwości kontynuowania edukacji w jednostkach państwowych. Szkoły te mogą co prawda ubiegać się o nadanie im praw szkoły podstawowej, o ile spełniają podstawowe standardy wyznaczone przez birmańskie Ministerstwo Edukacji i są w stanie przygotować uczniów do egzaminów państwowych.

Niestety ich możliwości nie wykraczają poza programy trzy- lub pięcioletnie. Niewielu uczniów kontynuuje naukę, zwykle ze względów materialnych, ale też z uwagi na konieczność podjęcia pracy. Bardzo często jedyną szansą na dalsze kształcenie dla dzieci zdolnych jest wstąpienie do klasztoru, dzięki czemu mogą kontynuować naukę do poziomu uniwersyteckiego. Oczywiście są to studia religijne, ale sytuacja materialna mnichów jest w gruncie rzeczy znacznie lepsza niż przeciętnych osób świeckich. Mają oni dostęp do komputerów, książek, a także możliwość podróżowania i zdobywania dużej wiedzy ogólnej. Niestety dobrze wykształceni mnisi rzadko wracają na wieś, zwykle pozostają w mieście. W Birmie są cztery uniwersytety buddyjskie: najstarszy w Mandalaj, prywatny w Sagai oraz dwa w Rangunie. Jeden z nich jest uczelnią międzynarodową. Drogę studiów religijnych wybierają przeważnie chłopcy. Szanse edukacyjne wiejskich dziewcząt zarówno w zakresie edukacji formalnej, jak i zawodowej są znikome. Dlatego bardzo ważne jest, by na wsiach organizowano dla nich np. kursy szycia.

Największą przeszkodą w zdobywaniu edukacji niewątpliwie jest bieda. Ze względu na fatalną sytuację ekonomiczną kraju, dzieci zmuszone są podejmować pracę zarobkową, aby pomóc rodzicom w ich staraniach o utrzymanie rodziny. W całej Birmie można spotkać nieletnich zatrudnionych jako pomoc w restauracjach, sprzątających, prowadzących handel uliczny., a nawet pracujących na budowach. Dane UNICEF'u z 1995 r. ukazują zatrważające statystyki:

40% dzieci nigdy nie zaczyna szkoły podstawowej,
26% nie stać na pokrycie kosztów nauki w szkole podstawowej,
60% jej nie kończy.

Najcięższa sytuacja pod względem edukacji panuje jednak na trudno dostępnych terenach zamieszkałych przez mniejszości etniczne, szczególnie tam, gdzie toczy się konflikt zbrojny. Ministerstwo Edukacji powołało do życia „szkoły mobilne”, przenoszące się z miejsca na miejsce. Według oficjalnych danych w latach 2006-2007 istniały 43 takie szkoły. Zatrudniano w nich 58 nauczycieli i kształcono 1603 uczniów w 15 miejscowościach. Jest to z pewnością kropla w morzu potrzeb. Ponadto poszczególne grupy etniczne, posiadające własną kulturę i własny język, często dopominają się o prawo do nauczania w ich rodzimych językach. Rząd, mimo wielu zabiegów, nie wyraża odpowiedniej zgody i zamyka szkoły zakładane przez mniejszości etniczne.

Konflikty etniczne, zmuszające ludzi do ciągłego przemieszczania, uniemożliwiają systematyczną naukę. Wielu uciekinierów przedostaje się do pogranicznych miast tajskich. Uciekając przed wojną i szukając środków do życia, podejmują się każdego możliwego zajęcia. Migranci nie mają w Tajlandii żadnych praw, są ledwo tolerowani, narażeni na kontrole policji, której muszą płacić łapówki, aby ich nie deportowano. Zarejestrowani uchodźcy żyją w obozach, gdzie organizacje pozarządowe tworzą szkoły dla przebywających w nich dzieci, a także, do pewnego stopnia, dbają o wynagrodzenie dla nauczycieli oraz ich doksztalcenie. Poza obozami powstają szkoły nieformalne, często pod gołym niebem. Nauczają w nich zwykle nauczycielka - wolontariuszka. Do tego typu szkół uczęszczają najczęściej bardzo małe dzieci, które nie są jeszcze zdolne do pracy fizycznej. Dzieci nieco starsze muszą niestety pomagać rodzicom.

Pomimo niesprzyjających warunków zarówno w kraju, jak i za granicą, mieszkańcy Birmy wykazują ogromne pragnienie zdobywania wiedzy. W tradycji buddyjskiej bowiem najważniejsze osoby, godne szacunku i „którym należy oddawać cześć jak bogom”, to: mnich, podążający ścieżką

wyznaczoną przez Buddę, rodzice, którzy nie szcędzą poświęceń w wychowywaniu dziecka oraz nauczyciel, ponieważ przekazuje największy skarb, jakim jest wiedza. Nie ma bowiem wyższego daru niż dar wiedzy (pańna-dana). Raz do roku obchodzi się w szkołach specjalne święto ku czci nauczycieli, podczas którego oddaje się im pokłony i obdarowuje prezentami.

Lekcje w birmańskiej szkole rozpoczynają się odśpiewaniem hymnu, połączonym często z recytacją modlitwy. Postawą wyrażającą szacunek dla nauczyciela jest pozycja stojąca z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Na uwagę w Birmie zasługują określone kolory, które mają charakter symboliczny i wskazują na grupę im przypisaną. I tak, np. kolorem nauki jest zielony. Strój nauczyciela i ucznia jest identyczny - biała bluzka i długi, zielony sarong. W niektórych miejskich szkołach chłopcy zastąpili sarong zielonymi szortami.

Gdy mijamy birmańską szkołę, dobiega nas głośnie, chóralne recytowanie tekstów. W Birmie nadal obowiązuje tradycyjna metoda nauczania pamięciowego. Uczniowie całymi dniami przyswajają sobie teksty i definicje. Można pozazdrościć im pamięci, z drugiej strony jednak ogromny, uwarunkowany kulturowo autorytet nauczyciela oraz lęk przed nim zwykle nie pozwalają na bezpośredni kontakt i zadawanie pytań. Powoduje to bardzo bierne przyswajanie wiedzy, bez właściwego zrozumienia. Przez wiele lat nie nauczano w Birmie języków obcych. Zmiana nastąpiła dopiero w latach 90-tych. W chwili obecnej nauka języka angielskiego obowiązuje od szkoły podstawowej. Niestety w tym zakresie również brakuje odpowiednio wykwalifikowanej kadry. Nauczyciele, szczególnie ci na wsiach, sami znają zaledwie podstawy języka i wykazują, co najwyżej, bierną jego znajomość, stąd efekty nauczania są bardzo znikome, a młodzież najczęściej nie potrafi porozumiewać dwujęzycznie.

Poprawa poziomu szkolnictwa w Birmie jest możliwa jedynie dzięki zwiększonym nakładom finansowym ze środków publicznych, zniesieniu opłat za edukację dla najuboższych oraz zapewnieniu im pomocy finansowej na książki. Bardzo ważne jest także powstawanie bibliotek. Ceny książek niejednokrotnie przewyższają możliwości przeciętnego Birmańczyka. Konieczne jest również stworzenie nauczycielom możliwości doksztalcania, przede wszystkim w dziedzinie metodologii, zwiększenie ich poborów, a także zachęcanie ich do pozostawania na wsiach.

Gdy wracam do restauracji, właśnie obiad wjeżdża na stół. Po naszych zupach idziemy zobaczyć tutejszy most, który prowadzi do drugiej części wsi. Połowa wsi jest na lądzie, a druga połowa na jeziorze. Most ma 450 metrów i kończy się ni z gruszki ni z pietruszki. Dalej do wsi już tylko łódka.

Wcześniej powiedziano nam, że z Mine Thouk możemy wziąć łódź, która zawiezie nas z rowerami na drugi brzeg. Nawet nie trzeba szukać łódki, bo we wsi jak widza turystów już sami proponują przewiezienie na drugą stronę. Płyniemy więc do Khaung Dain. Po drodze na środku jeziora łapie nas nieduży deszcz. Ulewę zostawiamy za sobą na drugim brzegu. Tam na potęgę kłębią się coraz gęstsze deszczowe chmury. Po chwili nie widać tego brzegu jeziora. Przeplływamy na drugą stronę i tutaj w ogóle nie pada. Zabieramy rowery i jedziemy przez miejscowość, która podobno słynie z produkcji tofu i gorących źródeł. Za osadą mijamy ów kompleks basenów. Śmieszne miejsce, bo panowie i panie kąpią się osobno. Tylko dla obcokrajowców zrobiono jeden koedukacyjny basen, ale kosztuje 8 dolarów od osoby. No lekka przesada.

Jadąc dalej mijamy nowo budowane resorty dla turystów w postaci eleganckich bungalowów. Objężdżamy północ jeziora. W pewnym momencie droga staje się masakryczna. Dziury i wertepy, których nie da się ominąć. Droga oczywiście nie widziała nigdy asfaltu. Same kamienie, albo i błoto. Już sama nie wiem, jak mam tą drogą jechać, bo co chwilę wpadam w kolejną dziurę. Z przeciwka jadą uczniowie na rowerach, którzy wracają ze szkoły i znikają w bocznych drózkach odchodzących od tej wertepiastej głównej drogi.

W końcu udaje nam się dojechać do Nyaungshwe. Jesteśmy już tak wymęczeni, że klasztor z okrągłymi oknami zostawiamy sobie na jutro. Jeszcze jedziemy do centrum, gdzie znajduje się miejsce w którym wieczorem jest teatr birmańskich lalek – marionetek. Będzie wieczorem, więc na pewno tu wrócimy.

Dojeżdżamy do hoteliku i oddajemy rowery. Rezerwujemy bilet do Bago. Procedura jest prosta. Rezerwuje się w recepcji hoteliku. Recepcjonista dzwoni do firmy przewozowej i pyta czy są wolne miejsca. Otrzymuje numery siedzeń i po telefonie wypisuje nam bilet na specjalnym blankiecie firmy transportowej. Ot i nie trzeba mieć komputera.

Wieczorem ruszamy obejrzeć teatr marionetek. Teatr to może za dużo powiedziane bo to niewielki budynek, raczej barak. Wita nas starszy pan i na początek częstuje zieloną herbatą. Swoją teatrzyk marionetek prowadzi właściwie sam, więc trudno tutaj mówić o spektaklach. Są ławeczki i aż 8 osób na widowni. Oglądamy do muzyki około 10 różnych birmańskich marionetek. Najfajniejsza jest ta, która przypomina gracza z piłką chinloe. Owa piłka tak jest przyczepiona do lalki tak sznurkami, że raz jest na jednym to na drugim kolanie lalki, a to na głowie, czy też na barku. Świetnie imituję grę prawdziwego zawodnika chinloe. Super jest też małpka, która fika koziołki i aż cud, że się nie zaplątała jeszcze w sznurki. Lalkarz ma naprawdę duże umiejętności. Cały spektakl trwa około pół godziny. Lalkarz narzeka, że tradycyjne teatry lalkowe odchodzą w niepamięć, bo młodzi, ani tym się nie zajmują ani nie chcą wykonywać tej pracy. Jest już czwartym pokoleniem lalkarzy w rodzinie pochodzącej z Bagan. Opowiada jakie to spektakle dawali ze swoim dziadkiem przed wielu laty. Niestety jego syn studiuje i nie chce kontynuować tradycji. Trochę pomaga mu córka. Niestety tradycja umiera. Teraz już tylko przychodzą turyści. Całe pomieszczenie wypełniają powieszony na ścianach i wiszące z sufitu marionetki, które wykonuje lalkarz i jednocześnie można je sobie zakupić.

Po spektaklu idziemy na kolację. Jednak dzisiaj nie trafiamy najlepiej. Jemy curry, ale w miseczkach znajduje się wiele niejadalnych potrawek, na dodatek rybnych. Całość ratuje talerz świeżych warzyw na czele z moją ulubioną azjatycką okrą oraz drugi talerz z ananase.

I to by było tyle na dzisiaj...

05.08.2013 (poniedziałek)

Budzę się o 5:30 i wstaję aby zobaczyć poranny pochód mnichów przez Nyaungshwe, kiedy to zbierają jałmużnę w postaci darów jedzenia.

Biegam uliczkami budzącego się Nyaungshwe, gdzie lekko zaspani ludzie otwierają sklepiki, smażą na głębokim oleju jedzonko. Każdy wola do mnie dzień dobry. A ja biegam kolejnymi uliczkami. No gdzież ci misi się podziali? Nawet pod klasztor trafiam, ale tam jeden zaspany mnich miotłą zamiata obejście. W końcu na jednej z uliczek widzę w oddali grupę mnichów w czerwonych szatach. 20 bosonogich mnichów ze swoimi miskami idą od domu do domu. Pędzą tak, że trudno ich dogonić. Na sekundę zatrzymują się obok czekających na nich mieszkańców. Garnek otwierają, mieszkańcy wrzucają trochę ryżu i pędzą dalej. Biegnę za nimi aż do samego klasztoru. Tutaj przy wejściu do budynku stoi wielki gar, do którego, każdy mnich wrzuca to co zebrał w swoim mnisim garneczku. Potem mnisi jeden po drugim znikają w budynku klasztoru. Ja natomiast wracam nabrzeżem, gdzie już od samego rana trwa przeładunek skrzynek z pomidorami. Wracam do do hotelu po godzinie 6, czyli można jeszcze iść spać.

Wstajemy o 8:30 i idziemy na kolejne z rzędu wielkie śniadanie. Siedzimy sobie do godziny 11, aby wtedy zdać pokój. Plecaki zostawiamy w małej przechowalni w hoteliku i pożyczamy jeszcze rowery.

Dzisiaj jedziemy do Shwe Yan Pyay, który jest klasztorem okrągłych okien. Wybudowany w XIX wieku z drewna. Trafiamy na moment, gdy mnisi ruszyli na jedzenie. Co chwilę młodzi mnisi biegną przez plac do głównej sali, gdzie odbywa się posiłek. Przed budynkiem pozostała cała masa klapków. Najszybciej posiłek zjadają najmłodszy koło 10 lat. Oni pierwsi pojawiają się w drzwiach i wypadają na plac ze swoimi mnisimi miskami. Część z nich pędzi do budynku obok, gdzie leżą na ziemi, inni wpadają do świątyni z okrągłymi oknami. Tam wszędzie płaczą się koty. Nie ważne czy to posąg Buddy, czy podłoga. Koty zawłaszczyły sobie to miejsce.

Poluję na mnichów w okrągłym okienku oraz na tych co biegną w swoich czerwonych szatach przez plac. Udaje mi się zrobić dużo ładnych zdjęć.

Obok drewnianego klasztoru jest murowana pagoda z górującą nad nią stupą, również pomalowaną złotą farbą. Jej wnętrze różni się znacznie od tych, które dotychczas widziałam w Birmie. W ścianach korytarzy i sal są dziesiątki niewielkich nisz, a w każdej z nich posążek Buddy. Stropy są zdobione. W jednej z dużych nisz przypominającej ołtarz, centralne miejsce zajmuje figura stojącej postaci owiniętej szatą z tkaniny. Raczej nie Buddy, w każdym razie niepodobna do znanych mi jego wizerunków. Być może któregoś z zasłużonych dla tego klasztoru mnichów. Powyżej, poniżej oraz w dekoracjach bocznych dostrzegam tradycyjnych strażników świątyni. Na półkach przed tym ołtarzem stoją w wazonach świeże kwiaty. Większość figurek ubrana jest w szmatki. Kilka jest też podpisanych imieniem i nazwiskiem z Polski. To chyba jacyś darczyńcy.

Wracamy do Nyaungshwe, tutaj spotykamy pochód młodych mniszek, które śpiewając idą główną ulicą i od mieszkańców zbierają jałmużnę. Każda z mniszek dostaje po swojej misce po łyżce surowego ryżu.

Oddajemy rowery i idziemy z powrotem do centrum, gdzie znajdujemy fantastyczny sklep z pamiątkami. Ceny dwa lub nawet trzy razy niższe niż gdzie indziej. Toteż kończy się to tym, że kupujemy tu dużo rzeczy zwłaszcza z papieru bambusowego zaczynając od kopert z bambusa, a kończąc na parasolkach. Potem odwiedzamy bazar i tutaj udaje nam się wytargować kilka drewnianych figurek.

W końcu czas na obiad. Idziemy do Miu Miu, gdzie Paweł dostaje największą michę zupy jaką widziałam. Równie dobrze mogłaby być półmiskiem na ziemniaki dla kilkuosobowej rodziny. Ja otrzymuję ziemniaczane curry. I to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Ryż z ziemniakami w sosie. Ubogo, ale smacznie. Po obiedzie wracamy na półtorej godziny do hotelu. Możemy przed wyjazdem jeszcze skorzystać z zewnętrznej łazienki. A warto się umyć, bo dzisiaj noc spędzimy w autobusie jadąc na południe Birmy – do Bago.

Mały pick-up zawozi nas na główną drogę skąd odjedzie nasz autobus. 15 minut później podjeżdża autobus. Ma tylko 37 miejsc, dużo jest przestrzeni między siedzeniami na nogi, na dodatek jest poduszka, woda, szczoteczka i pasta do zębów.

2 godziny od wyjazdu przejeżdżamy przez Kalaw, skąd zaczęliśmy nasz trekking. Cały tył autobusu zapchany jest kartonami z towarem. W sumie i tak w autobusie jest dużo miejsca, bo jedzie tylko kilkanaście osób. W sumie obcokrajowców oprócz nas nie ma żadnych. Ci co jechali wysiedli w Kalaw.

W nocy wjeżdżamy na autostradę zbudowaną przez Chiny. Autobus jedzie niczym strzała. Zresztą widać, że trasa uczęszczana. Co chwilę albo nas mijają autobusy, albo my mijamy. Na dodatek leje deszcz na maksa. Mam nadzieję, że rano go już nie będzie. Budzę się średnio co 2-2,5 godziny. Za oknem bez zmian – leje. Deszcz przy tej prędkości rozbryzguje się o szyby. Brrr dobrze być tutaj w środku, gdzie nie pada....

06.08.2013 (wtorek)

Chwilę po godzinie 5 zostajemy obudzeni przez obsługę autobusu. Mówią nam, że dojechaliśmy na miejsce i mamy wysiadać i przejść na drugą stronę (!!!) autostrady i tam jest podwózka do miasta. Wszędzie ciemno, żadnych świateł dookoła, gdzie jest to Bago??? toż to nie jest malutka osada.

Najpierw na nas rzucają się właściciele taksówek, chcą jakieś strasznie wysokie pieniądze za zawiezenie do centrum. No też coś... Po chwili łapie nas gość i prowadzi przez autostradę do swojego pick-upa. Próbuje się targować, bo chce od nas po 1000 kyatów (dolara), ale okazuje się że to taka cena i miejscowi też tyle płacą. Już nam to targowanie na głowę się rzuciło. Targujemy się nawet wtedy, kiedy nie trzeba. Tym bardziej że okazuje się iż Bago od autostrady położone jest godzinę jazdy... tyle właśnie czasu zajmuje nam dojazd. Po drodze mijamy całe „tabuny” mnichów idących po jałmużnę o wschodzie słońca.

Końcowy przystanek owego pick-upa znajduje się ze 300 metrów od hoteliku, który

upatrzyliśmy sobie w przewodniku. Idziemy więc piechota mimo że rzucają się na nas ludzie z riksami, którzy z chęcią by nas nawet ten mały kawałek podwieźli.

Po chwili już jesteśmy w San Francisco Motel. Pokój jest, choć dość marny i bez klimy. Nie ma nawet śniadania. No dobra kosztuje 15 dolarów, więc zostajemy. W pokoju śmierdzi trochę kulkami jak na mole, ale mamy tu zostać tylko jedną noc. Jest jeszcze bardzo wcześnie więc postanawiamy położyć się spać na dwie godziny i pospać do 9. O 8 budzę się bo za oknem jest ulewa. Trwa tylko 15 minut.

Kiedy wstajemy właścicielka hoteliku dokładnie objaśnia, gdzie i o której należy iść do świątyń, aby nie trzeba było płacić za wstęp. Wypożyczamy rowery i jedziemy na objazd zabytków w Bago, które jest miastem mnichów. Położonym niecałe dwie godziny drogi od Yangon. Samo w sobie nie jest szczególnie piękne, ale słynie z kilku niezwykle efektownych świątyń. Największa stupa, Shwemawdaw Paya ma 114 metrów wysokości i ponad 1000 lat. W świątyni Shwethalyaung znajduje się drugi największy na świecie posąg leżącego Buddy, ma on 55 metrów długości i 16 metrów wysokości.

Najpierw jednak jedziemy na śniadanie do tzw. „coffee shopu”, jak to określiła pani w hoteliku. Wygląda to bardziej na mordownię. Jemy ciapati, samosy, jajka sadzone, herbatka. A to wszystko za całe 0,6 dolara.

Rowerami jedziemy do Kha Khat Wain Kyaung. W klasztorze tym codziennie o godzinie 11 około 400 mnichów rusza na wspólny posiłek. Gdy przyjeżdżamy właśnie trwają ostatnie przygotowania. Na gigantycznych tacach wnoszone są dania do dużej sali. W tym czasie wszyscy mnisi myją się w studniach rozmieszczonych przy każdym klasztorным budynku. Ponadto golą głowy.

Punkt godzina 11 rozlega się dźwięk gongu. Na jego odgłos wszystkie psy płaczące się po terenie klasztornym wyją wniebogłosy. Mnisi ustawiają się w rzędzie i po drugim gongu idą niosąc swoje mnisie kociołki. Mijają tajską wycieczkę, która wrzuca do kociołków batoniki, ryż itp. Przy wejściu mnisi do swoich garnków dostają ryż z wielkich dwóch kotłów. Prawdopodobnie ten ryż o poranku zebrali chodząc po mieście.

Każdy mnich zajmuje swoje miejsce na podłozie przy niski kilkuosobowych okrągłych stolikach. Potem wszyscy mnisi się modlą. Niesamowite wrażenie gdy 400 mnichów odmawia mantrę. Po modlitwie wszyscy zabierają się bez słowa do konsumpcji. My też się oddalamy, aby mnichom nie przeszkadzać. Ciekawe bo spodziewałam się tu tłumów turystów, a tu niespodzianka praktycznie ich nie ma.

Jedziemy dalej do złotej stupy. Po drodze mijamy straż pożarną z polskim samochodem marki Star. Stupa Shwemawdaw jest najwyższa w kraju ma aż 114 metrów. Wchodzimy bocznym wejściem, aby nie płacić 10 dolarów. Stupa jest ogromna. Po chwili zaczyna się wielka ulewa, która trwa kwadrans. Chowamy się pod jedną z wiat, gdzie siedzą pielgrzymi. Po kwadransie chmury znikają i pojawia się błękitne niebo i słońca, takie, że stupa kole w oczy złota barwą.

Potem podjeżdżamy do świątyni z ptakiem, ale jest mało ciekawa. Przemierzamy się bardzo ruchliwymi ulicami. Mam stracha, że albo ja w coś wjadę, albo coś wjedzie we mnie. Rowery są nie pierwszej młodości, więc czas reakcji jest raczej powolny. Wszyscy na ulicach trąbią na potęgę. Ja swoim dzwoneczkiem przy rowerze, co najwyżej mogę podzwonić dla samej siebie. W tym rozgardiaszu i tak mojego dzwonka nie słychać.

Czas na Snake Monastery i nie możemy tam trafić. Najwidoczniej sławny pyton nie chce być zobaczony. Kluczmy uliczkami pytamy ludzi o Klasztor węzowy i nic nikt nie wie co oznacza angielskie słowo snake=waż. Niestety w przewodniku nie ma birmańskiej nazwy tego klasztoru. Już nawet chyba nie jesteśmy w mieście. Bo to bardziej przypomina wieś. Kluczmy kolejnymi drózkami i sami już nie wiemy gdzie jesteśmy. W końcu udaje się znaleźć gości którzy znają angielską nazwę klasztoru i postanawiają eskortować nas na motorze. Hmm ciekawe czy aby na pewno się rozumiemy... No nic ruszamy i zobaczymy gdzie dojedziemy. Po kilkunastu minutach docieramy jednak na miejsce. W małym budynekczku leży pyton cały obłożony banknotami. Heh pieniędzy mu na pewno nie braknie. Podobno według legendy jest to mnich zaklęty w pytona. Nawet cała ciężarówka młodych mnichów podjechała obejrzyć węża.

Wracamy do centrum. Paweł wymienia znowu w banku trochę dolarów na kyaty. Ponadto chce rozmiąć na drobniejszy 100 dolarowy banknot. Nie da się. Trzeba najpierw sprzedać 100 dolarów, a potem kupić... 100 dolarów w mniejszych nominałach. No i trochę stracić na różnicy wymiany. No cóż co kraj to obyczaj.

Wsiadamy na rowery i jedziemy w kolejne miejsce. Ale tu na południu kraju gorąco i wilgotno. Jestem cała mokra. Ludzie co chwilę nas witają i się do nas uśmiechają.

Przejeżdżamy na drugą stronę rzeki, w miejsce gdzie znajdują się cztery świątynie obok siebie. W jednym z nich robimy sesję zdjęciową mnichom. W drugiej znajdują się 4 wizerunki Buddy, w trzeciej jest ogromny leżący Budda pod gołym niebem. Ostatnia ze świątyń ma w środku leżącego złotego Budę.

Ostatnia z nich jest płatna, ale po 17:00 obsługa idzie do domu. Czekamy więc popijając sobie pod parasolem colę. Zaczynają się chwilę po 17 zbierać, a więc my wchodzimy do środka przez nikogo niezatrzymywani. Wszystkie stoiska pamiątkarskie właśnie się składają. W ogromnej hali świątynnej leży wielki złoty Budda - Szwehalyaung Budda (Shwe Tha Lyaung).

W nim zaś jeden z największych na świecie posągów Oświeconego o długości 54,88 m i wysokości 16 m. Na tablicy informacyjnej w pobliżu jego głowy można przeczytać po birmańsku i angielsku również, że twarz Buddy ma 6,86, jego mały palec 3,05, zaś nos 2,29 metra.

Jego gigantyczna głowa opiera się na „poduszcze” z ustawionych w 6 pięter na kształt piramidy tarasów złożonych ze złożonych kaset z mozaikami i malowidłami. Szczególne wrażenie robią również złożone i pokryte drogocennymi kamieniami stopy i palce nóg Buddy. Cała jego ogromna postać wygląda tak, jak gdyby wykonujący ją artyści dopiero zakończyli pracę. Wielki myśliciel odpoczywa na podwyższeniu otoczonym z przodu, od strony sali medytacyjnej i w okolicach stóp, metalowym płótkiem. Z tyłu zaś murem pokrytym malowidłami ze scenami historycznymi. Sanktuarium to przypomina wewnątrz ogromną halę fabryczną z dachem wspartym na stalowych dźwigarach. Wewnątrz niej są liczne posągi, m.in. cztery figury stojącego Buddy. A także posąg Lokanata, nazywanego również Awalokiteśwarą – bóstwa znanego m.in. z eposu Mahajana. Z zewnątrz budowla wygląda jak wielka pagoda z charakterystycznymi dla tego rodzaju budowli dachami. Strzegą jej kilkumetrowej wysokości mityczne zwierzęta podobne do lwów. Do tego sanktuarium jest kilka wejść. A w nich oraz przed nimi są, jak zwykle w sanktuariach w Birmie, liczne kramy z pamiątkami i przedmiotami kultu.

To, co oglądam, przeszło niedawno kolejną renowację. Ale historia tego posągu i sanktuarium, a także związane z nim legendy, liczy już setki lat. Według jednej z nich, podczas pełnych przemocy i korupcji rządów groźnego króla Mgadeikpa, jego syn polujący w lesie trafił do wioski Suwannabhumi. Zobaczył tam i natychmiast zakochał się w niej, piękną dziewczynę. Była to miłość obojga od pierwszego wierzenia. I chociaż ona była buddystką, on zaś, tak jak wszyscy w królestwie ojca, czcił pogańskich bożków, młodzi pobrali się. Gdy po ich powrocie na dwór król dowiedział się o tym, wpadł w szal i kazał zabić zarówno synową jak i syna. Przerażona dziewczyna zaczęła modlić się przed jakimś pogańskim posągiem. W tym momencie pękł on i rozsypał się. Mgadeikpa przestraszył się i zrozumiał, że popełnił błąd, a prawdziwą wiarą jest buddyzm, nie zaś kult pogańskich bożków. Kazał więc zbudować ogromny posąg Buddy. Legendę tę potwierdza informacja na wspomnianej tablicy z opisem posągu. Przeczytałem na niej, że został on ufundowany w roku 994 n.e. przez króla Miga Depa (Juniora).

Odnaleziony,
uratowany

Od tamtej pory posąg przeszedł kilka uzupełnień i renowacji. Podczas niszczenia Bago w 1757 roku przez birmańskiego króla Alaungpaya został uszkodzony, a następnie zapomniany i zarośnięty przez dżunglę. Odkryto go dopiero w 1880 roku i wkrótce rozpoczęto jego odbudowę. Posąg został jednak znacznie uszkodzony podczas wielkiego trzęsienia ziemi w 1930 roku. A po nim ponownie odbudowany. Niedawno przeszedł kolejną, gruntowną rewaloryzację, podobno na koszt jednego z przywódców junty wojskowej, która trzęsła Birmą przez wiele lat. Chciał on, jak usłyszałem, zmasać w ten sposób swoje grzechy i zasłużyć na dobre wcielenie po reinkarnacji.

Wracamy do hotelu uliczkami pełnymi śmigających motorków. Na głównej ulicy jest już

totalna masakra. Muszę pokonać jakoś 500 metrów które dzielą nie od hoteliku. Żeby tylko nikt we mnie nie wjechał. Przyczajam się za gościem na rowerze z przyczepką... jakoś dojadę. Z ulgą w hotelu oddaję rower. Koniec tej jazdy z duszą na ramieniu. Po okolicy gdzie pietrzą się śmieci, w najlepsze buszują brudne świnie.

Panie w hoteliku polecają chińską restaurację Shwe Li przy rzece Bago jakieś pół kilometra stąd. Idziemy. Jedzenie rzeczywiście niczego sobie. Potem Paweł wsiąka w pobliskiej kafejce internetowej, a ja wracam do pokoju. Jest już po 19:00, a więc zapadł zmrok. Przejście przez ulicę o tej porze to koszmar. Stoję i myślę jak to zrobić. Ulicą ciągnie rzeka motorów, pick-upów, autobusów, większych i mniejszych ciężarówek. To przelotowa trasa dalej na południe. W ciągu dnia jeszcze jakoś da się przejść, bo pieszy jest widoczny. Hmm ale jak ja mam to zrobić po nocy??? jestem niewidoczna, a ruch dalej taki sam. Myślę co tu zrobić, ale pojawia się pan z hoteliku, który łapie mnie za rękę i sprawnie przeprowadza na drugą stronę.

Siedzę w pokoju, ale nagle zapada ciemność. Przerwa w dostawie prądu. Po chwili wraca Paweł. Jego też przez ulicę przeprowadził ten sam gość. No cóż prądu nie ma, a my po nocy w autobusie, całym dniem na rowerze jesteśmy zmęczeni idziemy spać... czekając na prąd żeby wiatraczek pod sufitem zaczął się kręcić i dał nam trochę wytchnienia od gorąca.

07.08.2013 (środa)

Rano pobudka o 7:30. Nie śpię już wcześniej, bo klaksony jadących autobusów i ciężarówek obudziłyby umarłego.

Tuż po 8 rano pan z hoteliku z drugim gościem wiozą nas około 2 km na motorkach do miejsca gdzie ma zatrzymać się autobus. Przy drodze siedzi jeszcze czworo obcokrajowców. Siadamy sobie w przydrożnym barze, gdzie jeszcze udaje się nam zjeść śniadanie w postaci indyjskich samos i paluchów w smaku przypominających nasze pączki.

Potem wsiadamy wszyscy do autobusu, który nadjeżdżał drogą. Turysta nie musi się o nic martwić. Nasz pan z hotelu sam zatrzymał odpowiedni autobus i zapakował do środka. Super organizacja. Nikt się nie zgubi. Czuję się niczym paczka. Nadana w jednym miejscu i dostarczona tam gdzie trzeba.

Jedziemy do Kinpun. Mijamy trzy ciężarówki ze słoniami na pace. Tak jak to było w okolicy Mandalaj. Za oknem pojawiają się mniejsze lub większe osady. Dużo pól na których trwa sadzenie ryżu, bo tutaj na południu Birmy zbiory są trzy razy do roku. Bawoły wodne leżą w błotku przy polach. Ciekawa sprawa jeśli chodzi o jazdę autobusami. Kierownica znajduje się po prawej stronie, bo samochody są z Japonii, ale w Birmie ruch jest prawostronny. Toteż jak autobus jedzie to kierowca nie wie czy może wyprzedzać pojazd z przodu, bo nie widzi pasa z przeciwnym ruchem jazdy. Stąd też ma „pomagiera”, który wisi u drzwi i wrzeszczy lub macha ręką do kierowcy czy droga jest wolna, czy coś nią jedzie. Dzisiaj też widzę kolejny wypadek na drodze. Dziewczyna jadąca z tyłu na skuterze spadła i przeturlała się po jezdni. Całe szczęście że nie wpadła pod koła naszego autobusu, a było naprawdę blisko.

Droga do Kinpun zajmuje nam raptem 2,5 godziny. Tuż przed miejscowością wsiada do autobusu gość i rozdaje wizytówki hotelu, tego którego namiary mamy z Bago. Idziemy razem do jego hotelu, który od głównego placu w Kinpun znajduje się 3 minuty piechotą. Po drodze chce nas przejść inny gość z konkurencji, ale skoro wybraliśmy już to idziemy tam. Hotel też raczej spelunkowaty, ale ma klimę i śniadanie. Trwają właśnie prace budowlane. Powstaje nowy piętrowy budynek. Ciekawe jest to, że najpierw powstaje rusztowanie budynku wraz z drzwiami, a dopiero potem ściany i reszta. Właściciele hoteliku na rusztowaniach zrobili wiszące ogrody z pięknie kwitnącymi storczykami.

Na miejscu szybko dowiadujemy się jak dojechać na Golden Rock. Wracamy na główny plac osady, gdzie obok jest postój trucków. Jest już prawie pełen. Do takiej ciężarówki wsiada się po dostawianych jak do samolotu, schodach. Na górze są ławeczki i do takiej ciężarówki wsiada 35

osób. Dachy nie ma. Okoliczny krążący sprzedawcy usilnie wciskają turystom płaszcze przeciwdeszczowe. May mamy nasze kurtki, więc płaszcz nam niepotrzebny. Po kwadransie ruszamy. Przed nami 45 minut jazdy w górę po bardzo krętej drodze. Autokar tu nie da rady. Droga na dodatek jest bardzo stroma, ale ciężarówka daje sobie radę, choć momentami ryk silnika jest wielki. Trzeba się trzymać barierki aby nie zjechać z laweczki. Okolica zmienia się diametralnie – pojawia się gęsty las deszczowy. Drzewa obrosnięte roślinami, pnączami. Między wierzchołkami gór przewalają się chmury. Dojeżdżamy na sam szczyt, który tonie we mgle. Trzeba wysiadać na „przystanku” ciężarówek, a dalej już piechotą. Idziemy we mgle. Mam nadzieję że złotej skały nie przegapimy. W końcu docieramy. Jednak widok jest kiepski. Parę razy na kilkanaście sekund wygląda złota skała z gęstej mgły. I skała pokazuje się w całej okazałości błyszcząc w słońcu. Na specjalny taras widokowy kobietom z przyczyn religijnych (?) wstęp jest zabroniony. Płatki złota do skały mogą przyczepiać tylko mężczyźni, skoro kobiety nie mogą się zbliżyć do skały na pewną odległość.

Potężny pokryty złotem kamień o wadze ponad 610 ton ze zbudowaną na nim stupą, zawieszony nad przepaścią, wygląda jak gdyby miał za chwilę zwalić. Opierając się na skale zachowuje jednak, pomimo ruchów tektonicznych, równowagę zapewne od milionów lat.

Utrzymuje także, od wieków, wzniesioną na nim stupę. Mimo dwukrotnych badań naukowych w 1980 i 2001 roku nie udało się znaleźć odpowiedzi na pytanie: jakim cudem? Czyżby rzeczywiście dlatego, że gdy budowano tę stupę w XI wieku, oparto ją precyzyjnie na włosie Buddy? Złota Skała Kyaikhtiyo oraz cały zespół budowli sanktuarium na wzgórzu o wysokości około 1200 m n.p.m. należy do najświętszych miejsc birmańskiego buddyzmu. Do niego, podobnie jak do Złotej Stupy Szwedagon w Rangunie, każdy wierny powinien przynajmniej raz w życiu odbyć pielgrzymkę. Ciągną więc tutaj tłumy, ale nie tylko pielgrzymów, gdyż jest to również wielka atrakcja turystyczna. Zwłaszcza w najodpowiedniejszej po temu porze, czyli od października do marca.

Rozszerzający się, płaski wierzchołek wzgórza pokryty jest idealnie dopasowanymi, gładkimi, marmurowymi płytami. W kompleksie sanktuarium są pagody, stupy, pawilony z salami modłów i medytacji, kolumny, kapliczki. Głównym jednak celem wszystkich pielgrzymów i turystów jest Złota Skała. Granitowy głaz, pokryty płatkami złota z górującą nad nim 7,3 metrowej wysokości stupą. Według legendy włos Buddy, na którym została ona postawiona i zawdzięcza mu stabilność, przyniósł przed wiekami, ukryty w jego koku, mnich. Skałę ze stupą na jej wierzchołku można obchodzić ze wszystkich stron. I robi ona wrażenie, zwłaszcza w promieniach słońca.

W pobliżu, w kępie drzew na niewielkim wzgórku, stoją posągi i posadzki Buddy. A także zdobione rzeźbami złotych ptaków kolumny zakończone na górze podobnie jak stupy, z poruszającymi się pod wpływem ruchów powietrza dzwoneczkami. Ze wzgórza są zejścia kamiennymi schodami także na inne strony świata. A w ich pobliżu sklepy i stragany z pamiątkami i różnymi towarami spożywczymi i przemysłowymi, jadalniami i kolejne pomieszczenia dla pątników. Moją uwagę zwróciły tutejsze motyle. W kolorze beżowym, liczne, wielkości niemal męskiej dłoni.

Im bliżej zmierzchu, tym więcej przybywa pątników, a wśród nich również mnichów. Pożegnają zachodzące słońce, powitają o świcie jego wschód. Zaś noc spędzą na modłach oraz medytacji przy zapalonych świecach i lampkach. Atmosfera jest poważna, ale i z luzem. Ludzie spacerują, siadają gdzie mają na to ochotę. Coś jedzą, piją, rozmawiają. Chwilami przypomina mi to piknik. Zachód słońca jest tu rzeczywiście piękny. Cała zachodnia strona wzgórza przypomina klif z rozległym obszarem poniżej niego. Coraz ciemniejsze słońce przebija się przez rzadkie obłoki długimi promieniami. Wspaniale oświetla cieniutką wstęgę rzeki Thanlwin, wydłuża cienie. Aby po chwili skryć się w dalekich chmurach niemal na wysokości ziemi. Powoli zapalają się światła, lampki i świece. Zaczynają się nocne modły i medytacje. Rano, w odmiennym oświetleniu, zarówno skała, stupa, jak i budowle zespołu sanktuarium, a także usytuowane na zboczach góry lub sąsiednich wzgórzach, wyglądają inaczej.

Wracamy do postoju ciężarówek aby nie przegapić jakiegoś jadącego na dół. A chyba nie jeżdżą zbyt często, bo turystów jak na lekarstwo. Gdy siadamy w pobliskim baraku w którym

mieści się lokalna restauracja jest prawdziwe oberwanie chmury i na dodatek grzmi. Większość turystów, też siedzi pod tą wiatą i je – głównie zupę. Po chwili ulewy na drodze jest rzeka wody. Po ulewie wszyscy są zapakowani na ciężarówkę i po 45 minutach jesteśmy z powrotem w Kinpun.

Postanawiamy pooglądać wioskę, ale nic tu w zasadzie nie ma. Restauracyjki w większości pozamykane, bo po sezonie. Sklepiki sprzedające jakieś dzemy, chyba lokalna specjalność też pozamykane. To tak jakby zimą przyjechać do Krynicy Morskiej.

Obok tego toczy się wiejskie życie. Domki są takie, że widać jak ludzie w nich żyją. Na podwyższeniu w domku jest mata, gdzie cała rodzina śpi wspólnie. Przed domkiem rodzina ma jakiś sklepik, a to z dżemem (nawet pomidorowym!), a to z betelem, a to robi jakieś placki do jedzenia. W pobliżu płynie rzeczka, a przy niej wielki śmietnik i znowu buszują w nim świnię. Dzieciaki pływają na oponach po rzece w ogóle nie przejmując się syfem.

Na obiad wybieramy się do restauracji Sea Sar, gdzie jemy makaron z wieprzowiną i warzywa z wieprzowiną w smacznym sosie pomidorowym. W całym Kinpun nie ma nic do roboty. Nawet internetu nigdzie nie ma. Wałęsamy się jeszcze trochę po wiosce. Trafiamy na fantastyczne miejsce będące centrum wodociągowej wsi. Jest wielka studnia z milionem wychodzących z niej rurek, które doprowadzają wodę do większych domków, bo chyba inni korzystają z wody w rzece. Mieszkańcy wszędzie dookoła obierają młode pędy bambusa z otoczki, więc w każdym miejscu wsi czuć charakterystyczny ostry zapach bambusa. Nigdzie nie ma żadnych owoców za wyjątkiem pomelo.

Odbywamy jeszcze wieczorny spacer po wsi. Mieszkańcy oglądają w swoich domach-budkach telewizję. Nie jest to zasłonięte więc idąc droga wszystko można do woli zobaczyć. Tam, gdzie restauracja, to prawie jak w kinie. Ludzie oglądają na dużym telewizorze film. Domki nie mają tu żadnej prywatności. Każdy wie co choćby sąsiad ogląda w telewizji.

No nic idziemy spać. Jutro rano jedziemy do Hpa-An.

08.08.2013 (czwartek)

Budzę się o 4:30, ale zaczęło lać za oknem. Deszcze wali niemiłosierni. Istne oberwanie chmury. Ciężko zasnąć jak tak woda łomocze o dach. Oby później nie padało...

Wstajemy o 8 i na werandzie domku w dość sporym deszczu jemy śniadanie. Obsługa hoteliku z głównego budynku nosi jedzenie biegnąc pod parasolką.

Uzgadniamy, że jednak nie pojedziemy do głównego miasta przesiadkowego 15 km stąd na motorkach, tylko jakimś pick-upem. Obsługa się zgadza, przynajmniej nie będziemy mokrzy. Idziemy na główny plac, gdzie czeka już pick-up i wsiadają miejscowi, my też się pakujemy oraz również z naszego hoteliku pewna Hiszpanka. Jedziemy w deszczu do tzw. downtown. Zajmuje nam to 35 minut. Uff na motorkach nie zostałyby na nas ani jedna sucha nitka. Siadamy w knajpce i czekamy na autobus. Nasz „opiekun” z hotelu przyjechał na motorku i teraz czeka aby wsadzić nas w odpowiedni autobus. No to mamy spokój nie musimy rozglądać się za jadącymi autobusami. Po prostu znowu nas dobrze „nadadzą”.

Dalej pada, a my obserwujemy ruch uliczny i ludzi poubieranych w płaszcze przeciwdeszczowe. Inni to nawet na rowerach jadą z parasolkami. W końcu naprzeciw restauracyjki zatrzymuje się samochód, który za 2500 kyatów sprzedaje maszynki do masażu i do tego gratisowo dorzuca zegarek. Dobrze. Nawet tam zaglądam i pokazują mi jak to działa. Oczywiście po paru minutach jest już mnóstwo ludzi obok samochodu i każdy kupuje to urządzone. Głównie w celu otrzymania darmowego zegarka.

O 11 przyjeżdża nasz autobus. Ruszamy. Cały czas, mniej lub bardziej pada. Ale za oknem w krajobrazie coraz więcej wody. Zalane pola ryżowe, wśród których stoją bawoły wodne.

W autobusie każdy ma woreczek w siedzeniu. Woreczek jest dwojakiego użytku. Lokalni mieszkańcy używają go do betelu, z którym po przeżuciu trzeba coś zrobić. Inne wykorzystanie to... woreczek służy do ratowania się przed „niedyspozycją choroby lokomocyjnej”. Jakoś jak tak jadę

to z obserwacji stwierdzam, że sporo osób ma problem z chorobą lokomocyjną.

Po pewnym czasie naszej jazdy w krajobrazie pojawiają się wapienne pagórki. Podobne są do tych widzianych przeze mnie w Wietnamie nad Zatoką Ha Long. Chwilę potem ze zdziwieniem odczytujemy informację że Hpa-An wita. Jesteśmy na miejscu po 2,5 godzinach, a mieliśmy według przewodnika jechać 5! Uff cudnie, bo już zamarzialiśmy od klimatyzacji. Niestety nasze polary zostały w plecakach, które akurat tym razem trafiły do luków bagażowych.

Wysiadamy w centrum Hpa-An i idziemy do pobliskiego hoteliku Braci Soe. Pokoje są więc się szybko kwaterujemy, zbieramy na recepcji informacje potrzebne na najbliższe dwa dni. Następnie odwiedzamy restaurację Lucky, w której jemy obiad: ryż z warzywami i kurczakiem oraz zeberka. Oczywiście darmowy jest rosółek, a na deser rambutany. Potem szybka wizyta w kafejce internetowej i runda po centrum. Niestety market już sprzątają, więc przyjdziemy jutro. Jednak na jednej z uliczek można kupić pyszne arbuzy, którą obierają ze skórki, tną i pakują do reklamówki. Cena 30 groszy... Dalej czas odwiedzić lokalną kawiarnię, ale świeci pustkami, bo już późne popołudnie i mieszkańcy wszystko zjedli. Coś tam jeszcze dla nas się znajduje.

Później trafiamy przed meczet, gdzie sporo stoisk ze słodkościami. Nawet nas czymś zielonym częstują, niczym słodka galaretka.

Kiedy wracamy pod hotel pojawia się tam duża grupa turystów, która właśnie powróciła z całodniowego objazdu po okolicy. I ku naszemu zdziwieniu spotykamy Ariana i Ruuda. A co oni tutaj robią??? Jak widzieliśmy ich nad Inle, to mówili, że raczej przebukują bilety i wrócą do Tajlandii, bo tam jest więcej rozrywek. A tu proszę dotarli również na południe.

O 22 mamy kolejne oberwanie chmury. Ale co tam niech sobie wali deszcz, siedzimy sobie w ciepłutkim i suchutkim miejscu. Czas umilamy sobie filmem z laptopa, aż tu nagle coś na nas kapie... o matko!!! Dach przecieka! I to prosto do łóżka. Przesuwamy lekko łóżko, aby się nie zamoczyło. W kilku miejscach woda małymi strużkami leci po ścianie. Na szczęście deszcz trochę zelżał. Oby nas nie zalało w nocy...

09.08.2013 (piątek)

Wstajemy o 7 rano. Nie pada. Idziemy na śniadanie do pobliskiej lokalnej kawiarenki wraz z Hiszpanką Amaią. Miejscowi w owej kawiarni jedzą na potęgę. Zrobione jedzenie w mig znika. Próbuje między innymi pao (pampuszek) z kapustą i jajem, smacznego rollsa nadzianego bananami.

O 8:30 wsiadamy z Amaią do tuk-tuka i jedziemy najpierw do Kawgoon Cave, gdzie są jaskinie z wrytymi w skałach płaskorzeźbami. Krajobrazy dookoła piękne i nawet nie pada. Widoki dzięki temu też lepsze. Nawet dzisiaj ładnie widać wapienne pagórki.

Kolejne miejsce to Kyauk-ka-lat, które jest klasztorem z pagodą na skale. Dookoła tego miejsca są góry i zalane przez monsun okoliczne pola. Wygląda jak po powodzi.

Potem czas na ogród 1120 posągów Buddy. Dalej jedziemy pod niewielkie jezioro ukryte pod skałami, górskiego zbocza. Tutaj lokalna młodzież kąpie się na oponach. Tutaj też robimy sobie dłuższą przerwę na lunch w postaci zupy. Nasza wizyta w tym miejscu się przedłuża z powodu ulewy do 1,5 godziny. Przy tej okazji wymieniamy się z Amaią doświadczeniem w pracy nauczyciela. Ona jest biologiem. Mamy te same szkolne problemy...

Gdy przestaje padać jedziemy do Kawka-thaung Cave z kilkoma jaskiniami i niewiarygodnie długim rzędem kilkudziesięciu posągów mnichów naturalnej wielkości.

Ostatnie miejsce to wieś Lakhana, która podobno jest tak malownicza, że bardzo często staje się plenerem filmowym wielu birmańskich produkcji.

Do wioski prowadzi most, a właściwie grobla przez tereny zalane wodą. We wiosce spotykamy bose dzieci wracające pieszo lub na rowerze ze szkoły.

Jest też szczęśliwa świnka, która pasie się samopas i widać, że jest bardzo zadowolona bo cały czas macha swoim poskręcany ogonkiem.

Gdzieś tam w oddali przewalają się nisko ciemne deszczowe chmury. Na szczęście nie pada ponownie. O 16 jesteśmy z powrotem pod hotelem. Nie zobaczyliśmy dwóch dużych i najładniejszych jaskiń, ale te są zamknięte dla turystów w porze deszczowej, bo woda je po prostu zalewa.

Czas jeszcze skoczyć na cudownego arbuza i odwiedzić wieczorem restaurację z indyjskim curry razem z Amaią. Tutaj dostaje się nawet cukierki na deser to popróbowania. Po kolacji żegnamy się z Hiszpanką, bo jutro wraca do Rangun.

10.08.2013 (sobota)

Dzisiaj robimy sobie bardzo spokojny dzień. Do tej pory cały czas byliśmy w drodze i coś zwiedzaliśmy. Kiedyś trzeba chwilę odsapnąć. Stąd też wstajemy dopiero o 9 rano i idziemy na śniadanie. W pokoju obok ekipa naprawiająca dach. Zalało sąsiedni pokój dość solidnie. Dobrze, że tam nie mieszkaliśmy. Nawet materac wyniesiono. Widać, że drewniana rama łóżka też nieźle nasiąkła deszczówką spływająca do pokoju z dachu.

W restauracyjce znowu stawiają nam na stoliku rzeczy które można zjeść, ale ich się nie zamawiało. Są, tam najczęściej smażone na głębokim oleju rollsy, czy nadziewane ciasteczka. Oczywiście na koniec trzeba za to co się zjadło zapłacić, ale są to grosze. Mimo tych dodatkowych przystawek zamawiamy omlet z tostami, a Paweł je ryż z jajkiem i... orzeszkami.

Po śniadaniu wybieramy się na lokalny bazar. Dzisiaj chyba jest szczególnie dzień targowy, bo stosik mnóstwo, a ludzi jeszcze więcej. Część bazaru znajduje się w budynku, a część pod tzw. chmurką. Stosika w budynku są tak blisko siebie, a przejścia są zastawione pakunkami, że trzeba się przeciskać. Udaje mi się znaleźć cukierki i ciasteczka z duriana. Na placu sprzedawane są wielkie ryby i gigantyczne krewetki.

Słońce wyszło zza chmur i świeci cudnie. Nie ma to jak dzień po całonocnej ulewie. Na bazarze cały czas trwa harmider. Nawet korek jest bo utknęły pick-upy z towarem, jakiś autobus, rowerowe riksze wiozące tonę arbułów i wielkie butle z wodą. Jak ci tragarze dają radę to pchać? Są stoiska, które serwują do woreczków różne gotowe potrawy. Mnóstwo stoisk z chińskim badziewiem – czyli plastic is fantastic.

W hoteliku wypożyczamy rowery i jedziemy za miasto. Jedzie się ciężko, bo strasznie wilgotno. Mijamy lokalne wioski, co chwile ktoś nas pozdrawia. Będzie nam tego brakowało w Polsce. Tu każdy każdemu mówi dzień dobry i się uśmiecha. Robimy zdjęcia wapiennym pagórkom. Dzisiaj ładnie wyglądają dzięki tej pogodzie. Chociaż gdzieś w oddali słychać, że grzmi i ciągną ciemne granatowe chmury.

Na przedmieściach Hpa-An trafiamy na małą dróżkę z domami na palach. Widać, że tu mieszka biedota. Domy całe są obwieszane suszącym się ubraniami. Jest kolorowo i dużo dzieci biega wokół domów. Kiedy się tam pojawiają zaczynają nam pozować do zdjęć. Pojawiają się też dorośli, którzy również chcą być uwiecznieni na zdjęciach. Potem mamy im pokazywać na monitorce aparatu jak wyszli.

Po trzech godzinach wracamy, wykończeni. Mam całą koszulkę mokrą. Bierzymy prysznic i idziemy na obiad. Trafia nam się dość ostra kuchnia malajska. Załagodzi to kupiona wcześniej papaja z limonką. Mogłabym to jeść bez opamiętania.

Jutro z samego rana ruszamy do ostatniego miejsca w Birmie – do dawnej stolicy – Rangun.

11.08.2013 (niedziela)

Pobudka o 6:30. Oczywiście całą noc lało, ale nie tak aby nam ciekło do pokoju. O 7 jesteśmy w punkcie sprzedaży biletów i zarazem na przystanku. Autobus nadjeżdża o 7:15. Gdy

chcemy małe plecaczki wpakować do luków nad siedzeniami, okazuje się że to niemożliwe. Są już wypełnione wafelkami z Tajlandii. Cały autobus jest pełen wafelków! Pod siedzeniami też pudełka. Masakra. Przez prawie godzinę nie możemy wyjechać z Hpa_An. Przystajemy co chwilę, a to jeszcze ktoś dosiada, a to jakiś pakunek jest nadawany, to jeszcze jednej kobiecie dowożą z domu leki na drogę. Mamy też postój w punkcie ksero, gdzie kopiowane są nasze paszporty. Chyba jakaś część trasy autobusu prowadzi przez region niedostępny dla turysty. To w końcu lądujemy na stacji benzynowej aby zatankować. No i nareszcie możemy ruszać w drogę do Rangun. Żegna nas deszczowy krajobraz tonących we mgle wapiennych pagórów. Po drodze coraz bardziej pada. Na polach znowu stada bawołów wodnych. W końcu za Kyaktiyo robimy postój „na zupę”. W przydrożnym barze stoi już kilka innych autobusów dalekobieżnych. W środku kłębi się tłum podróżnych, zamawiających jedzenie. Idziemy do toalety, a tu zdziwienie... Pani w toalecie jak mnie widzi, to od razu prowadzi do toalety zamykanej na klucz. Otwiera mi potem czeka, aż wyjdę z kabiny, odkręca mi kran, podaje papier. Co to jest??? dziwnie się czuję. Jakaś toaleta dla zagranicznego turysty, no bez sensu...

Zabieramy się za zupę warzywną podaną w glinianych garnkach. Po jedzeniu szybciotko wsiadamy do autobusu, ale ciekawe bo nie ma z 10 podróżnych, a mimo wszystko odjeżdżamy. Nie ma nawet bardzo grubej pani, która zajmowała dwa fotele. Właściwie ona jeden fotel, a drugi jej torebka. Jadła na potęgę. A inni podróżni, którzy wsiadali po drodze musieli siedzieć na dostawianych w przejściu plastikowych krzeselkach. Paweł sobie żartuje, że może zniknęła, bo wjeżdżamy na płatną drogę, gdzie przy wjeździe waza autobusy i może ona za dużo ważyła. Dowcip Pawłowi się udał. Po przejechaniu płatnych bramek okazało się, że gruba pani i kilka innych osób z autobusu jadą na niewielkiej przyczepce przodem... śmiesznie wyglądają tak napakowani na tej przyczepce. Pick-up przewiózł ich ze 200 metrów za bramki, a autobus dzięki temu ważył mniej i zapłacił mniejszą opłatę. No tak skoro autobus po dach wypełniony jest wafelkami....

Na jednym z policyjnych punktów kontrolnych, policjanci w ramach jakiejś łapówki dostają kilka paczek wafelków. Gruba pani zaczyna potem długo nawijać i pokazuje na schowki nad siedzeniem. No chyba też chce wafelki. W końcu gość z obsługi autobusu daje jej całą paczkę wafelków. Kobieta marudzi, bo chce inne – lepsze. Oczywiście jej wymieniają.

Do Rangun docieramy o 14:20. A jednak o czasie... a już myślałam że w takim tempie to do wieczora nie zajedziemy. Trafiamy na północny dworzec autobusowy. Położony daleko od centrum. Setki autobusów (to nie przesada) powciskane są w boczne uliczki. Szybko bierzemy taksówkę do wcześniej zamówionego hoteliku. Trafia nam się chyba najgorsza taksówka w całej Birmie. Cud, że w ogóle jeszcze jedzie. Najpierw jeszcze odwozimy jedną pasażerkę, a potem taksówkarz śmiga już do centrum. Po godzinie jazdy przez zatłoczone momentami ulice docieramy do celu.

Pierwsze minuty w Rangunie pokazują miasto, jako stare zapyziałe miejsce ze starymi, obdrapanymi blokami. Brud i syf na ulicach, ale dużo miejsc jest w trakcie budowy. Rangun się odnawia i rozbudowuje.

Rangun to stolica Birmy od 1886 do 2005. Położona we wschodniej części delty rzeki Irawadi, nad rzeką Rangun, w prowincji Rangun. Ludność: 5,210 mln mieszkańców (2004). Główna ulica miasta to Anawratha. Centrum gospodarcze i kulturalne kraju. Międzynarodowy port lotniczy - Mingaladon. Główny port morski kraju. Uniwersytet założony w 1920 oraz inne wyższe uczelnie. Instytut Buddyjski i Biblioteka Narodowa.

Pierwsi osadnicy pojawili się w tym rejonie w VI wieku skupiając się wokół pagody Szwedagon. Z przyświątynnej osady powstało miasto Dagon. W 1755 król Alaungpaja zajął miejscowość i nadał jej nazwę Rangun. W latach 1886–1947 był stolicą skolonizowanej przez Anglików (kolonizacja w 1852) Mjanmy. W 1948 r. w mieście proklamowano niepodległość kraju. W roku 2005 stolica państwa została przeniesiona do miasta Naypyidaw.

W 1755 roku król Alaungpaja nadał miastu Dagon nową nazwę Yangon, która dosłownie oznacza „koniec walki/wojny”. Po zajęciu Birmy przez Brytyjczyków upowszechniła się angielska forma Rangoon (nawiązująca prawdopodobnie do wymowy nazwy miasta w języku arakańskim),

która została zapożyczona także do innych języków zachodnich. W 1989 roku junta wojskowa przyjęła angielski zapis nazwy Yangon zamiast dotychczasowej formy Rangoon, bardziej zbliżony do wymowy birmańskiej.

Hotel jest niedaleko China Town. Dostajemy zamówiony pokój 1 osobowy, bo jak zamawialiśmy nie było dwuosobowych, ale łóżko jest takie że spokojnie damy radę. Ten pokój za 15 dolarów, to najlepsza cena do oferowanej jakości. No i jeszcze blisko centrum. Po chwili już idziemy do Bogyoke Market, bo wkrótce ma zostać zamknięty. Jutro w ogóle jest nieczynny. Musimy się więc śpieszyć.

Idąc uliczkami trzeba uważać i patrzeć nie dookoła, tylko pod nogi. Jeśli w ogóle jest chodni, to są w nim dziury na metr głębokie i pół metra szerokie. Mogą być puste, albo może w nich płynąć ściek – taki rynsztok. Śmierdzi momentami, że hej. Uliczki są tematyczne – albo sprzedają farby, a to na innej same sklepy z rurami, w kolejnej same żelastwo, trafiamy też na uliczkę samych okulistów.

Na ulicach ruch jak w ulu. Chodniki lub miejsca w ich pobliżu zajmują setki straganów ze wszystkim. Od części metalowych po jedzenie.

Na markecie Bogyoke też jeszcze ruch, ale niektóre sklepiki już się składają. Są tu rzeczy dla tubylców – ubrania, plastikowe badziewie, jak i dla turystów – czyli cała masa pamiątek, czy też biżuterii. Udaje nam się kupić jeszcze parę rzeczy z laki, które okazują się być tu tańsze niż gdzie indziej w Birmie. Spodziewałabym się tutaj cen zdecydowanie wyższych. Poza tym pomiędzy stoiskami całkiem sporo turystów. W jednym ze sklepików udaje nam się kupić za 20 dolarów dzbanek, dwie „filizanki: i tackę z laki. Cena wyjściowa była 35. ale twardo stałam przy swojej cenie i w końcu jak zaczęliśmy wychodzić, kobieta sprzedała mi za moją cenę. Bosko.

Czas na obiad. Trafiamy na jedną z małych uliczek, gdzie znajduje się fajna restauracja. Zamawiamy ryż z warzywami. Podchodzi się do głównej lady i wybiera dodatki warzywne, które ładują na osobnych talerzykach – brokuły, fasola, okra, kalafior, soczewica – to nasz wybór na dzisiejszy obiad.

Potem idziemy do dużego sklepu. Trafiamy na sklep prawie jak galeria handlowa w Polsce. Ceny wyższe niż u nas. Matko, kto to kupuje? Market spożywczy, to głównie towary sprowadzane z Malezji, czy Tajlandii.

Czas wracać, bo w Rangunie też za bardzo nie ma latarni. Światło dają głównie sklepiki, ale i one po 19 w większości się zamykają. W ciemnościach nie trudno wpaść w dziury chodnikowe. Nie chciałabym wpaść do takiego rynsztoku. W najlepszym razie wybić sobie zęby można. Jutro cały dzień w Rangunie... niestety ostatni w Birmie.

12.08.2013 (poniedziałek)

Pobudka o godzinie 8. Ups, niestety pada. Postanawiamy więc na razie nie wstawać, tylko jeszcze sobie pospać. Ostatecznie pokój opuszczamy o 10. Deszcz zdecydowanie zelżał, ale parasolka i tak się przydaje.

Najpierw idziemy poszukać miejsca na śniadanie. Na rogu dwóch ulic trafiamy na mały bar z kurczakowymi pierożkami, na śniadanie mogą być. Siadamy na plastikowych krzeselkach i oczywiście pojawiają się dzieci z obsługi. Jakoś tego nie mogę przetrwać. W Birmie mam wrażenie, że bardzo dużo dzieci i młodzieży pracuje.

Potem włączymy się uliczkami. Trafiamy na podziemny bazar mięsno-rybny. Jak głosi napis FRESH-CLEAN-HYGENIC (świeżo, czysto, higienicznie). Żadne z tych trzech słów nie pasuje. No nie może słowo ŚWIEŻE. Syf dookoła totalny, choć nie śmierdzi. Na różnych stoiskach leżą obłupane z mięsa kości. Wygląda to dość przerażająco. Jak widać targ jest już mocno przetrzebiony, Chyba parę godzin temu było tu bardzo dużo towaru, ale został sprzedany. Na stoiskach z rybami można znaleźć wielgachne krewetki. Tu i ówdzie, ktoś sprząta stoisko zmywając krew i nieczystości wiadrami wody. Harmider niezły. Od razu odechciewa mi się mięsa. Po tym targu,

można łatwo zostać wegetarianinem.

Po targu zaliczamy kilka handlowych uliczek z tzw. porannym marketem. Ludzi mnóstwo, zarówno sprzedających i kupujących. Część stoisk weszła na jeden pas ulicy. Auta jadą bokiem, bo ważniejszy jest targ. Pomiędzy tym wszystkim kluczą ludzie.

Trafiamy też do dwóch kolorowych chińskich świątyń, synagogi i mijamy tutejszy meczet oraz kościół. W niewielkiej odległości od siebie wielkie zróżnicowanie religijne. Na ulicach też kolorowo wśród ludzi, bo są osoby ubrane w stroje hinduskie, albo też muzułmanie w swoich długich szatach. Mężczyźni w charakterystycznych muzułmańskich brodach.

Niedaleko naszego hotelu znajduje się port rzeczny. Tutaj Irrawadi jest już bardzo szeroka i widać wielkie statki, które cumują przy nabrzeżu. Co chwilę za portowym murem znikają kolejne ciężarówki, które przywożą i wywożą towar.

China Town nie przypomina klasycznej chińskiej dzielnicy. Ale jak się dobrze przyjrzeć ludziom, to wiele osób które mijamy ma chińskie rysy twarzy.

Budynki w Rangunie są w opłakanym stanie. Porośnięte mchem, brudne i ogólnie brzydkie. Zaułki najczęściej paskudnie śmierdzące ze śmieciami i szcurami. Jakies takie zapomniane.

Idziemy w końcu do Sule Paya, która jest tak obudowana sklepikami i usługowymi mini zakładkami, że trudno zrobić świątyni zdjęcie. W zasadzie w środku nie robi wrażenia. A może to po prostu takie wrażenie, bo tych świątyń już tyle w Birmie widzieliśmy. Obok jest kilka ładnie wyglądających budynków kolonialnych z zielonym (czystym, idealnie przyciętym) placem z pomnikiem niepodległości.

Na przecięciu ważnych arterii śródmieścia Rangun – Sule Pagoda Rd. i Maha Bandoola Rd., pośrodku dużego ronda stoi pagoda Sule. Jedna z „Wielkiej Trójki” – obok najważniejszego dla Birmańczyków sanktuarium Szwedagon.

Pagoda Sule jest niemal tak stara jak stupa Szwedagon. Ma podobno około 2 tys. lat, chociaż jej obecny kształt jest znacznie późniejszy. To nie tylko obiekt sakralny, ale i miejsce spotkań mieszkańców. Centralnym obiektem tej świątyni, której nazwa pochodzi od ducha Sule strzegącego wzgórza Szwe Dagon wznoszącego się ponad 2 km na północ od niej, jest 48-metrowej wysokości stupa – zedi Kyaik Athok. W języku mon znaczy to Święty Włos. Zawiera bowiem w sobie relikwię Buddy – jego włos. Jest pokryta 24 – karatowym złotem i widoczna z daleka. Stupa ta nie tylko zbudowana została na schodkowej podstawie ośmiokąta symbolizującego liczący tyle dni buddyjski tydzień, ale niemal cała, aż do dzwonu na jej szczycie, jest ośmiokątna. Co nawiązuje do tradycji birmańsko-buddyjskiej i potwierdza jej wieloletnie dzieje. Według legendy początek dali jej mnisi-misjonarze, którzy około 230 r. p.n.e. przybyli tu z Indii z włosiem

Do pagody Sule wchodzi się, oczywiście boso, nawet bez skarpetek, podobnie jak do wszystkich buddyjskich w tym kraju. W upalne dni bywa to niekiedy bolesne, bo rozgrzane kamienie parzą stopy, a żwir i gruz ruin potrafi je zranić. Ale taka jest cena za możliwość poznawania tych, przeważnie wspaniałych świątyń. I tak samo jak w Szwedagon wejście prowadzi po schodach przez pawilon ze sprzedawcami pamiątek. Ale także bawiącymi się w nich dziećmi oraz rozmawiającymi ze sobą kobietami. Stupę Kyaik Athok otaczają mniejsze stupy i pagody – kaplice z niezliczonymi posągami Buddów. Są też między nimi pięknie zdobione i złożone studnie z ołtarzykami.

Czas w końcu na jakiś obiad. Niestety tylko Paweł je obiad, bo pan kelner coś sobie o moim zamówieniu zapomniał. Udaje mi się chociaż wypić mrożony 3-warstwowy napój z arbuza, jabłka i papai.

Po obiedzie na chwilę wracamy do hoteliku, aby o 17:30 pojechać do Shwedagon Paya. To najważniejszy kompleks świątynny w Birmie. Znajduje się tu ogromna złota świątynia. Złotą Stupę Szwedagon – (Shwedagon Paya) typu zedi – w kształcie odwróconego kieliszka ze szpiczastym zakończeniem wychodzącym z dużej kuli i zakończonym mniejszą, widać z odległości kilku kilometrów. Nawet z obrzeży do niedawna stołecznego Rangun.

Mimo iż ma tylko 98,6 m wysokości. Wzniesiono ją jednak na niewielkim wzgórzu. Pokryta jest 13.153 płytkami złota o łącznej wadze 53 ton (!!!). A kula na szczycie jej iglicy inkrustowana 4351 diamentami ważącymi w sumie ponad 1800 karatów, z których największy ma ich 76. I

niezliczonymi rubinami, szmaragdami, szafirami i topazami. W promieniach słonecznych, ale także w nocnym oświetleniu, daje więc wspaniałe odbłaski.

Stupa ta jest największą i najstarszą budowlą ogromnego, baśniowego wręcz sanktuarium buddyjskiego. Najświętszego miejsca dla Birmańczyków, z których każdy powinien, a przynajmniej marzy o tym, chociaż raz w życiu odbyć do niej pielgrzymkę. Jest to największy czynny zespół sakralny jaki znam. Składa się bowiem z 82 budowli, w tym 59 opisanych na jego planie: mniejszych stup, pagód, kaplic, sal modłów, pawilonów oraz niezliczonych posągów i rzeźb, o detalach architektonicznych nie wspominając.

Wyglądają one jak powiększone niekiedy setki, nawet tysiące razy dzieła niezwykle utalentowanych jubilerów. Już tylko po to, aby móc je zobaczyć, warto przylecieć do Birmy. A przecież zasadnie nazywają ją krajem 100.000 stup. W którym są także niezliczone pagody, nie mówiąc już o klasztorach, posągach Buddy i innych świętych mężów oraz miejscach kultu. Wiele z nich jest przepięknych oraz cennych z historycznego i architektonicznego punktu widzenia. Ale Szwedagon jest tylko jedna. Niepowtarzalna, wspaniała, wręcz oszałamiająca. Jak opowieść z najpiękniejszej wschodniej baśni.

Wiadomo, że to wokół tej stupy powstała osada Dagon, później miasto, które stało się dziś 5-milionowym Rangunem i na prawie 120 lat stolicą Birmy. I nadal największym jej miastem oraz ośrodkiem gospodarczym. Ale początki Szwedagon są przedmiotem sporów. Według legendy stupa ta ma 2,5 tys. lat. Zdaniem archeologów wzniesiono ją nie wcześniej niż w VI, ale najprawdopodobniej dopiero w X wieku n.e. Przy czym obecną postać otrzymała w XV w, w czasach królowej Shinsanbu.

Poczynając od 1769 roku, gdy jej renowację przeprowadził król Hsinbyushin. Była bowiem wielokrotnie, zarówno wcześniej jak i później, grabiona przez najeźdźców – bliższych i dalszych sąsiadów. Ale również, w 1612 roku, przez portugalskiego awanturnika Philipa De Brito. Jak łakomy kąsek stanowiła może świadczyć fakt, że wspomniana królowa Shinsanbu ofiarowała na pokrycie tej stupy tyle złota, ile sama ważyła. Zaś jej zięć dorzucił jeszcze równowartość wagi jego żona Dhammazedii oraz czterokrotność własnej.

Rabusie nie byli w stanie zagrabić wszystkiego. Wysokie części stupy zawsze były trudno dostępne. Ponadto według legend i przekazów ogromne skarby kryją się w jej wnętrzu.

Chociaż oprócz złota i drogich kamieni, najcenniejszym tutejszym skarbem jest 8 włosów samego Siddhartha Gautamy Buddy. Który według legendy miał je ofiarować za otrzymane ciasteczka ryżowe. Sposób w jaki ten dar z VI w p.n.e. trafił do przyświątynnej osady nad rzeką Yangon, też osnuty jest legendami.

Współcześnie Szwedagon Pagoda o obwodzie 460 metrów, otoczona 64 mniejszymi stupami i dużą marmurową platformą oraz cały otaczający ją zespół sanktuarium, położony jest niemal w środku miasta. Chociaż blisko 2 km na północ od jego obecnego centrum i prawie 3 km od brzegu rzeki Rangum (Yangon). Zajmuje spory prostokąt otoczony murami. W jego pobliżu jest duży Park Ludowy utworzony na miejscu wyburzonych w 1985 roku slumsów. Spośród czterech wejść – po jednym z każdej strony świata – głównym jest południowe, od Shwedagon Pagoda Road.

Strzegą go dwa ogromne, około 8-metrowej wysokości posągi legendarnych pół lwów – pół smoków. A także siedzący Strażnicy Świątyni ciemno zielonego koloru, zdobieni złotymi detalami. Już przed wejściem na schody wiodące do wysokiej i szerokiej hali – galerii z długim ciągiem sklepów, trzeba zdjąć buty. Miejsca kultu w Birmie zwiedza się bowiem boso. I to dosłownie. O skarpetkach nie może być nawet mowy. I to cały „święty” obszar, a nie tylko otoczenie stup, wnętrza pagód, sal modłów itp. Obowiązuje to nie tylko pielgrzymów, ale również turystów. W Szwedagon wszędzie są gładkie płyty lub stopnie schodów. Ale w innych obiektach sakralnych – nie dotyczy to chrześcijańskich, np. katedry rzymsko-katolickiej św. Marii – Saint’s Mary w Rangunie – boso trzeba chodzić także po, nierzadko, ostrym żwirze, ruinach itp.

Inaczej nie da się jednak poznać tego, co w Birmie jest najciekawsze. Z rozległego przejścia wychodzę na zespół wewnętrznych dziedzińców sanktuarium. Na wprost świątyni jednego z Buddów – Oświeconych, Konagamana Shrine. Za nią dopiero znajduje się słynna i najważniejsza Złota Stupa Szwedagon otoczona jest małymi stupami – kapliczkami z licznymi posągami buddów,

figurami i zdobieniami. A w drugiej linii także prostymi, wysmukłymi okrągłymi stupami osadzonymi na sześciobocznych, wspinających się do góry jak schody podstawach. I jedne i drugie są złożone.

Nagle znajduję się w otoczeniu dziesiątków baśniowych obiektów kultu. Przed kapliczkami i posągami wierni zapalają świece lub kadzidła, składają kwiaty i owoce. Z ozdobnych studni nalewają do kubków wodę i polewają nią figury. W wielu miejscach, zarówno wewnątrz hal modlitewnych z ołtarzami i rzeźbami buddów, jak i na placach przed nimi, jedni wierni modlą się żarliwie. Inni po prostu siedzą w cieniu, niektórzy jedzą, zajmują się dziećmi. Przychodzą tu także matki z niemowlętami.

Szczyt iglicy Złotej Stupy stanowi podobno 1500 – małych złotych i srebrnych dzwonów. To właśnie ta kula pokryta jest największą ilością brylantów i kamieni szlachetnych, chociaż nie brak ich również na wielokrotnie większej, stanowiącej podstawę tej iglicy. Ją ozdobiono 1100 diamentami o łącznej wadze 278 karatów oraz 1383 innych kamieni szlachetnych.

W środku tysiące ludzi, ale i dziesiątki mniejszych kapliczek. Ludzie się modlą. Polewają figurki wodą. Przed wejściem tradycyjnie ciągną się w długich korytarzach stragany z pamiątkami. Strasznie ten buddyzm w Birmie skomercjalizowany. Wszędzie stoiska z „dotacją”, albo wielkie szklane skrzynie do których wrzuca się pieniądze. Jakby z tych wszystkich „donation box” z całej Birmy, wyjąć pieniądze, to uzbierałaby się ogromna suma.

Powoli zapada zmierzch, a świątynia świeci złotem, bo oświetlają ją reflektorami. Oczywiście ludzie nie tylko się modlą ale i śpią, rozmawiają przez komórki. Część kłęczy przed główną złotą świątynią, ale inni medytują w małych kapliczkach dookoła świątyni, są tu zwykli mieszkańcy, ale i mnisi, czy też zagraniczni turyści. Miejsce ma swój klimat. Po prawie dwóch godzinach wracamy do centrum na kolację.

Dzień kończymy pakowaniem plecaków i zasypiamy dopiero po północy.

13.08.2013 (wtorek)

Budzik wyrywa nas z krótkiego snu o 5:10. Taksówka pojawia się pod hotelem punktualnie o 5:30. Jedziemy na lotnisko. Tak miasto zdecydowanie się rozbudowuje. W wielu miejscach stare wymieniane jest na nowe. Jednak to przebudowa potrwa jeszcze dobre kilka lat. Mknijemy właśnie szeroką nową arterią. Ruch jeszcze niewielki. Miasto dopiero się budzi. Obrzeża zdecydowanie ładniejsze i czystsze. Ludzie w okolicznym parku uprawiają poranny jogging.

Po 25 minutach docieramy na lotnisko. Szybko przejechaliśmy przez miasto. To chyba zasługa małego ruchu i szybkiej arterii. W maju były tu 27 igrzyska Azji Południowo-Wschodniej, więc wybudowali sobie szybką drogę w Rangunie.

Na lotnisku wymieniamy resztę birmańskich kyatów na dolary, oddajemy bagaż, przechodzimy odprawę paszportową. Spodziewaliśmy się opłaty „wylotowej”, ale nic nie płaciliśmy więc albo ją zlikwidowano, albo jest już w cenie biletu.

Lotnisko też dopiero budzi się do życia. Nawet większość stoisk z pamiątkami, gdzie przebiecie cenowe jest gigantyczne, też jeszcze pozamykana. Stoiska są tylko przykryte fragmentami materiału.

O 8:15 jesteśmy w samolocie, a o 8:40 samolot startuje. Przed nami około 2,5 godziny lotu do stolicy Malezji Kuala Lumpur. Musimy pamiętać aby na miejscu dodać jeszcze 1,5 godziny różnicy w czasie. Samolot leci nad rozległą deltą Irrawadi.

Koło 12:30 mieliśmy lądować, ale ostatecznie lądujemy pół godziny później, bo w Kuala Lumpur zrobił się korek lotniczy i trzeba było odczekać swoje w podniebnej kolejce.

Właśnie jeden za drugim wylądowało kilka samolotów Air Asi i w punkcie imigracyjnym zrobił się wielki korek ludzi. Do okienka trzeba niestety długo czekać. Ci ciekawe przy każdym z okienek pobierają od podróżnych odciski obu palców wskazujących. Pędzimy po bagaże. Tyle trwało czekanie w kolejce, że bagaże wszystkie już przybyły i obsługa musiała je zdjąć z

taśmociągu. Pawła plecak jest trochę mokry i pachnie (śmierdzi) zupą.

Jedziemy godzinę autobusem na dworzec Sentral, tam zatrzymujemy się na chwilę w Burger Kingu na jedzenie i wsiadamy do kolejki, aby dojechać na dworzec Petaling. Krajobraz w Kuala Lumpur całkiem inny niż w Rangunie. Tu wielkie nowoczesne wieżowce, a w Rangunie tak mizernie. Mijamy wieżę telewizyjną Menarę, Petronas Tower, gdzie byliśmy cztery lata temu.

Kobiety w chustach, bo Malezja jest muzułmańska. Znika betel do żucia, ale teraz masowo pojawiają się papierosy. Już nikt się do mnie nie uśmiecha, ani nie mówi dzień dobry.

Na dworcu Petaling kupujemy bilet na kolejny autobus do Jerantut. Bilet mamy dopiero na godzinę 18, czyli za półtorej godziny. Szkoda, że nie ma nic wcześniej. Siedzimy więc pod wiatą przystankową i czekamy. Przynajmniej w Malezji są normalne literki i można sobie poczytać, a nie to co w Birmie – dziwaczne fontazie.

Punktualnie o 18 autobus odjeżdża. W autobusie dużo miejsca, bo foteli jest na 40 osób. Widoki mamy za oknami na wieżowe Kuala Lumpur. Jak widać cały czas powstają nowe wieżowce, Ciekawe ile wieżowców powstało przez te cztery lata od naszego poprzedniego pobytu tutaj.

Niestety po pół godzinie mamy przerwę. Okazuje się, że autobus ma awarię i nigdzie dalej nie pojedzie. Musimy poczekać aż pojawi się nowy. Dobrze że autobus zepsuł się tuż przy wyjeździe ze stolicy. Czekamy tylko pół godziny i pojawia się taki sam autobus. Pakujemy się wszyscy do środka i odjeżdżamy. Szybko zapada zmierzch. Droga raz w górę raz w dół. Niewiele widać, bo wkrótce zapadają ciemności.

Do Jerantut dojeżdżamy o 21:40. Idziemy do pobliskiego guesthousu, który rezerwowaliśmy jeszcze z Rangunu. Niestety 15 minut mija, ale na recepcji nie ma nikogo. Chodzimy korytarzami, ale pusto. Na tablicy w recepcji jest kartka z naszą rezerwacją. Postanawiamy pójść do innego hoteliku. Wraz z nami idzie poznana w autobusie Amerykanka. Trafiamy do Sri Emas. Całkiem fajne miejsce – pokoje z klimatyzacją, śniadanie serwowane rano w restauracji po drugiej stronie ulicy. Hotel połączony jest z agencją turystyczną, która organizuje wycieczki do parku narodowego Taman Negara, do którego zmierzamy. Lepiej trafić nie mogliśmy. W końcu normalne ceny za nocleg – 10 dolarów za pokój. Nie to co 20 dolarów w Birmie, często za mało ciekawe warunki.

Idziemy do pokoju, bo jesteśmy zmęczeni. Trzy minuty od wejścia do pokoju, przez środek pędzi wielgachny karaluch. Próbuję go zamordować, ale skubany przeciska się szparą między podłoga i drzwiami znikając w siną dal na korytarzu. W sumie niezłe, bo to pierwszy karaluch w tym roku!

Teraz spać, wiemy że jutro rano przed 8 mamy być w restauracji, bo obok otworzą biuro, gdzie załatwimy transport do Taman Negara łódką po rzece.

14.08.2013 (środa)

Ble... pobudka o 7:15. Pawłowi przypomina się, że jesteśmy po zmianie czasu. Na birmański jest właśnie 5:45. Jeszcze bardziej chce nam się spać. No cóż trzeba się zwlec z łóżka. Przechodzimy przez drogę bo tam mieści się biuro wycieczek do parku narodowego i restauracja.

Miasteczko mimo tego, że już 8 jeszcze śpi. W Birmie o tej porze już by żyło. Jerantut ma domy pomalowane na wściekle kolory – niebieskie, fioletowe, różowe.

Po paru minutach otwiera się punkt turystyczny i szybko załatwiamy formalności – czyli wstęp do parku, płynięcie łódką. Potem siadamy w restauracji na hotelowym śniadaniu. Cud są 4 grzanki i jajecznica... w końcu nie jest to omlet. W tym czasie schodzą się inni turyści którzy zabierają się za załatwianie wjazdu do parku.

Po śniadaniu wraz z całą grupką zostajemy zapakowani do busików i jedziemy około 20 minut na przystań gdzie najpierw odbieramy pozwolenia na wstęp do parku i możliwość robienia zdjęć. Potem wsiadamy do łódek i przez prawie trzy godziny płyniemy w górę rzeki. Po obu stronach coraz ładniejszy las deszczowy. Pojawiają się wysokie drzewa i porastające je niczym

dywan zielone pasożyty. Widzimy też wodną jaszczurkę znacznych rozmiarów.

Po dopłynięciu do Taman Tahan. Szukamy noclegu. Najczęściej wszystko jest wypełnione. Wybieramy ostatecznie hotelik Abot, gdzie jest naprawdę ładnie i jest klimatyzacja. Ceny noclegów w całej miejscowości praktycznie takie same. A standard nie do porównania z tym birmańskim.

Postanawiamy pójść na obiad do Wan Restaurant, która jest pływającą łódką na rzece. Chyba jest niski poziom wody, bo aby dostać się do restauracji, trzeba przejść spore kamieniste nabrzeże, które przy dużym stanie wody jest zalane. Zjadamy obiad z... omletem, a co tam „dawno” nie było jajek.

Po obiedzie przepływamy na drugą stronę rzeki Tembling i robimy małe kółko po lesie deszczowym.

Trasy są zrobione sztucznie. Są to podesty na niewielkich palach. Przynajmniej ścieżka nie zostanie zarośnięta przez szybko rosnący las. Wszędzie dookoła gęsta zieleń z lianami i 50 metrowymi drzewami. Spotykamy stadko małp, bażanty, mrówki, które rozdrabiały drewno z patyczków i zanosily fragmenty pod ziemię do swojego „gniazda”. A wszystko to pod nadzorem wielkich mrówek żołnierzy z wielkimi szczypcami. Jak próbowałam dać im patyczek, to było czuć że w tych szczypcach mają moc. Miliony mrówek przy pracy to i słycać odgłos chrupania. Bardzo ciekawe zjawisko. Dalej były mrówki giganty 2,5 centymetrowe. Spotykamy też jaszczura i wiewiórki oraz śmiesznie szczekającego tzw deera. Ten deer to jak połączenie jelonka i psa. Dziwnie wygląda. Na dodatek ma wystające po obu stronach pyska kły. Tak na około 1 cm.

Potem wracamy do Kuala Tahan. Tak na marginesie słowo „kuala” oznacza ujście. Czyli nawet stolica Kuala Lumpur to po prostu Lumpurujście.

O 20:30 mamy zamówione nocne safari samochodem. Zobaczymy czy to coś jest warte. Auto przyjeżdża punktualnie, ale na pace siedzi już kilka osób. Dla nas nie am tam miejsca. Przewodnik z wielką lampą pakuje nas na dach jeepa. No tak jeszcze nie jechała. Na początku trochę się spinam, aby nie zjechać z auta. Moje nogi dyndają na przedniej szybie jeepa. Siedzę sobie obok „tropiciela”, który wielkim reflektorem świeci po drzewach, kablach energetycznych w poszukiwaniu nocnych zwierzątek.

Jedziemy do palmowego gaju i w sumie przez 2,5 godziny jazdy najczęściej widzieliśmy w gaju.... krowy. Hehe. Oprócz tego trafiliśmy na sowę oraz dwa kotopodobne stwory, które siedziały w koronie palm. Ciekawie wygląda gaj palm oleistych nocą. Mimo że nie spotykamy oszałamiającej ilości zwierząt, to warto było pojechać dla samej jazdy nocnej an dachu jeepa.

Ponadto przez cały czas rozbijały się o mnie jakieś nocne robale, które ciągnęły do oświetlonego reflektora. Ale warto było.

15.08.2013 (czwartek)

Wstajemy o 9 i od razu idziemy cosik zjeść na pływającej restauracji. Wybieramy lokalne burgery z wołowiną, ale są dość małe i zamawiamy jeszcze po kolejnym.

Po śniadaniu przepływamy na drugą stronę rzeki, aby odbywać dzisiaj właściwy spacer po Parku Narodowym Taman Negara. Park Narodowy Taman Negara to prawie 4,5 tysiąca kilometrów kwadratowych dziewiczej dżungli, która rośnie tu nieprzerwanie od 130 milionów lat (podobno jedna z najstarszych dżungli świata). Park oferuje różnorodne szlaki trekkingowe, od kilkugodzinnych po wielodniowe, w tym możliwość wspięcia się na najwyższy szczyt kontynentalnej Malezji, Gunung Tahan (2,187 metrów). Można także dotrzeć do wioski Orang Asli, prymitywnych plemion żyjących na tych terenach od tysiącleci. Interesujące są również nocne spacery po dżungli, rafting oraz wyprawy do wodospadów. Taman Negara, co w dosłownym tłumaczeniu z malajskiego oznacza „park narodowy”.

Po drodze spotykamy tutejsze niebieskogłowe „bażanty”, jaszczurki, wiewiórki. Wczorajsze miejsce, gdzie miliony mrówek pracowały, dzisiaj jest opustoszałe. Otwory prowadzące pod ziemię zostały szczelnie zaklejone. Dżungla robi się coraz gęstsza i gdyby nie gotowe ścieżki, nie dałoby

się przejść. Tu nawet na szlaku trudno zbroczyć, bo dookoła taka gęstwina jest. Idziemy przez las z ogromnymi drzewami, które mają po 50 metrów wysokości, a proste są niczym struna. Wielkie bambusy też nam się trafiają. A to na ścieżce nagle pojawia się szczekający deer, który z naszej obecności nic sobie nie robi, tylko po prostu idzie sobie dalej w siną dal.

Idziemy do Kanopi Walkway. To jest dopiero frajda, aby chodzić na wiszących mostkach hen wysoko w koronach drzew, gdzieś na wysokości 9-10 piętra, czyli około 30 metrów nad ziemią. Kiedy patrzy się w dół to jak z jakiegoś wysokiego piętra wieżowca. Trochę można się przestraszyć zwłaszcza, że owe linowe mostki trochę się huśtają.

Z Kanopi Walkway idziemy na pagórek Bukit Teresik, który ma około 300 m n.p.m. Wejście na niego to jest dopiero horror. Niby tylko 300 metrów do góry, ale jest tak gorąco i wilgotno, że człowiek jest cały mokry. Na mojej koszulce nie ma ani jednego skrawka suchego. Mogę nawet wyżywać z potu koszulkę.

Schodzimy w dół, całkiem inną trasą. Znikają pomocne chodniki, teraz pojawia się normalna górską trasą. Szlak jest masakrą. Trzeba pokonywać leżące drzewa, wielkie korzenie. Mam wrażenie, że droga nie ma końca. Gdy schodzę na dół okazuje się, że wertepów jest jeszcze dwa kilometry. Matko droga co za trasa. Idę i idę, kolana już mnie bolą od wcześniejszych setek schodów, a teraz tego pioruńskiego zejścia.

W końcu docieramy nad rzeczne kąpielisko. Marzę w tej chwili o jednym aby zanurzyć się w zimnej rzece i schłodzić kolana i stopy.

Później wracamy i mijamy wielkiego jaszczura, który szybko ucieka w zarośla. Wracamy po raz kolejny do Kuala Tahan zmęczeni i głodni. Czas się posilić, a tu niespodzianka. Tylko jedna pływająca restauracja jest czynna. Podobno jest jakieś święto wypadające tydzień po zakończeniu ramadanu. Na skrzyżowaniu dróg jest jeszcze jedna. Postanawiamy spróbować tam. Świeże soki są bardziej rozcieńczone wodą i lodem niż mają w sobie prawdziwego soku. Obiad też średni, bo sos również rozwodniony.

Resztką sił dopełzam do hoteliku. Biorę prysznic i zalegam na dwie godziny na łóżku. Nie jestem w stanie nic zrobić. Po prostu leżę. Potem w końcu zmuszam się do wykrzesania jakiejś energii, aby spakować plecak. Po czym idziemy na skrzyżowanie, aby spróbować burgerów. W czasie czekania na burgery, obok po drutach energetycznych sunie śmieszne futerkowe zwierzątko. Podobne jest do leniwca. Przechodząca obok japońska wycieczka szaleje. Ilość ochów i pisków jest niesamowita. Wycieczka zwierzątko towarzyszy dobry kwadrans, a puchata kulka idzie od słupa do słupa energetycznego.

Koniec atrakcji na dzisiaj. Zjadamy burgery i idziemy spać. Następne łóżko będzie dopiero w domu.

16.08.2013 (piątek)

Wstajemy 7 rano. Zabieramy rzeczy i idziemy na przystanek zobaczyć jak tam autobus do Jerantut, bo każdy z miejscowych mówi co innego. Nie wiem jak to możliwe, aby w takiej małej miejscowości nie wiedzieć kiedy przyjeżdża i odjeżdża autobus. Jedno mówią że czasem jest czasem go nie ma. Inni, że jedzie o 7, kolejny, że 7:30, a jeszcze inni że dopiero o 8 rano. I bądź tu mądry. Na miejscu siedzi już trochę turystów i też czeka. Jemy jeszcze niewielkie śniadanie. Przed szybkim barem stoi stoisko prowadzone przez muzułmanki, które sprzedają miejscowym śniadanie do woreczków. Co chwilę ktoś podjeżdża do stoiska i kupuje kolejne małe dania.

O 7:40 gdy podjeżdża mały zielony busik część turystów rzuca się na niego. Pytamy sprzedawczynię, czy to jest ten transport do Jerantut. Okazuje się, że tak. Więc też tam pędzimy. Przecież cała gromada turystów nie ma szans się tam zmieścić. Kiedy trwają przepychanki, aby zmieścić turystów i ich plecaki, my wybieramy miejsce obok kierowcy. Wszyscy pchają się do środka, a my z Pawłem łapiemy jedno siedzenie przy kierowcy i tam wbijamy się we dwójkę z naszym okazałym już bagażem. To było dobre posunięcie, bo dużo osób ściśnięta jest na tyłach. No i część osób została na ulicy. Będą musieli skorzystać z drogiego transportu turystycznego

organizowanego przez agencje turystyczne.

Ruszamy. Busik tak obciążony maksymalnie, że jedzie niczym żółw. Znajduje się w nim 17 turystów z plecakami i walizkami. Miejsc jest 13, a jeszcze kilka ostatnich siedzeń wypełniają bagaże. Tak więc z tyłu ścisk niezmierny. To ja już wolę siedzieć we dwójkę na 1 jednym siedzeniu. Co chwilę coś mi drętwieje. Busik ledwie daje radę po górkę wjechać. Toteż 69 km jedziemy prawie dwie godziny. Ledwie udaje mi się wysiąść w Jerantut, taka jestem obolała.

Jest 9:30 udaje się kupić bilety na autobus jadący do Kuala Lumpur o 10, ale pan w kasie mówi że autobus będzie spóźniony. Okazuje się, że odjedziemy dopiero o 11. Wszyscy więc czekają na dworcu autobusowym. Tuż przed 11 można zapakować bagaże do autobusu i 11:05 odjeżdżamy. No to teraz prosto do stolicy. Autobus mknie niczym strzała autostradą. Jakoś tak szybko dojeżdżamy do Kuala Lumpur bo raptem po 2 godzinach i 15 minutach. To czemu w drugą stronę jechaliśmy 3,5? Na dworcu Petaling jesteśmy o 13:20. Nie spodziewaliśmy się tak szybkiego dotarcia do stolicy. Będziemy mieć więcej czasu na łożenie po Kuala Lumpur.

Szybko przenosimy się do stacji metra i jedziemy na dworzec Sentral. Gdzie bagaże pakujemy do szafek. Szafki są małe, więc musimy Pawła plecak rozpakować i włożyć na siłę. W sumie musimy wziąć trzy szafki, aby wszystko zapakować. I tak misterny plan pakowania plecaków wczorajszego dnia wziął w łeb, bo musimy wszystko powywalać, aby wpakować do tych małych szafek. Kiedy w końcu nam się udaje przeprowadzić całą operację, to możemy iść zjeść obiad w... McDonalddie. Tutaj rwetes totalny, bo zestawy hamburger, picie i frytki kosztują raptem 6 zł. No żeby tak było w Polsce!

Po zjedzeniu i pozbyciu się bagaży (tylko duża bambusowa parasolka jedzie ze mną przytwierdzona do plecaczka, bo była za długa do szafki) możemy jechać na obrzeża stolicy do tzw. Batu Caves. Jedziemy tam podmiejską kolejką około pół godziny, a cena biletu to 1 zł (!!!).

Kiedy docieramy na miejsce okazuje się, że Batu Caves zespół jaskiń odkrytych pod koniec XIX w. w formacjach wapiennych położonych 13 km na północ od Kuala Lumpur, stolicy Malezji. Jaskinie stanowią ważne centrum pielgrzymek dla miejscowych hinduistów, zwłaszcza podczas corocznego święta Thaipusam. Do głównej jaskini, tzw. "Jaskini Katedralnej" o wysokości 100 m, prowadzą schody o 272 stopniach. Najpierw trzeba wdrapać się wysokimi schodami, do głównej jaskini. Co za miejsce. Trafiamy na jakieś hinduskie święto mleka. Każdy Malezyjczyk hinduskiego pochodzenia ubrany w odświętne ubrania indyjskie, niesie dzbanki z mlekiem. W jaskini wielkiej niczym boisko trafiamy na moment, gdy przy dziękach bębnow przyniesione mleko jest wylewane w kapliczce. Potem mleko płynie okolicznymi rynsztokami. Ludzie się modlą. Jak jest hinduska świątynia to i muszą być małpy. Jest ich tu cała masa. Biegają dookoła i szukają co by tu zwędzić. Upodobały sobie szczególnie parking i śmietniki, z których wyciągają butelki po mleku, odkręcają je i spijają resztki. Na schodach prowadzących do jaskini też są i tutaj jedzą głównie ukradzione ludziom kwiaty, które wyrwywają ludziom niosącym je w ramach darów. Jedna małpa hindusce wyrwała worek z mlekiem.

Niesamowite miejsce. Dobre na koniec wyjazdu. Czuję się jakbym była w Indiach. Kobiety w swoich kolorowych sari. Zaczęliśmy od buddyjskiej Birmy, teraz jesteśmy w muzułmańskiej Malezji, ale wyjazd kończymy po hindusku.

Obok jest też wielka jaskinia, do której wchodzi się z wycieczkami, aby oglądać ciemne korytarze, a w nich różne gatunki pajaków. Niestety tym razem nie mamy ani to czasu, ale jak jeszcze kiedyś trafimy do Kuala Lumpur to na pewno tu przyjedziemy.

Z Batu Caves jedziemy na dworzec Kuala Lumpur, który kiedyś był głównym dworcem Stolicy. Teraz jest na nim jedna z wielu stacji, ale budynek ma charakter zabytkowy. W pobliżu tej stacji mieszkaliśmy cztery lata temu. Teraz trudno nam odnaleźć stare miejsca, bo tak się wszystko zmieniło. Nie możemy nawet znaleźć naszego hostelu. Idziemy więc na bazar Seni. Ceny jednak tutaj są bardzo wysokie. Zjadamy wołowego pampuszka pao i kluczymy sobie uliczkami China Town z lokalnym bazarem chińszczyzny. Ale cenowo też bez rewelacji. W drodze powrotnej odnajdujemy nasz poprzedni hostel. Okazuje się, że naprzeciwko wybudowano hotel Geo. Kiedy byliśmy tu cztery lata temu, to okna naszego pokoju wychodziły na plac budowy. Zresztą wszędzie widać nowo budowane wieżowce. Petronas Tower, też obudowywane są kolejnymi wieżowcami.

Stare budynki często są rozbierane, a na ich miejsce budują się nowe, zdecydowanie wyższe.

Wracamy na Sentral. Wyciągamy nasze plecaki, pakujemy rzeczy. Wymieniamy wszystkie ringity malezyjskie na euro. Przy okazji znajdujemy większe szafki na bagaże... a my tak na siłę się mocowaliśmy z małymi.

O 21 odjeżdżamy z Sentral autobusem na międzynarodowe lotnisko. Na miejscu jesteśmy po godzinie. Najpierw idziemy umyć się po całym dniu. Pani w lotniskowej informacji nie do końca wie, czy jest jakiś darmowy prysznic. Mówi że na pewno dla biznes klasy jest, ale ekonomicznej raczej nie. Wpadam na genialny pomysł, aby umyć się i przebrać w łazience dla niepełnosprawnych, bo jest osobna i zamykana. Po pół godzinie jesteśmy elegancko umycie i przebrani. Oddajemy bagaże i szwędamy się po lotnisku. Potem kolejka wiezie nas na terminal C. Ci ciekawe przy odprawie jest znak zakazu przewożenia wszystkich gatunków mango. Zasiadamy w w okolicy bramek. Boarding ma się zacząć o 1:10, a wylot mamy o 2 nad ranem.

Kiedy tak siedzimy w oczekiwaniu na lot, pojawiają się Polacy. Okazuje się być jednym z nich serialowy aktor – jeden z bliźniaków Mroczków.

Ostatecznie zostajemy zapakowani do samochodu dopiero o 1:45. Mroczek pojawia się w ostatniej chwili, czyżby przysnęli na fotelach do masażu? Prawie przegapiliby odlot samolotu.

Przed nami 6 godzin i 13 minut lotu. Samolot staruje o 2:15. Jedzonko samolotowe trafia do nas o 3:30. dziwna pora na jedzenie. Na szczęście to dwie kanapki i ciastko. Potem zasypiam na 2,5 godziny. Nawet w międzyczasie się nie budzę. Ale czas na właściwy posiłek i jest croissant, ser, bułeczka, owoce i ciepłe danie w postaci makaronu z kurczakiem. W samolocie leci okropnie gruby Arab i jego 4 kobiety, może żony? Równie grube jak on. Arab jest tak wielki, że aż kwadratowy. Nie może przejść pomiędzy siedzeniami. Jego towarzyszkę cały czas płaczą się po samolocie i utrudniają prace stewardessom.

Lądujemy w Dubaju. Gdzieś za oknem majaczy w pustynnym pyłe Burj al Arab – najwyższy budynek świata. Przechodzimy transferowym korytarzem i udajemy się prosto do terminala b, skąd ma odlatywać nasz samolot do Polski. W lotniskowej toalecie Arabki zmieniają ubrania albo zrzucają swoje czarne czadory, bo lecą do krajów nie-muzułmańskich, albo odwrotnie wracają do swoich krajów i muszą ubrać się od stóp do głów. Swoje sukmany wyciągają z torebek i ubierają się w nie.

Pod gate'm gdzie zacumuje samolot do Warszawy, coraz więcej podróżnych. Głównie Polaków. Widać, że część z nich wraca z Azji, bo albo mają charakterystyczne szerokie spodnie z Tajlandii, albo torby z napisami w hindi, czyli wracają z Indii. Jeszcze inni mają chińskie siatki, albo wietnamskie bambusowe kapelusze. Są też tacy, co mają buty narciarskie i podobno wracają z Australii z zawodów sportowych.

Co ciekawe kiedy wsiadamy do samolotu, to okazuje się że obsługa to głównie mężczyźni. Jest też jeden Polak.

Samolot startuje o 7:33 czasu dubajskiego. Przed nami 5 godzin i 27 minut lotu. Po godzinie od startu dostajemy śniadanie, potem zasypiam, aż budzę się na obiad, na który jest baranina. Polacy korzystają z dobroci darmowego alkoholu w samolocie. Nie wiedziałam w sumie, że oprócz wina są dostępne małe buteleczki mocnych alkoholi. Jeden z podróżnych pyta naszego polskiego stewarda, czy znajdzie się coś mocniejszego dla niego. Ten z kolei odpowiada, że musi sprawdzić, bo barek jest już znacznie przetrzebiony. Kiedy dostaje dwie małe butelki whisky, szybko chowa je do torby.... ot i polski turysta.

Punkt o 11 lądujemy w Warszawie. Szybko przechodzimy na taśmę bagażową, odbieramy plecaki i pędzimy do kolejki miejskiej, aby dojechać na dworzec Warszawa – Zachodnia i tam złapać pociąg do Krakowa. Do Krakowa docieramy o 16:15. Tak oto kończy się nasz tegoroczny wyjazd do Birmy.

PODSUMOWANIE

Tradycyjne krótkie podsumowanie. Jak było? Super było. Zacznę może od tego co kulało? Słaby angielski Birmańczyków, za duże ceny noclegów w hotelikach, za dużo dzieci zamiast w szkole to pracuje, brak latarni w miejscowościach, co oznaczało po 19 zamarcie życia. I to chyba wszystko...

Co było super? Żadnych dolegliwości chorobowych, ludzie cudownie mili, poza tym bardzo bezpiecznie. Jedzenie wyśmienite, bo tak jak pisałam, dużo indyjskiego curry i samos, ale bez chili, więc smakowało to cudnie. Na dodatek wszędzie świeże soki. Ludzie biedni, ale bardzo sympatyczni. Nikt tu nie oszukuje, a jeszcze starają się ci pomóc. Targowanie na bazarach też ma swój klimat. Zabytki jedyne w swoim rodzaju. Tak jak w Birmie nie ma nigdzie. Złoto, złoto i jeszcze raz złoto. Świątyń tyle, że nie da się ich zobaczyć choćby nie wiem jakby się człowiek starał. Szkoda, że sporo terenów Birmy jest jeszcze zamknięta dla zagranicznego turysty. Jednak z czasem to się zmieni. Oby tylko ten zagraniczny turysta nie zdeptał tego kraju i nie uczynił z niej kolejnej turystycznej „wioski”, gdzie i miejscowa ludność poczuje smak pieniądza i nie będzie już tak pięknie jak jest teraz.

Chciałabym żeby obraz uśmiechniętej Birmy i owego „mingalaba” (dzień dobry) został na zawsze dla wszystkich odwiedzających ten kraj.